



95
216

TRZECIEMU ZJAZDOWI

BIBLIJOFILÓW POLSKICH

ZEBRANYCH W DNIACH JUBILEUSZOWYCH

ZAKŁADU NARODOWEGO

IM. OSSOLIŃSKICH

WE LWOWIE

SKŁADAJĄ:

REDAKCJA „TĘCZY“

ORAZ

ZAKŁADY GRAFICZNE ŚW. WOJCIECHA

POZNAŃ — MAJ — MCMXXVIII

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63



3

MAJJA

1928



TECZA

Na jutro, mamusiu — proszę obudyń Oetkera.



Chłopak ma rację! Budyń Oetkera z sosem waniliowym lub sokiem malinowym jest odpowiednim deserem dla dorastaj. młodzieży. Budynie Oetkera działają na przyrost krwi i kości, są obfite w cenne sole odżywcze, a ponieważ przyrządza się je na mleku, są podwójnie pożywne. Z budyniami Oetkera w tych warunkach gospodarzy Pani b. oszczędnie. Doskonale wskazówki do przyrządzania legumin i galaretek znaleźć można w nowej, barwnie ilustrowanej książeczce z przepis. Oetkera, wydanie F. Otrzymać ją można u kupca korzennego. O ile jest wyczerpaną, należy zwrócić się wprost, załączając 40 gr. w znacz. p. adr.:

Dr. A. Oetker, Ollwa.

GŁOS NARODU

wielki krakowski dziennik niezależny, założony w r. 1892, reprezentujący nieskazitelną myśl chrześcijańsko-narodową, zyskał sobie przez swoje bezstronne i trzeźwe stanowisko w ocenie przejawów życia publicznego, niezwykłą poczytność w najszerszych kołach społeczeństwa polskiego. „Głos Narodu” jest pismem nawskroś nowoczesnym, grupuje koło siebie grono pierwszorzędných sił dziennikarskich i publicystycznych, a rozporządzając znaczną ilością korespondentów na całym obszarze ziem Polski i zagranicą, informuje szybko i wszechstronnie o wszelkich przejawach życia publicznego i społecznego. Jednym z głównych zadań programu „Głosu Narodu” jest wytwarzanie rodzimych sił gospodarczych w Narodzie, oraz wzmocnienie i rozwój handlu i przemysłu polskiego. — Ogół czytelników stanowi Duchowieństwo, Ziemianie, sfery inteligencji miejskiej oraz zawody wolne.

(597)

FRASZKI STAROPOLSKIE

Panie Jakóbie, wieszaj waćpan!

Był onego czasu jakoby taki zwyczaj, że gdy na potępienca, wiedzzonego na szubienicę, dziewczka jaka rzuciła swój rątnuch na znak, że chce go pojąć na męża, to darowano winowajcy życie pod warunkiem, iżby ślub wzięli niezwłocznie. Owóż zdarzyło się razu pewnego, że gdy brat, imieniem Jakób, prowadził wieszac młodego urwisza a zastąpiła im drogę szubieniczną stara baba i chciała skazańcowi ocalić życie, byleby został jej mężem, on, hultaj, spojrzawszy na szpetną staruchę, zawołał na brata: „Panie Jakóbie, wieszaj waćpan!” Słowa te poszły w przysłowie i kiedy kto jakiej niefortunnej łaski przyjąć nie chce, to mówi: „Panie Jakóbie, wieszaj waćpan!”

O szlachcicu łysym i długach jego.

Imć pan Gąsowski Szymon *thesaurarius* województwa podlaskiego tak mawiał:

Szlachcic łysy drugiemu przyganiał w swej [mowie,

Ze więcej miewa długów, niż włosów na głowie,
Na to odparł mu inny szlachcic siedząc trzeci:
To niewiele więcej niż na łbie waszeci.

Ilu jest kpów na świecie?

Imć pan Grabowski mawiał: „Panie łowczycu, może waćpan nie wiesz, ilu jest kpów na świecie? Ot, ja waćpanu powiem: pierwszy kiep, który napiwszy się gorzałki, bluże; drugi kiep, który choć własną żonę ma, a cudzą całuje; trzeci, co łeb szlachecki białym pudrem soli; czwarty, którego przywda braterska nie boli”. Tenże imć pan Grabowski mawiał także, iż człek czterema rzeczami żyje: łaską bożą, krwią, chlebem i powietrzem.

Jak śpiewał imć pan Antoni Niewiarowski.

Imć pan Antoni Niewiarowski niegdyś w Olszowie mieszkający, licząc wieku swego lat sto, a razem z jejmością, którą zawsze „babą swoją” nazywał, blisko lat dwieście, gdy bywało zacznie żartować, śmiać i stroić do staruszki koperczaki, to zaraz taką piosnkę śpiewa:

Ja na babie nic nie stracę,
Sprzedam babę, kupię klaczę.
Klaczka zdechnie, skórę złupię,
A za skórę pannę kupię.



S. CHOYNACKI

ST. RYNEK 52.



MATERJALY
NA UBRANIA
I SUKNIE

Trwałe Materjaly
ładne kolory i tanie
ceny. oto znamiona
moich towarów

DYWANY I FIRANKI

CENTRALNA DROGERJA - J. CZEPCZYŃSKI - POZNAŃ

TELEFON 3324 i 3315

STARY RYNEK 8

TELEFON 3324 i 3315

WSZYSTKO DLA PAŃ.

WSZYSTKO DLA PAŃ.

WIELKI WYBÓR ARTYKUŁÓW TOALETOWYCH,
PERFUM, WODY KOŁOŃSKIEJ, MYDŁKA, PUDRY.

(205)

TECZA

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



ZESZYT SPECJALNY

TĘCZY

poświęcony trzeciemu zjazdowi bibliofilów polskich zebranych w Zielone Świąta we Lwowie ku uczczeniu stulecia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich obejmuje materiał literacki i ilustracyjny zeszytu 18-go [trzeciomajowego], oraz część zeszytu 21-go z dodatkiem „Gwieździstej księgi wszechświata” E. Zegadłowicza, i „Do czytelnika traktatu łacińskiego kardynała Ryszarda d’Angerville z przydomkiem de Bury:

O Miłości do Ksiąg to jest Philobiblon”

Jana Kasprowicza.

A. M. D. G.

TECZA

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

MAJ 1928 R.

ZESZYT SPECJALNY

GWIEŹDZISTA KSIĘGA WSZECHŚWIATA

Z SIEDMIU PIEŚNI ZGRZEBNYCH

O JANIE KASPROWICZU

NAJPIĘKNIEJSZEMI KSIĘGAMI
ZWIĘKSZYŁEŚ SKARB UKOCHANY —
OWE NA PÓLKACH SOSNOWYCH
KSIĘGI ZDOBIĄCE TWE ŚCIANY.



BYWAŁO, MYŚL TWA ZNUŻONA
SPOWIEDZI BRATNIEJ SŁUCHA —
Z TYCH OPRAW, Z TYCH KART, Z INICJAŁÓW
MÓWIĄCYCH Z DUCHA DO DUCHA.



I WTEDY PALCE TWE DRŻĄCE
RELIKWJE STULECI GŁADZĄ —
MYŚLI I CZUCIA ZAKŁĘTE
GRAFICZNYCH KUNSZTÓW WŁADZĄ.

I WTEDY SCHODZĄ DO IZBY
Z KSIĄG MĘDRCY, PIEŚNIARZE, POECI —
W JEDNEJ TU CHWILI ZEBRANI
MĘŻOWIE WIELU STULECI.



PRZEZ OKNO KLADZIE SIĘ SMUGA —
PROMIEŃ ZACHODU OSTATNI
I RĘCE TWOJE NAGRZEWA
I WIDMA RZESZY POBRATNIEJ.



CISZA MAJESTATYCZNA
SNUJE SREBRZYSTE PRZĘDZIWA —
WIECZNOŚĆ SIĘ W WIECZNOŚĆ PRZELEWA
PRZEZ TE LUDZKOŚCI OGNIWA.

. . . ZAGASŁO SŁOŃCE . . . PRZEZ OKNO
PATRZYSZ . . . I DUSZA TWA WZLATA —
I CZYTA PONAD ZMIERZCHEM
GWIEŹDZISTĄ KSIĘGĘ WSZECHŚWIATA.

EMIL ZEGADŁOWICZ

DO CZYTELNIKA

TRAKTATU ŁACIŃSKIEGO KARDYNAŁA RYSZARDA D'ANGERVILLE
Z PRZYDOMKIEM DE BURY: O MIŁOŚCI DO KSIĄG TO JEST PHILOBIBLON

TŁUMACZ DO CZYTELNIKA

Powierzam Twej dobroci, Czytelniku miły,
książeczkę, której karty oby Ci sprawiły
uciechę, jaka dotąd żyje w sercu mojem,
wtargnąwszy w nie odrazu prawdziwym przebojem.

Pisana przed wiekami na cnym pergaminie,
przetwała burze wieków i chyba nie zginie
już nigdy, bo wszak nigdy nie zbraknie na ziemi
namiętnych dusz, co dłońmi nieomal drżącemi
chwytają dzieło ducha, toną w jego treści
i — kształcie!...

O, jak oko precudownie pięści
ta czcionka, ta oprawy mistrzowska robota,
dla której nie szczędzono kosztownego złota!
Te dziwne kopersztychy, te inkunabuły,
te stare drzeworyty jakież oddźwięki czuły
i swą nieudolnością znajdują u czteka,
jeżeli tylko nie jest, jak biedny kaleka,
ślepotą nawiedzony!

A jakie okręgi,
ogarniające wszechświat, wyzieraają z księgi,
natchnionej słowem Boga, który się nie zżyma
Sam, w własnej Swej osobie, stawać za plecyma
schylonych pracowników i szeptać im w uszy,
jak ziarno z plew się łuszczy, jak się rudę kruszy,
jak wodę się przemienia w Galilejskiej Kanie
na wino, byś rozkoszne miewał ucztowanie!

A jeśli Pan ten wielki Swe sługi niezawsze
nawiedzać chce w ich domu, wówczas, najlaskawsze
wciąż mając oko na nich, śle im Swe orędzie
przez Swoich pośredników. I nieraz tak będzie,
że kiedy w ciszy nocnej siedzisz w swej izdebce,
zaduman wśród swych książek, nieraz coś zaszepece,
coś zaszeleści: piąta i dziesiąta
i setna wiewna mara z każdego się kąta
wychyla i gromadą zbliża się ku tobie.
Mężowie, którzy dawno już złożyli w grobie
swe ciało, a zaś duszę zamknęli w swem dziele
żywota arcytwórczem na wielkie wesele
człowieka i na jego ukojne zbawienie
od nędzy tej powszedniej, zjawiają się, cienie
żyjących myśli swoich, ażeby cię kołem
otoczyć i swem słowem prawić ci wesolem,
w zastępstwie swego Pana, o rzeczach, co leżą
pomiędzy krańcem niebios a ziemi rubieżą,
w ich wnętrzu i poza niem, na tajemnej drodze,
wiodącej od wieczności do wieczności.

Wodze
puściwszy swej wymowie, ten niesamowity,
a przecież tak przyjazny mi orszak, najmiły
Bożego wdzięczną służbę spełniający właśnie,
na wielkie-ć wskaże ciemnie i na wielkie jasnie
żywiolów, które, duszę rozpierając czteczą,
by móc się uzewnętrzyć, niszczą albo leczą
zastępy dusz siostrzanych, na śmierć prowadzone
lub życie ponad życie! Wyjawią ci one,
te widma — i na okrąg rozgłaszać ci każą,
zwróciwszy się ku tobie płomienistą twarzą,
radosną tę nowinę, że w księgach się mieszczą
największe twoje skarby. I tak przez nie wieszczą
żrenicą możesz tajnie przenikać i światu
wspaniałą wróżyć przyszłość, pełną majestatu

Bożego! I że ten jest najszczęśliwszy z ludzi,
któremu nic zapalu do ksiąg nie ostudzi;
a przedsię ten, co w własne wglębiwszy się wnetrze,
uczuje naraz twórcze siły przenajświętsze
i, sam stworzywszy księgę, pokornie ją złoży
u stóp swojego Stwórcy, na podnózek Boży!

Nie sędzę, byś wykreślał, Czytelniku luby,
gorliwą miłość ksiązek ze swojej rachuby
i do rąk brał je tylko z musu lub dla mody,
idący z pospolitym przekupniem w zawody,
lub nędznym groszorem, dla którego, zda się,
zawarta w księgach mądrość bywa li na czasie,
jeżeli kryje w sobie oręż, by nim można
zdobywać kupy złota, jawnie czy zostożna...
A gdyby prawdą było, żeś jest obojętny
na urok ksiąg, że z serca gorącemi tętny
nie idzie miłość ku nim, to, mówię Ci zgóry,
nauczysz Cię je kochać Kardynał de Bury.

Przedziwny to żarliwiec! Mógł popełnić zbrodnie
(niewinną, mówiąc szczerze): aby jeno godnie
księżnicę swą opatrzyć, ulegał pokusie
i dał się przekupywać — książkami!... O, musie,
o pędzie niewstrzymany, który, jak się wierzy,
niejedną z dusz mu krewnych nawet do kradzieży
umiałeś pchać!...

Ja tego, rzecz prosta, nie chwale,
a tylko żal mi ciebie, drogi Kardynale,
światłości w mrokach wieków, śpichlerzu wszechwiedzy,
o jakiej nie marzyli wszak twój koleczy,
w biskupią strojni mitrę (jeśli, to nie wielu!).
Arystotelesowej nauki czcieliu,
wyznawco i współwierco boskiego Platona
i wszelkich jego uczniów, których to imiona
świeciły w Aleksandrji, w Rzymie, Carogrodzie,
a których mądre słowa nie były na wodzie
pisane wiotką ręką, jeno ryte w miedzi
tak mocno, że w ich znakach ciągną wieczność siedzi!
Pochodnio żywej wiary, versatus w skrypcie,
na skrzydłach cherubinów wznoszącej ku górze
niebieskiej umysł ludzki!...

O, ty — biedny czteku!
Przekazuj swoją dolę od wieku do wieku:
zawistny los cię ścigał, on, co się nie liczy
nawet z powagą śmierci! Wtargnął cham zbrodniczy,
wierzytel, z umarłego zdarł kosztowne szaty,
a owoc, z takim trudem zbieran, tak bogaty,
rozrzucił gdzieś po świecie, w zapomnienia parów
postrzącał jego resztki, niepomyślny zamiarów,
z miłości urodzonych!...

Świętych prawd bezliku,
obstówek nie znających, znajdziesz, Czytelniku,
w tem dziele, które stworzył ów człowiek bez kłamu,
promieni roznosiciel, cny biskup z Durhamu,
pokoju druh, wróg wojny, niebezpiecznej potęgi,
co niszczy, jak niszczyła dziś, kosztowne księgi...

Cóż więcej o tym szczytnym powiedzieć traktacie?
Podaję go wam dzisiaj w jego prostej szacie,
lecz z polską przykrojonej, tak, jak to umiałem.
Atoli i tu miłość stała mi się ciałem.

JAN KASPROWICZ



Widok ogólny Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

OSSOLINEUM

Mówi się często o Lwowie, jako o „sercu Polski“, zawsze żywym tętnem bijącym, tym Lwowie, który już po raz drugi w dziejach obroną przeciw zalewowi Ukraińców (1918-1919), legendą opromienił swe mury. By atoli ten gród kresowy mógł się stać tem, czem jest dziś dla Polski, bastjonem i strażnicą polskości i kultury zachodniej zarazem, musiały się na to złożyć setki i tysiące ofiar, ofiar wielkiem gorącym umiłowaniem natchnionych, które w sumie swej dopiero skryształizowały się we Lwów — *Serce Polski*.

Dziś chcemy mówić o tem, co jeżeli nie sercem Lwowa, to przynajmniej jego mózgiem było przez czas długi, nawet wówczas, kiedy najwyższa uczelnia, uniwersytet spełniał rolę germanizacyjną, a jeżeli nawet promieniował nauką, to w każdym razie ani polską, ani wolną od tendencji, z szukaniem czystej prawdy mało wspólnego mającą.

Mówić tu pragniemy o „Zakładzie Narodowym imienia Ossolińskich“, krótko

o „Ossolineum“. Czem Biblioteka Jagiellońska dla Krakowa, Krasińskich dla Warszawy, Raczyńskich dla Poznania, tem jest Ossolineum dla Lwowa. Porównanie to kuleje, jak każde zresztą, a używamy go jedynie dla uprzytomnienia Czytelnikom, mniej ze stosunkami lwowskimi obznajomionym, czem jest ta biblioteka, jedna z największych w Polsce, o której mówi się stanowczo mniej, aniżeli swą rolą dziejową niegdyś, a znaczeniem naukowym dziś zasługuje.

Oby setna rocznica założenia Zakładu, święcona w tym roku właśnie, zwróciła baczniejszą uwagę całego narodu na instytucję, której doniosłość i rola wybiega daleko poza mury Lwowa i granice, zwyczajnie zakresem pracy bibliotecznej zaznaczone.

Nie łudzimy się bynajmniej, aby w tym, z konieczności krótkim artykule jubileuszowym, można marzyć o chociażby najbardziej szkicowem skreśleniu dziejów, rozwoju i znaczenia Ossolineum. Monografia Zakładu, do dziś nienapisana, musiałaby być

wielkiem, może parotomowem dziełem, jeżeli praca dra Adama Fischera, profesora Uniwers. Lwowskiego, niegdyś pokolei stypendysty, skryptora i wicekustosza Ossolineum, praca zresztą doskonale, zwarcie i ze zmysłem popularyzatorskim napisana, nosi z woli autora skromną nazwę „zarysu dziejów“, jakkolwiek liczy bezmała dziesięć arkuszy druku dużej oktawy¹⁾.

Do tej też pracy musimy odesłać naszych Czytelników, którzyby chcieli zaznajomić się bliżej z dziejami i znaczeniem Ossolineum.

Jest to obowiązkiem zresztą każdego kulturalnego Polaka, gdyż książeczka prof. Fischera zawiera nietylko historję jednej biblioteki, ale jest jakgdyby na przykładzie zademonstrowanym epizodem tej walki, którą naród polski musiał stoczyć po rozbiorach, w obronie najświętszych dóbr, jakie mu pozostały jeszcze — rodzimej kul-

¹⁾ Prof. Uniw. Dr. Adam Fischer: Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich. Zarys dziejów. Lwów 1927. S. 4 nłb. × 120 × 2 nłb. (1 wydanie odmienne Lwów 1917.)

tury i wiedzy. — Jednym z bohaterów tej walki cichych i zapomnianych (setna rocznica jego śmierci 17 marca 1926 r. przeszła niespostrzeżenie) jest Józef Maksymilian Ossoliński, fundator i twórca Zakładu Nar. im. Ossolińskich (1748—1826), o którym dr. Fischer mówi słusznie: „postać zaiste przedziwna, równie oryginalna, jak zacna”. (l. c. s. 11.)

On to uczynił ofiarę z życia całego, aby stworzyć bibliotekę taką, jaką była zniszczona przez wrogów biblioteka Załuskich.

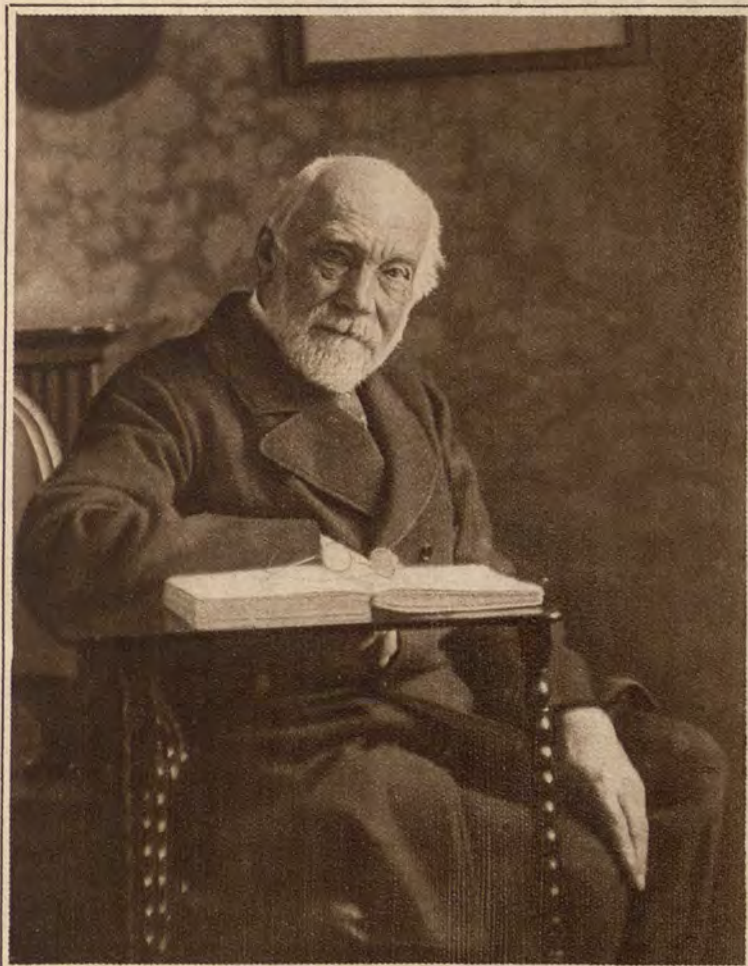
Ufundowany w r. 1817 „Instytut Ossolińskiego” został otwarty dziesięć lat później w r. 1827 w zakupionym na ten cel (26 marca 1817 r.) na licytacji, dawnym, wówczas spalonym już i zrujnowanym klasztorze P. P. Karmelitanek trzewickowych. W murach tych,



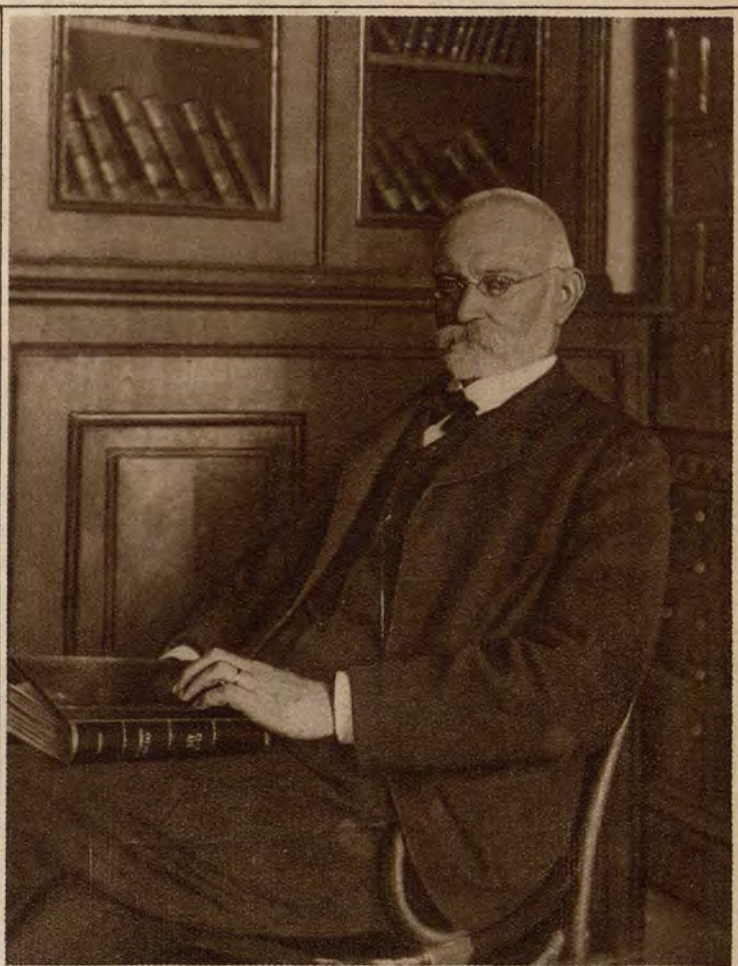
Józef Brodowski. J. M. hr. Ossoliński według portretu past. Marji Elżbiety Bayer.

przebudowanych przez bohaterskiego generała Józefa Bema (w latach 1826 — 1830), biblioteka połączona z Muzeum im. ks. Lubomirskich, przetrwała po dzień dzisiejszy, po dzień jubileuszu swego wiekowego istnienia.

Jak przedstawia się jej rozwój na przestrzeni tych 100 lat powiedzą nam najlepiej cyfry. W r. 1827 (31 marca), kiedy biblioteka J. M. Ossolińskiego została przewieziona z Wiednia do Lwowa, liczyła w 52 skrzyniach „10121 dzieł, 19055 tomów, dubletów (t. j. podwójnych egzemplarzy) 456 tomów, 76 wiązek różnych pism, 567 rękopisów w 715 tomach, 133 map, 1445 rycin”. (Fischer l. c. s. 34.) Zaś w r. 1926 łącznie ze zbiorami Biblioteki im. Gwalberta Pawlikowskiego: „192 900 dzieł unikatów, 3 001 atlasów i map,



Antoni Małecki



Dyr. Wojciech Kętrzyński



Gmach biblioteki od ulicy Kopernika

5831 rękopisów, 9568 autografów i 1982 dyplomów, 728 muzykaljów" (tamże s. 78).

Cyframi temi ilustruje się najlepiej rozwój Zakładu, którego biblioteka, licząc dzieła nie tomy, wzrosła niemal dwudziestokrotnie, nie mówiąc o rękopisach, autografach, a przede wszystkim o całym osobnym dziale „Muzeum im. XX. Lubomirskich”.

Do Ossolineum bowiem przyłączały się z biegiem lat coraz to nowe biblioteki i nowe nazwiska fundatorów, obok ks. Lubomirskich, ks. Sapiehowie z „Archiwum XX. Sapiehów“, Józefowie Nargielewiczowie, Biblioteka Pawlikowskich i dziesiątki i setki innych...

W Ossolineum znajdowali schronienie, prześladowani w innych zaborach uczeni, literaci, a z murami tego Zakładu związany jest taki szereg nazwisk, jakim poszczycić się nie może żadna inna biblioteka polska, nie wy-

łączając nawet najstarszej Jagiellońskiej. Tutaj widnieją tacy mężowie jak Antoni Małecki, August Bielowski, Wojciech Kętrzyński. Niema uniwersytetu w Polsce, który nie zawdzięczałby Ossolineum profesorów, w tej właśnie bibliotece przygotowanych do pracy naukowej: Aleksander Hirschberg, Wilhelm Bruchnalski, Bronisław Gubrynowicz, Juliusz Kleiner, Adam Fischer, Stanisław Łempicki i wielu, wielu innych.

Wychowawcami Ossolineum jest obecny dyrektor Biblioteki Uniw. w Poznaniu dr. Stefan Vrtel-Wierczyński, docent Uniw. lwowskiego i poznańskiego, jak

również dyr. Biblioteki miejskiej w Bydgoszczy dr. Witold Bełza.

Można śmiało powiedzieć, że „Ossolińczycy“, jak się sami z dumą nazywają, są reprezentowani w każdej dziedzinie nauki, literatury, muzealnictwa, bibliotekarstwa, a parę zaledwie imion tu wymienionych nie jest w stanie dać nawet w przybliżeniu obrazu, jaką szkołą wiedzy i patriotyzmu było Ossolineum przez cały wiek swego istnienia, którego początek schodzi się z utratą a koniec z odzyskaniem niepodległości państwowej.

Kiedys, w przyszłości, gdy Ossolineum doczeka się wyczerpującej naukowej monografji, czytelnik znajdzie w niej bilans tej pracy, jaką pomnikowe dzieło Ossolińskiego przyczyniło się do odzyskania niepodległości. W sercu Polski, w grodzie kresowym, Zakład Nar. Ossolińskich trwał na straży, dzieląc z miastem wszystkie napady wrogów, czuwając nad kulturalnym i patriotycznym poziomem obywateli. Ufamy, że nowy wiek swej zbożnej pracy w wolnej, niepodległej Polsce, rozpocznie Ossolineum w innych warunkach, na które złożą się: uznanie własnego rządu i miłość całego narodu; jedno i drugie tak rzetelnie zapracowane i zasłużone trudem minionego stulecia.

Jerzy Koller



Wnętrze sali rękopisów

KULA W KSIĄŻCE

Zdarzyć się może jeszcze po wielu latach, że ktoś, otrzymawszy w pracowni Ossolineum książkę, znajdzie wśród jej przestrzelonych kart uwięzłą w papierze, splaszczoną kulę karabinową. Może się to stać nawet w czasie, kiedy ten okruch metalu będzie już zabytkiem muzealnym, wymagającym objaśnienia znawców naszej ponurej epoki. Nam taki komentarz nie jest potrzebny, każdy wie, co to jest kula karabinowa i jaki ma cel w swoim locie, mimo to odkrycie jej w książce, wziętej z wielkiej biblioteki, może i dziś budzić zdumienie. Zdaje mi się, że poza ograniczonym kołem uczonych, bibliotekarzy i bibliofilów, nikt w Polsce nie wie, jak groźny moment przeżyło lwowskie

Ossolineum, jeden z naszych największych księgozbiorów, w złowrogich dniach listopada 1918 r.

Oddział stukilkudziesięciu żołnierzy ruskich zajął gmach biblioteczny. Grube jego mury miały dawać osłonę przeciw placówce polskiej wśród ruin poczty, oddalonej od biblioteki o skrawek ogrodu i szerokość ulicy Kopernika. W tym bowiem dniu część poczty, w której trzymali się Rusini, dostała się w ręce polskie, ale objęta pożarem. Nazajutrz były to już czarne zgliszcza i tylko w parterowych salach potworzyły się polskie reduty. Załoga najeźdźców oparła się w tym skrzydle Ossolineum, które, przerebione z dawnego kościoła św. A-

gnieszki, wygląda z poza drzew parku ładną czterokolumnową fasadą. Trzy okna w tej ścianie służyły Rusinom za reduty. Obwarowali je worami i pakami z ziemią i co najgrubszymi tomami, jakie się znalazły pod ręką. Na tę przymusową służbę wojenną poszły przeważnie spore roczniki pism codziennych, nierzadko ważne



komplety dziś już niedostępnych wydawnictw. Kilka otworów w tym wale książek służyło za strzelnice. Po różnych pokojach bibliotecznych mieściły się prowizoryczne koszary, z tapczanami i siennikami. Przeprowadzony wzdłuż wszystkich sal dzwonek alarmował załogę w chwili ataku. Amunicję

i żywność sprowadzano z pobliskiej cytadeli.

Zagrożonego dobra strzegły jeno słabe siły starego woźnego Ossolineum, Michała Saturskiego, który sam jeden w pustym gmachu przeciwstawiał się zuchwalstwu żołnierzy. W pierwszym dniu zabrał pudła katalogowe, aby je uchronić od zniszczenia

lub rozrzucenia, i zamknął je w ustronnym pokoju. W miarę możliwości starał się również zabezpieczyć salę rękopisów, w której znajdowały się również numizmaty. Na zdjęciu widać drzwi do tej sali zatarasowane kanapą. Numizmaty posiadały dla pospolitych oczu wartość cennego kruszcu. Mimo to nikt się do nich nie dobiegał. Uwaga żołnierzy była zresztą czem in-

nem zajęta. Rusini coraz wyraźniej czuli zbliżającą się klęskę.

W takich warunkach los biblioteki wydawał się przesądzony. W zawirusze obustronnej strzelaniny, w nieładzie życia obozowego, wśród nieustannych igraszek z ogniem suche, drewniane półki mogły każdej chwili spłonąć. Z takim trudem w latach nie-

woli gromadzone bogactwo mogło lec kupą popiołu na progu naszej wolności. Zgliszcza sąsiedniej poczty stawały przed oczy ma okropną wizję: że zwycięstwo polskie nad ukrytą w tych murach załogą ruską będzie równocześnie klęską narodowego dobytku. Ale w nocy z 22 na 23 listopada Rusini wyszli z Ossolineum, nie czyniąc zbiorom żadnej szkody.



Podane tu fotografie przedstawiają kilka zakątków biblioteki w stanie, w jakim je znalazł zarząd po uwolnieniu Lwowa z pod ruskiej przemocy. Rzecz wydawała się groźniejszą niżli była w istocie. Kilka czy kilkanaście foljałów doznało uszkodzeń, kule wdarły się do książek, lecz naogół straty były niewielkie. Widziało się jednak niebezpieczeństwo. Sienniki i tapczany, rozrzucone naboje i niedopałki papierosów, nieeksplozowane granaty ręczne wały się wszędzie tam, gdzie wejście z zapalonym papierosem wydaje się już katastrofą.

Przez wybite okna szedł ostry wiatr jesienny. Po ścianach, jak niezagojone rany, odsłaniała się cegła z pod odłupanego tynku. Plamy krwi rozszerzały się po podłodze. Pozostały do dziś widoczne. Idąc długą wędrówką po manowcach księżnicy, w ciasnych przejściach pomiędzy szafami: ktoś obficie broczący szukał drogi wśród zawiłych labiryntów bibliotecznych. Ryty w ścianach ślad kul przebiega ponad szeregami uciszonych duchów ludzkich. Zdaje mi się, że jedna z kul wyszarpaneła krawędź półki, na której posiwiały od kurzu tom „*Scriptores historiae Augustae*” kryje w sobie wielkoduszne w swej naiwności zdanie Flawjusza Vopiscusa z r. 276 p. Chr.: „Teraz, kiedy cesarz Probus pobił barbarzyńców, nie będzie już nigdy wojny”.

Groza zagłady przeszła nad Ossolineum równo w 70 lat od ciężkich dni listopadowych r. 1848, kiedy Lwów ostrzeliwano z rozkazu austriackiego generała, Hammersteina. Wincenty Pol zapisał o tem następującą wiadomość: „General Hammerstein oświadczył w dni parę po bombardowaniu Lwowa, iż

bardzo żałuje tego, że zapomniał o Bibliotece Ossolińskich podczas bombardowania, bo byłby ją spalił”. W ciągu tego stulecia, jakie Zakład narodowy im. Ossolińskich kończy tegorocznym jubileuszem, ani jeden dziesiątek lat nie minął w tym do-

a w 1920 Rosja sowiecka powierzyła tę samą misję Budiennemu, który miał zlecone zajęcie Lwowa.

W wolnej Polsce Ossolineum idzie trwale ku wielkiej świetności. Zabiegami i troską obecnego dyrektora, dr. Ludwika Bernackiego, szczerogo miłośnika książek i wytrawnego znawcy bibliotekarstwa, powiększyły się zbiory od r. 1918 o jedną trzecią. W ciągu tych dziesięciu lat przybyło kilkadziesiąt tysięcy dzieł, przeważnie drogą darowizny prywatnych księgozbiorów. Szereg ludzi dobrej woli zrozumiało, że książki trudem ich ojców gromadzone, najchwalebniej służyć mogą ojczyźnie nie w



statku i spokoju, w którym zagraniczne biblioteki bogacą się i dojrzewają. Dookoła jego murów nieustannie krążyła zawiść i złość ludzka. W r. 1915 Rosja carska gotowała się do wywiezienia zbiorów,

zamknięciu oddalonych od społeczności dworów i pałaców, ale właśnie w tych murach naścieżaj otwartych dla wszelkiej naukowej i badawczej pracy. Rocznie tysiące ludzi przechodzi przez salę pracowni lub pod okienkiem wypożyczalni Ossolineum, od młodzieży szkolnej do światła naszej nauki i literatury. Każdy, kto z tych wspaniałych zbiorów korzysta, staje się równocześnie i jakby mimowiednie przyjacielem Zakładu. Jest bowiem w tych murach, obwarowanych rzetelną zasługą obywatelską Ossolińskiego, coś tak jednającego serce, że dziwić się niepodobna, iż tegoroczny jubileusz fundacji staje się jakby świętem narodowym.

Jan Parandowski



MADONNA POLSKA W NOWEJ SZACIE

Miejsca cudami słynące, a szczególnie czci Bogarodzicy Dziewicy oddane, ściągają w każdym kraju i narodzie tysiące pielgrzymów, szukających dla siebie otuchy i łaski niebios oraz przemożnego orędownictwa Królowej nieba i ziemi.

Widziałem pątnicze szeregi w najrozmaitszych krajach jednej i drugiej półkuli świata, bywałem na kongresach międzynarodowych eucharystycznych, lecz nigdzie nie spotkałem tej gorącej pobożności tłumów i rzesz, którą widziałem w Polsce, gdzie nieraz szeregi pielgrzymów dochodzą setek tysięcy a może i miliona osób, szczególnie kiedy lud nasz sierniężny zbierze się u ołtarzy i figur świętych na odpust i inne doroczne uroczystości kościelne.

Trzeba zajrzeć w dni takie pod Jasną Górę i Ostrą Bramę, do Kalwarii Zebrzydowskiej w Małopolsce i Piekarni na Górnym Śląsku, należy wspomnieć obchody kodeńskie i leśniańskie zeszlóroczne, ażeby mieć pojęcie o potężnym uczuciu i kultu dla Tej, którą

naród przez śluby Kazimierzowe swą ogłosił Królową i Panią Najjaśniejszą. Kiedy zagranica urządza to wszystko według zgóry ułożonych planów,

elementarnym wymogom pielgrzymowania odbywają się wędrowki wierznych do miejsc świętych żywiłowo, a jedna kieruje tu siła — głęboka wiara.

Pielgrzymstwo polskie nie ma sobie równego w całym świecie.

Przedmiotem kultu jest wszędzie obraz cudowny, wobec którego lud polski staje jako przed symbolem łaski i opieki, którą roztacza Ta, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie.

Uczeni toczą dysputy nad historią powstania tych obrazów. Wiara dziecięca ludu przypisuje im zwykle nadprzyrodzone zjawienie się gdzieś w ziemi, na drzewach przydrożnych lub każe powstać z pod pendzla ewangelisty czy innego świętego malarza. Każde z tych dzieł sztuki nieraz bardzo prymitywnej, w kształcie i wyrazie, nieudolnej, przeszło przez dziejowe zawieru-



Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej odrestaurowany przez prof. Rutkowskiego

chy, ochraniane mocą i interwencją niebios przed zagubą, zniszczeniem przez spalenie, podziurawienie czy połamanie, albo też świętokradcze klucie i posiekanie.

z wygodą i komfortem, z uwzględnieniem najwybredniejszych wymagań co do lokomocji i zamieszkania, stołu i obsługi, to u nas, odwrotnie, bez tego wszystkiego, a niekiedy wbrew

http://rcin.org.pl

Do tych tradycją i opowieścią przekazanych podań lud się przywiązał. Nieraz trudno rzucić na nie jakiś nowy promień światła, by się nie spotkać z zarzutem nieposzanowania tradycji i pomniejszenia aury świętości pamiątki zawsze szacownej, ale często przez nieświadomość opacznie i fałszywie ocenianej.

W ostatnich latach dzięki interwencji władz kościelnych i klasztornych przeprowadzono gruntowną odnowę najcenniejszych i najcudowniejszych obrazów w Polsce. Dokonano tego z jasnogórskim, ostrobramskim, kodańskim, leśniańskim i szeregiem mniej głośniejszych, ale czcigodnych wiekiem i artystycznych obrazów Matki Boskiej. Niektóre z nich doznały gruntownej restauracji drzewa i płótna, obramowania i barwy, niektóre jeno oczyszczenia z kopci i kurzu, pajęczyny i wilgoci.

Z tą pracą techniczną łączą się badania rzeczoznawców, ikonografów nad pochodzeniem, i stylem tych świętych wizerunków Madonny Polskiej, badania, które niejedno

wytłumaczyły, sprawdziły i w nowym świetle postawiły. Biorą w tych pracach udział tacy znawcy ikonografji,

jak ks. dr. Steger, ks. dr. Kruszyński, dr. Tomkowicz, dr. Kopera, dr. Skrudlik i ks. dr. Dettloff.

rów zabytkowych obrazów religijnych w Polsce, a może i w Europie. Pietyzm dla symbolu kultu, poszanowanie oryginału,

znajomość sposobów rekonstrukcji bez uszkodzenia tego, co jest istotą rzeczy, dobytej piękna obrazu w tym wypadku Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej, oto zalety pracy wielkiego artysty malarza i konserwatora.

Dość odwiedzić pracownię prof. Rutkowskiego na Zamku Warszawskim by go podziwiać i uznać za najlepszego z pomiędzy lepszych w dziele przywracania Kościołowi i narodowi bezcennych pamiątek i świętych skarbów przeszłości w ich pierwotnym pięknie i aureoli świętości.

Mówiąc o konserwacji starych obrazów należy mieć na uwadze trudności z jakimi jest ona połączona. Rządy zaborcze wszystko robiły, ażeby tylko Polsce odebrać jej świętości: jedne wywieźć, a drugie zostawić losowi bez opieki, zabezpieczona i artystycznej kontroli. To też obrazy dostawały się niekiedy w ręce pacykarzy-



Obraz Matki Boskiej Kodańskiej po konserwacji

Główna rola przypadła jednak w tym zadaniu prof. Rutkowskiemu, jednemu z niewielu konserwato-

rekonstruktorów i poczciwców nie mających pojęcia o sztuce, stylu, metodzie i środkach konserwacji. Przytem

opiekę nad zabytkami utrudniano, ledwie ją cichaczem tu i owdzie wykonywano. Po odzyskaniu niepodległości zwyciężyła myśl konserwatorska, dążąca do tego, ażeby malowidła zabytkowe nie straciły pierwotnego stylu i charakteru i zostały pozbawione naleciałości późniejszych, a przez to całość rekonstrukcji dała obraz taki jakim wyszedł on z pracowni artysty.

Na polu tak pojmowanej konserwacji położył wielkie zasługi prof. Pettenkoffer, znany chemik z Monachjum, którego dziełko p. t. „O regeneracji starych malowideł” stało się podstawą dzisiejszej myśli konserwatorskiej, pierwszy za nią poszedł prof. Rutkowski, a obok niego tacy wybitni artyści jak prof. J. Makarewicz, Szyszko Bohusz i Skórewicz.



Fot. Bulhak.

Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej po konserwacji przez prof. Rutkowskiego

wanie kredy przez wilgoć, pęknięcie warstwy farbowej, reagującej na zmiany atmosferyczne, niedostateczne zabezpieczenie przez złe werniksowanie, a co już najgorsze, przerabianie i przemalowywanie przez niepowołanych artystów z różnych epok.

To też prof. Rutkowski i jego towarzysze stają przed nami jako ci, którzy z wielką umiejętnością, znajomością, pietyzmem i ostrożnością dokonywują pracy historycznej przywoływania do życia tego, co już prawie w swoim wyrazie przygasło i zamarło, a dziś dzięki nim nabiera swej pierwotnej świetności, blasku i majestatu.

X. W. Kneblewski



Obraz Matki Boskiej znajdujący się w wielkim ołtarzu fary w Bydgoszczy (w. XVI).

System ten zastosowano również do naszych cudownych obrazów, malowanych przeważnie w w. XIV do XVI, bardzo często na drzewie o gruncie kredowym i technice *al tempera*. Odnawianie tego rodzaju malowideł utrudnia przede wszystkim zniszczenie drzewa przez robaki, odpryski-



Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w ostatniej fazie konserwacji

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

HYMN
VENI CREATOR
NARODU ŚPIEW
DUCHA ŚWIĘTEGO
WEZWANIE

CZYLI

W SEJMOWEM KOLE
W ŚWIĄTYNI ŚWIĘTYCH
W KATEDRZE
W GROMADZIE GMINY
W ZBORZE PRACUJĄCYCH
W HUFIE ŻOŁNIERZY
W POLU NA ROLI
W DOMIE
W ZAGRODZIE RĘKODZIELNIKA
WE DWORZE W PAŁACU W ZAMKU
W CHAT OKOLU
JAK RZEK STRUMIENIE
OD PONIKÓW GÓR
PO WÓD ROZTOCZE
WE WICHRZE W PROMIENIU W GROMIE
W ORCE
PRZY ZIAREN SIEJBIE
JAK MOWA SIĘGA

ORĘDZIE:

Zstap Gołębica, Twórczy Duch,
byś myśli godne wzbudził w nas,
ku Tobie wnosim wzrok i słuch,
spólnie żyjący, wzrosli wraz.

Który się zwiesz Biesiadą dusz,
Wszchemogącego Boży dar,
płomieniem duszom piętno włóż.
przez czułość serc, zdrój żywy żar.

Zbrój nas we siedem darów łask,
Prawicą Ojca ojce wskrzesz,
w Obrzędzie roztocz wieszcy blask,
we Słońce dusze w lot Twój bierz.

Zestap światłości w zmysłów mrok,
dobądź serc naszych zapał z łon,
by człowiek przemógł cielska trok
i mocen wzniósł się w męzki ton.

Odwolaj wroga z naszych dróg,
w pokoju pokój zbawczy nam,
powiedziesz nas Wieszczy Bóg,
przejdziemy cało złość i kłam.

Zwól przez Cię w Tobie Ojca znać,
zwól, by był przez Cię poznany Syn.
zwól w Tobie Światłość światu dać,
zwól z wiarą wieków podjąć CZYN,

KRÓLOWA KORONY POLSKIEJ

Co oznacza ta złota strzała puszczona w bezkres, w błękit, w królestwo pozafizyczne, w metafizykę?

Kto ją uskrzydlił, kto napiął jej łuk — i do jakiego celu ona zmierza?

Po kilkakroć, w ciągu długich wieków, ojcowie nasi powracali do tej myśli zdumiewającej, niespodzianej, nieprawdopodobnej, myśli podobnej do orła, który rozpędził się w słońce wschodzące na widnokręgu.

Ale od pieśni *Bogurodzica*, grzmiącej w niebo z pierści czterdziestu tysięcy rycerzy na polach Grunwaldu w przełomowej chwili dziejowej, do myśli o oddaniu korony całego królestwa w ręce tej Bogurodzicy, droga nie była daleka.

Zjawiona w czasach królowej Jadwigi, w sercu jej najprawdopodobniej zrodzona, przez króla Jana Kazimierza urzeczywistniona, zostaje przez stolicę Piotrową uznana i raz na zawsze związana z dniem święta narodowego, Trzecim Maja.

Ten związek został pomysłany świetnie.

Bo święto narodowe jest chwilą uznania się narodu w swej nieśmiertelnej istocie. W tym momencie teraźniejszość wiąże się wspomnieniem nie tylko z pokoleniami, które tworzyły dzieje plemienia i położyły się w grób. Ona się wiąże przecuciem i z temi pokoleniami, które nadejda, a które uspię tkwią w kobiecie, tej twórczyni przyszłych pokoleń.

Od kobiety, od jej postawy wobec życia, od jej szlachetnej dumy, od wysokości jej serca, od czułości jej instynktów, jej upragnień, od jej wycucia hierarchii wartości utajonej w samym bycie, słowem od jej indywidualności moralnej i od jej mocy charakteru — zależy przyszłość narodu. Bo ona tym przyszłym pokoleniom oddaje krew swoją, fizyczne siedlisko ducha.

Ale ta jej indywidualność wyrasta z tęsknoty męczyzny, z jego wyobrażenia o kobiecie, z jego uskrzydłonej chimery. Staje się ona taką, jaką ją mężczyzna mieć chce.

Chce on ją mieć Astartą, to ją będzie miał Astartą! Chce w niej widzieć Walkirję krew sączącą z orężów, będzie ją miał Walkirję. W czym ją uwielbi, w tem ona wyrośnie na bóstwo.

A jeśli zechce ją poniżyć i uczyni z niej niewolnicę, to ona przyjmie

poniżenie i wcieli je w przyszłe pokolenia, czyniąc z nich plemię niewolnicze.

Mężczyzna rodzi kobietę, a kobieta tworzy plemię, i wcieli w nie wyobraźnię moralną mężczyzny, jaka się skupia w jego wyobrażeniu o niej. Do stwierdzenia tego zjawiska niepotrzeba nawet wielkich okresów kultury. Każdy nowy kierunek w sztuce wpływa na ukształtowanie kobie-

pokory" — pisze młody Mikołaj Sep Szarzyński, rówieśnik Kochanowskiego.

„Ty głowę starszy smoka okrutnego — którego jadem świat był wszystkim chory...”

Jest w tem zjawisku ogrom bogactwa i głębi — i wieki żyły niemi. Rzymski chrześcijanin, przechodząc koło *Domus aurea* cesarów na Palatynie, Ją nazywał w myślach Domem Złotym. Żyd nawrócony, patrząc na świątynię na Syjonie, Ją, Matkę Zbawcy, nazywał Arką Przymierza. Lecz nie tu miejsce rozwijać naturę tej nowej indywidualności duchowej.

Przechodząc do czasów dzisiejszych stwierdzimy, że niema innej drogi do Europy, jak przez bramę chrześcijaństwa. Bo kultura europejska jest córką ducha chrześcijańskiego, moralności chrześcijańskiej. A w tej moralności jest pierwiastek boski, nieskończony. Jest w niej najgłębsza rewelacja. I wzlot w niej jest nieprześcigniony. A każda religja nieobjawiona żyje tak długo, jak długo żyje jej system moralny, z którego zresztą sama wyszła, jako zjawisko wtórne. Dlatego upada islam i buddyzm. Ich miejsce jest w muzeum historycznym. Ich wzrost moralny okazał swą niewystarczalność wobec serca ludzkiego, rozbudzonego „dobrą wieścią” w Kazaniu na Górze.

Ten sam los spotyka religje naukowe, a dokładniej mówiąc, naukowe systemy etyczne ostatnich czasów. Serce ludzkie wie

już więcej niż one.

I oto dlaczego święto Królowej Korony Polskiej jest najwyższym świętem kobiecości. Naród opowiada się w tym dniu przy tej najczystszej i najdostojniejszej z matek, co ściera „głowę smoka okrutnego, którego jadem świat jest wszystkim chory”. Jej oddaje królowanie w duszy swojej, — a potem szuka tej samej królewskości na czole kobiet swoich.

Artur Górski



W. Ossecki: Matka Boska Ostrobramska — (akwaforta)

ty; rzeźba i malarstwo znajdują w niej swe zewnętrzne odbicie, piśmiennictwo sięga po jej duszę, kształtuje jej stosunek do mężczyzny, do życia.

A od natury tego to stosunku zależą dalsze przeznaczenia rodu ludzkiego.

Tu znajduje rozwiązanie zagadnienie postawione na początku naszych rozważań. Święto Królowej Korony Polskiej, to święto najwyższego ideału kobiecego, zjawionego w ciele i krwi. Stawia go mężczyzna sobie przed oczy i umieszcza tak wysoko, jak go na to stać, — oddaje mu koronę swej Rzeczypospolitej wiecznej.

„Panno bezrówna, stanu człowieka — Wtóra ozdobo, niepsowała w której — Pokora serca, ni godność



PIEŚNI MARJAŃSKIE

DOLOROSA

SINY, CHŁODNY STRUMIEŃ W DAL SIĘ SNUJE,

BRZOZA CZOŁO KU NIEMU NAGINA:

MATKA BOSKA BOLESNA CAŁUJE

SINE, CHŁODNE CIAŁO SWEGO SYNA,

Leopold Staff

DZWONEK PANNY MARJI W GORYCZKOWCU

Wiem, że usłyszę Ciebie w ostatniej godzinie,
jak sercem zakolatasz w spiż okrągłych ścian
i że jakaś modlitwa z dźwiękami popłynie,
pełna łaski, poczętej z Chrystusowych ran.

Przyniesiesz odkupienie dla win popelnionych
i dla tych, które jeszcze nie zdołały wejść,
o dzwonku, roznoszącym w różne świata strony
tę pod sercem poczętą w przebaczeniu wieść.

Z zapachem macierzanek, wyrosłych o świcie,
których nic nie zagłuszy w promieniu stu wiorst,
przyniesiesz uśmiech Marji, zrodzony w błękicie,
gdzie pod chmurą gradową lśni tęczyowy most.

Zbudzisz w milczącym sercu ostatnią tesknotę,
aby odejść stąd cicho, ciszej niżli cień,
co przeszedł niewidoczny pod zmurszałym płótem,
w południe pełne słońca, w najjaśniejszy dzień.

Obym miał w tej godzinie tę jeszcze świadomość,
gdy prowadzić mnie będziesz tą z niewielu dróg,
(o której może Tobie coś nie coś wiadomo),
że w takt twoich uderzeń idzie ze mną Bóg.

Edward Kozikowski

POLSKA DAWNA I OBECNA

NA KONGRESIE PARYSKIM POD WZGLĘDEM LUDNOŚCI I OBSZARU

Rzeczpospolita polska, która powstała po wielkiej wojnie, nie jest uważana przez Polaków za państwo nowe, dopiero przez traktaty pokojowe powołane do życia. Dla nas ta Polska jest tylko odbudowaną dawną Rzeczpospolitą, która istniała przez osiem wieków jako suwerenne państwo, aż uległo ono rozbirom przez trzy sąsiednie monarchje w latach 1773, 1793 i 1795. Dlatego mówi się zawsze w Polsce o „wskrzeszeniu” czy o „odbudowie” państwa polskiego. I pod bardzo wielu względami obecne państwo polskie nawiązuje do dawnej tradycji z przed końca wieku XVIII, jako dalszy ciąg tamtego państwa się uważając.

Pod jednym względem rzuca się jednak w oczy różnica między dawną Polską a obecną, jeśli spojrzemy na mapy tych dwóch państw — z końca XVIII wieku i dzisiejszą. Obecna Polska jest — *mniej*, niż ta dawna Rzeczpospolita, którą rozebrały w końcu XVIII wieku trzy ościennie państwa. Przed rozbiarami liczyła ona 732.000 kilometrów kwadratowych. Obecne państwo polskie zaś obejmuje tylko 388.279 km. kw. — czyli *nieco ponad połowę tego, co tamto dawne*.

Dużo światła rzuca na tę kwestję zmniejszenia terytorjum obecnego państwa polskiego porównanie cyfr powierzchni tych obszarów, które poszczególne państwa zabrały przy rozbio-

rach — z temi, które obecnie musiały odbudowanej Polsce zwrócić.

W trzech pierwszych rozbiarach z lat 1773, 1793 i 1795 dostały:

Austrja	—	129.000	km. kw.
Prusy	—	141.000	„ „
Rosja	—	462.000	„ „

Następnie jednak w dobie wojen napoleońskich nastąpiły w latach 1807, 1809 i 1815 znaczne przesunięcia granic pomiędzy państwami rozbiarczemi, a jedno jeszcze dodatkowe, zresztą drobne, w r. 1846 (zajęcie przez Austrję wolnego miasta Krakowa), tak, że przed wybuchem wielkiej wojny z ziem dawnej Rzeczypospolitej Polski należało:

do Austrii — 78.500 km. kw.
do Prus — 54.550 „ „
do Rosji — 599.000 „ „

Zwróciły zaś Polsce:

Austria — 80.089 km. kw.
Prusy — 46.210 „ „
Rosja — 261.980 „ „

Jak widać z porównania tych cyfr, od Austrii przypadło Polsce więcej, niż jej zabrala przy rozbiorach — a to 1.592 km. kw. więcej. Prusy mniej oddały, niż wzięły. Jeśli się bliżej przyjrzymy stosunkom przestrzeni, która przypadła Polsce w myśl traktatu wersalskiego od Niemiec, to możemy stwierdzić ciekawy fakt: z terytoriów, dawniej polskich, przynależnych do Prus przed wojną, *utrzymały* one nadal 10.600 km. kw. (wolnemu miastu Gdańskowi przypadło 1.888 km. kw.), za to Polsce oddały z terytoriów, które w czasie rozbiorów do niej *nie należały* — 4.200 km. kw. Rosja zwróciła Polsce *mniej niż dwie piąte* z tego, co niegdyś jej zabrala, a pamiętać trzeba, że Rosji przypadł udział największy w zaborze ziem dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

*

Jak wytłumaczyć te różnice, które wykazuje porównanie obszaru dawnej Rzeczypospolitej polskiej — a obecnej? Jak wyjaśnić te przesunięcia granic obecnych w stosunku do dawnych — w *drobnej* części na *korzyść* Polski, która otrzymała niektóre terytoria, nienależące przed rozbiorami do niej, *przeważnie* zaś — na jej *niekorzyść*?

Odbudowa Polski — to wyraz potępienia gwałtu, jakiego na niej dokonano w końcu XVIII wieku, uznania jej prawa do życia, a prawo to oparte było na zasadzie historycznej. Ale przy ustaleniach, które terytoria mają do Polski należeć, inny moment decydował. Zarówno odezwa wielkiego księcia Mikołaja, dowódcy wojsk rosyjskich, z 14 sierpnia 1914 r. mówiąca, iż mają się „zatrzeć granice, rozcinające na części naród polski”, jak i odezwa rewolucyjnego rządu rosyjskiego z 29 marca 1917 r. o utworzeniu państwa polskiego, złożonego „ze wszystkich terytoriów, w których Polacy tworzą większość”, nie mówiły o wskrzeszeniu Polski w jej dawnych historycznych granicach. Po dojściu do władzy rządu sowieckiego rada komisarzy ludowych uchwałą z 9 września 1918 r. uznała za nieważne traktaty rozbiorowe, dotyczące się Polski, z lat 1772, 1793 i 1795, i oficjalnie zawiadomiła o tem 3 października 1918 r. rząd niemiecki, ale rząd rosyjski nie wyciągnął logicznego wniosku — uznania dawnej granicy z przed roku 1772 między Polską a Rosją. Uchwałą z 29 marca 1918 r. podkreślała inną zasadę — etnograficzną, mówiąc o terytoriach, w których Polacy „tworzą większość”. Ta etnograficzna zasada występuje też w innych de-

klaracjach co do odbudowania Polski. Tak zwłaszcza prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. Woodrow Wilson w punkcie 13-tym głośnego oświadczenia z 8 stycznia 1918 r. zapowiadał jako jeden z celów wojny utworzenie niezawisłego państwa polskiego, które miałyby objąć obszary, zamieszkałe „niewątpliwie przez ludność polską”, a więc państwa polskiego, opartego nie o historyczną, ale etnograficzną podstawę.

Szczególnie na kongresie paryskim podkreślano z całą siłą zasadę etnograficzną jako zasadę wyznaczania granic nowo tworzonych czy odbudowywanych państw; jedynie co do Czechosłowacji połączono ją z zasadą historycznych granic. Specjalnie co do Polski zasadę etnograficzną zastosowano na kongresie bardzo ściśle. *Odbudowa* więc państwa polskiego miała być niejako ekspcją za zbrodnię, popełnioną w końcu XVIII wieku przez Prusy, Rosję i Austrię; ale *granice* jego miały być wyznaczone na podstawach etnograficznych. Tem się tłumaczyła przedsięwzięta na kongresie korektura dawnych granic historycznych czy na korzyść, czy przeważnie na niekorzyść Polski czynionych. Gdzie nie było wątpliwości, że chodzi o terytoria etnograficznie polskie — przyznawano je Polsce odrazu; gdzie jakiegokolwiek budziły się podejrzenia, choć nawet ludność była etnograficznie polską, jeśli tylko jej uświadomienie narodowe nie było pewne, nakazywano plebiscyt.

Tak traktat wersalski z 28 czerwca 1919 r. przyznał Polsce odrazu, bez plebiscytu dwie prowincje państwa pruskiego: poznańską (Provinz Posen) i zachodnio-pruską (Westpreussen), czyli dawne polskie t. zw. Prusy Królewskie (Pomorze). Według urzędowej statystyki niemieckiej, mianowicie spisu ludności z r. 1910, było w prowincji poznańskiej ludności polskiej 60,9%, przyczem w poszczególnych powiatach cyfry te wynosiły 88,94% (Kościan) 87,18% (Środa) i t. d. W prowincji Prus Zachodnich naogół wykazywał spis 34,3% ludności polskiej, ale stanowiła ona większość powyżej 50% (do 73,47%) w szeregu powiatów, jak Kartuzy, Puck, Kościerzyna, Starogard i t. d. Cyfry te nie odpowiadały zresztą rzeczywistości, zwłaszcza w Prusach Zachodnich; wielu Polaków podawało się przy spisach ludności pod presją władz za Niemców. Na kongresie niecałe te prowincje przyznano Polsce. Odcięto powiaty, które uległy niemieckiemu, zwłaszcza z Prus Zachodnich od zachodu i od wschodu, zostawiając Polsce pas środkowy z bezwzględną przewagą polską, sięgający po Bałtyk. Polsce przyznano więc tylko te części, gdzie Polacy byli w *przeważnej większości*, a Niemcy stanowili wyspy w otoczeniu polskiem. Tak z prowincji poznańskiej z 28.975 km. kw.

i z ludności 2.072.000 przyznano Polsce 26.111 km. kw. i 1.920.000 ludności, z Prus Zachodnich z 25.580 km. kw. i z 1.704.000 ludności tylko 15.900 km. kw. i 967.100 ludności. Kiedy też przeprowadzono w r. 1921 spis ludności na tych obszarach, to mimo iż jeszcze przeważna część optantów nie opuściła ich jeszcze, wykazywał on na obszarze dawnej prowincji poznańskiej 83,1% ludności polskiej, na obszarze zaś dawnej prowincji Prus Zachodnich 81% ludności polskiej.

Co do tych terytoriów nie było żadnej wątpliwości, że są rdzennie polskie. Przyznano je więc na kongresie Polsce bez zastrzeżeń. Inaczej postąpiono co do innych obszarów, do Niemiec należących, z przeważającą również etnograficznie ludnością polską, ale co do której powzięto wątpliwości, czy ma ona poczucie narodowe, czy chce do Polski należeć. Postanowiono tę sprawę zbadać w drodze plebiscytu. Takie plebiscyty zarządzono: 1) na kawałku Prus Zachodnich, leżącym po prawym brzegu Wisły, 2) w rejencji olsztyńskiej, należącej do Prus Wschodnich (Ostpreussen), zasiedlonej według niemieckiego spisu ludności z r. 1910 w połowie przez ludność polską (48,9%), t. zw. Mazurów, protestantów co do wyznania, i 3) na Górnym Śląsku 57% ludności polskiej. Obszar rejencji olsztyńskiej i Górnego Śląska nie należał do dawnej Rzeczypospolitej polskiej przed rozbiorami; ale zgodnie z zasadą etnograficzną te terytoria Polsce powinny były przypaść.

Względami na moment etnograficzny, z całą siłą akcentowaniem przez Lloyda George'a na konferencji paryskiej (choć w tym wypadku służyły jako pokrywa dla zgoła innych celów), usprawiedliwiano też, iż Polsce nie przyznano Gdańska, ale utworzono z niego i z okręgu mającego przewagę ludności niemieckiej (1.888 km. kw. z ludnością 330.000) osobne wolne miasto.

Na kongresie paryskim, jak widać z poprzednich wywodów, przy ustalaniu granic za podstawę wzięto wyłącznie moment etnograficzny — ale i to z modyfikacją na niekorzyść Polski, gdyż w szeregu obszarów zarządzono plebiscyt, mimo iż moment etnograficzny przemawiał za ich oddaniem Polsce bez zastrzeżeń. Dopiero przy ustalaniu granic południowych i wschodnich znalazł częściowo uwzględnienie moment historyczny — ale również tylko częściowo, silniej co do terytoriów, które Polsce przypadły po Austrii, w pewnej jedynie mierze co do terytoriów, przynależnych poprzednio do Rosji.

Stanisław Kutrzeba

JAN KASPROWICZ

Artykuł poniższy to podzwonne Przybyszewskiego; pisany niemal w ostatnich godzinach przed śmiercią jest płomiennym słowem poety o poecie. — Jaki był stosunek Przybyszewskiego do twórczości Kasprowicza — wiemy z wielu poprzednich enuncjacji, książek, artykułów i prelekcji twórcy „Śniegu”. W artykule poniższym cześć Przybyszewskiego dla olbrzymiej twórczości Kasprowicza urasta do wymiarów kultu bezgranicznego, a rozpatrywana ze stanowiska nader indywidualnego, podkreśla wszystkie znamiona pióra, umysłowości, poezji i specyficznych poglądów śp. St. Przybyszewskiego. R.

Pragnąłbym być jakimś wielkim psalmistą Bożym, któryby na niebiosiężnej harfie wygrał wielki i zbożny hymn na cześć wielkiego syna — Anteusza, jakiego rzadko która ziemia zrodziła, ale na to mnie nie stać, bo potęgi i mocy Kasprowicza słowami wyrazić nie można, co najwyżej ją przeżywać, więc staję tu przed wami, by w krótkich słowach w najgłębszym wzruszeniu wskazać wam drogę ku temu, którego potężny jasnowidz Mickiewicz przeczuwał, gdy mówił o Paraklecie-genjuszu, który po nim przyjdzie — a będzie ci to mąż, który jak najwięcej przeszłości ma przytomnej w duchu i jak najwięcej przyszłości, stworzonej duchem i już w sobie zrealizowanej.

Ten, który stanął na progu XIX stulecia i nową Polskę budował, który miał najwięcej przeszłości przytomnej w duchu, przewidział tego, który miał stanąć u progu XX wieku, a który miał najwięcej przyszłości, stworzonej duchem — Jana Kasprowicza.

Nasza tradycja romantyczna każe nam bezustannie stawiać narówni z Mickiewiczem, Słowackiego i Krasińskiego — na tym samym piedestale usiłuje postawić i Wyspiańskiego i Norwida.

Mam głęboki szacunek dla tradycji, a nie kryję się z tem, że żywię głębokie uwielbienie dla Słowackiego — niemniej korzę się przed jasnowidztwem wielkiego proroka Mickiewicza, który nazwał bogatą poezję Słowackiego — kościołem bez Boga — a do Krasińskiego odnosił się z życzliwością geniusza do — wielkiego talentu i z tą samą dobrocią, z jaką się do ukochanych przyjaciół, czy do Goszczyńskiego czy też Bohdana Zaleskiego odnosił — tu już jego sądy nacechowane wyraźną przyjacielską serdecznością. Norwid był mu całkiem obcy, a Wyspiańskiego powitałby jako pogrobowca, piękne dziecię królewskie, które jednakowoż przyszłości w sobie nie miało. Wyobrażam sobie jednak jego zdu-

mienie, gdyby spojrzął oko w oko temu, który w jego najbogatszych snach bezustannie się ukazywał i na którego wyraźnie jasnowidztwo jego palcem wskazywało — na Jana Kasprowicza. W nim ujrzalby niechybnie tego, który tę przyszłość, jakiej on ani czasu ani ochoty nie miał tworzyć, bo zbyt go jego własny nie szczęśny naród opętał — w sobie Duchem stworzył i już w sobie zrealizował.

Zrealizowana przeszłość to Mickiewicz sam — on, który żył miljonem i cierpiał za miliony — zrealizowana przyszłość to ten, który nie tylko



Jan Kasprowicz.

naród, ale całą ludzkość ogarnął i już za całą ludzkość cierpiał i straszliwy krzyż jej grzechów i cierpień na swe bary dźwignął.

Mickiewicz i Kasprowicz to nie tych dwóch wrogich bogów, którzy na dwóch słońcach siedli i wzajem na siebie jakieś biedne *anathema* współzawodniczących mocarzy rzucają — przeciwnie: jeden jest dopełnieniem drugiego — z tą samą miłością, jaką Kasprowicz do Mickiewicza pałał, z tą samą miłością odezwałby się Mickiewicz do Kasprowicza: „Teraz już mogę odejść w spokoju”.

Nas wiekowa tradycja tak osłepiła, że moje zestawienie Mickiewicza z Kasprowiczem może się wydać ja-

ką ekstatyczną przesadą — to, co Mickiewicz dla swego narodu zrobił — ten święty prorok i pielgrzym — jest tak niesłychaną zasługą, że nie wolno mieć innych bogów przed nim.

Nadszedł jednak czas w tej naszej wolnej Polsce — którą, jeżeli głębiej wejrzymy, Mickiewicz stworzył, bo ani na chwilę nie wątpię, że bez Mickiewicza Polskiby nie było, — rozjeżdżać się między tymi, którychby on sam jako godnych siebie uznał — a za jedyne — nie jako boga na przeciwnym krańcu, ale jako współboga uznałby bezwzględnie tego, którego przeczuł i wyprorokował: Jana Kasprowicza.

Nie uwielbienie Kasprowicza, ale głębokie wmyślenie się w dzieje twórczości duszy polskiej kazało mi podjąć gruntowną rewizję dotychczasowego naszego poglądu na jej triumfalny pochód: wnioski moje wydadzą się wam może paradoksalne, ale kto wie, czy w niezadługim czasie nie znajdzie się jakiś śmiały, odważny i wnikliwy krytyk, który przeżyje losy wielkiej i bogatej twórczości naszej duszy zbiorowej, tej, która żyła przeszłością i tej, która przyszłość tworzy i już w nią wrasta, a wtedy miast romantycznej trójcy: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, ustali inny szereg — a nazwą tej trójcy: Jan Kochanowski, Mickiewicz, Kasprowicz.

Już Zygmunt Krasiński uznał w swojej pokorze, że niegodzien być stawiany z Mickiewiczem narówni, bo wołał: „myśmy wszyscy z niego”; — o Kasprowiczu nie można powiedzieć, by był „z niego”; on był sam z siebie, jak był nim Kochanowski i Mickiewicz.

I zdumiewające: nie na dwóch słońcach siadło dwóch przeciwnych sobie i wrogich bogów — tu stanęły wobec siebie o tysiące mil odległe dwie bliźnie gwiazdy: na wschodnich kresach — Mickiewicz, na zachodnich rubieżach — Kasprowicz — ten ostatni dopełnieniem potęgi i blasku tamtego, — ta tylko różnica zachodzi: tamten — Mickiewicz, uznany za bohatera i wódza narodu — ten zaś, mało jeszcze znany — mało jeszcze wybrańców, którym przypadła w udziale nie słychana rozkosz, by z jego duszą obcować, — rzucił dopiero olbrzymi cień w przyszłość — ale jednak — i tu zdumiewającą analogię odnaleźć można.

Jeszcze za życia uważano Mickiewicza, co się rzadko któremu artyście

zdarza, za genjusza — a nimbem genjusza owiana była jeszcze za życia postać Kasprowicza. Mało jeszcze ludzi wie, że on jedyny wśród współczesnych na to miano zasługuje, a jednakże musi być nawet w tym słynnym i osławionym *vox populi* ukryta jakaś podświadomość, która mi pozwala mówić o nim, jako o rewelacyjnym zjawisku — raz na sto lat spotykaniem, mówić o nim jako o genjuszu.

Nigdy nie nadużywałem tego miana wobec jakiegokolwiek mi znanego współczesnego artysty — nie tylko, że nie nadużywałem, ale byłem niezmiernie powściągliwy w użyciu tego słowa, a miałem dużo do czynienia w moim życiu z tak zwanymi wielkimi ludźmi. Tu na chwilę nie waham się nazwać Kasprowicza genjuszem, godnym stworzyć tę nową trójcę nie romantycznej Polski, ale tej, która ma bogatą przeszłość, ale może i bogatszą przyszłość, trójcę — raz jeszcze powtarzam:

*Kochanowski, Mickiewicz,
Kasprowicz.*

Zbyt ciasne ramy przygodnego przemówienia nie pozwalają mi narazie uzasadnić głębiej tego, com dopiero powiedział — nawet się o to kusić nie mogę, co najwyżej narzucić parę plam na jakiś wielki obraz, który, Bóg da, kiedyś wykończę.

Do kościoła Kochanowskiego lał się bogaty strumień świetlistej łaski i chwały — ten snop żywego, gorącego, słonecznego światła, który się na obrazie Matejki przedziera przez okna Zygmuntofskiej świetlicy, gdy zaprzysięga Unję Lubelską — kiedy to Ojczyzna, świadoma swej bogatej mocy, święciła swe królewskie chrobre gody z całą Europą, a jej Bogiem był ten, który ją przez tak długie wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały i temu Bogu wyśpiewał Jan z Czarnolasu swój cudowny hymn: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary“ — a śpiewał ten hymn twórca potęgi duchowej duszy polskiej. Inaczej już wyglądał kościół Mickiewicza — tego, który ciałem połknął duszę męczeńskiej Ojczyzny — który w walce się w grzy siewiatyni krzycał do Boga: „Cierpię i szaleję — a Ty mądrze i wesoło zawsze rządzisz, zawsze sądzisz i mówią, że Ty nie błędzisz?“ Kościół Mickiewicza pękał pod naporem obłąkanej i zropaczonej pychy syna człeczego, który nazwał się milionem, bo za miliony cierpiał, patrząc na Ojczyznę biedną, jak syn na ojca wplecionego w koło — który żądał od Boga, by się podzielił z nim swoją władzą i dał mu rząd dusz, by mógł swój naród dźwignąć i uszczęśliwić i cały świat nim zadziwić. I całkiem już inny kościół Kasprowicza!

Jakaś niesłychana katedra gotycka średniowiecza. Na setki mil wokoło zwoziło biedne chłopstwo budulec — ten tam wypalał lata całe cegły, ów zaś wydobywał z wądolca na swoim marnym gruncie w ciężkim trudzie piasek, tamten znowu latami całami łupał kamień, a nie było jeszcze prochu, któryby kamienne skały rozsadzał, a gdy zabrakło bydła, by zwieźć budulec na dane miejsce, zaprzęgali się starzy i dzieci i słabe niewiasty do ciężkich wozów, a jeżeli już komu sił nie starczyło, poganiał słabych i omdlałych żarliwą modlitwą tłum żebraczych kalek i trędowatych potępieńców.



Harenda.

I tak przez całe życie budował Kasprowicz w straszliwej męczarni i krwawym znoju potężną świątynię nie dla tego Boga, który już odarł Ojczyznę w niepojętych swoich wyrokach z blasku i chwały, i nie dla tego Boga, z którym było się można wadzić o rząd dusz, ale dla Boga całej utrapionej ludzkości, dla Boga, ku któremu dusza jego wznosi się i jęczy i płacze:

„Gdzież jest większy pan i króli władca? Gdzież moc Ci równa i równa potęga? Sam z siebie powstał, majestat Twój płonie na tym z wieczności zbudowanym tronie!“ Hymn do Boga w „Mojej pieśni wieczornej“ niema nic równego w całej literaturze europejskiej:

„Wichr oddycha Jego piersiami, istnienie swoje zamknął w prochu ziemi, duszę człowieka wywiódł z siebie razem z słońcami, rozszaniami na niebie — wszystko jest z Niego, jako On jest

wszystkiem i przez Niego wszystko ma nieśmiertelne w Nim królowanie“.

I do tego swego kościoła — jakiegoś przepięknego gotyckiego tumu zaprosił Kasprowicz już nie naród, ale ludzkość całą, bo „On był i myśmy byli przed początkiem — chwalmy i wielbmy Jego święte Imię — razem z gwiazdami byliśmy i słońcem, zanim się gwiazdy i słońce jeły rozbijać w swych kołach — nim jeszcze miłość i spokój stały się ogniem trawiącym, zanim się stały zabójczą tęsknicą i tem kamiennym, ślepem przerażeniem...“

I w tej potężnej, przez siebie wybudowanej, z własnego ducha wzywu ku niebu wyciągniętej świątyni, przed ołtarzem Boga, którego na tron osadził, wyciągnął się na zimnej posadzce syn człowieczy — większego nad niego nie było, jak ziemia widna i daleka — i czyni przerażającą spowiedź z grzechów, które nie on, ale cała ludzkość popełniła. Tu już nie jest milionem, ale setką milionów. To już nie chępliwa Polska Chrystusowa, to Polska wpleciona w straszliwe koło przeznaczeń całej złej, zbrodniczej ludzkości — w krzyż się wyciągnął syn człowieczy i krzyczy do Boga: Karz mnie! Bomi ci ja człowiek, który wyszedł z grzechu i prześladowan był przez grzech — do końca! Moja to wina! Bo oto moja nieprawość, mnoga, jak iskry tych ogni, przeszła granice, Panie, Twych zamiarów!

W tej spowiedzi nie wypowiada się człowiek — ale pomazaniec Boży. Eschatologia katolicka, nauka o wybawieniu poucza nas, że najwyższą zasługą świętych było to właśnie, że brali na siebie grzechy tych, którzy niezdolni byli do ich odpokutowania, zasię Bóg wybierał tych wybrańców, którzy obce grzechy na siebie brali. A Kasprowicz wziął na siebie

straszliwy ciężar grzechów całej ludzkości.

W trzech kościołach odprawiają się najuroczystsze msze narodu polskiego — w kościele Jana Kochanowskiego triumfalne *Te Deum* chwały i potęgi — w kościele Mickiewicza *missa desperationis* — żałobna msza rozpacz, jednak z nadziejnym *Ite missa est*, bo Kasprowicza przewidział — w trzecim kościele, kościele Kasprowicza odbywa się msza, w której bierze udział całe już człowieczeństwo zbolełe, zmarnowane, przemęczone, ale ufne w Tego, którego opiece odda się szczerze, a wtedy łaska Jego od złego ustrzeże...

Bo czyżaj dobroć Twych bezmiarów [sięga,

Gdzież moc Ci równa i równa [potęga?!

W epoce Mickiewicza przeżyła dusza polska całą swoją męczeńską trady-

cję. — w Kasprowiczu taż sama dusza polska duszę wszechludzką takim bólem, tęsknotą, ogromem cierpienia, zdolnym według słów Kasprowicza „rosadzić piersi Lucyfera lub Prometea”.

Z mocarnego tuku kości bohater-skich naszych praocjów, z życiodajnej plazmy krwi ich, w męczeńskiej ofierze przelanej, czerpała siłę dusza polska w Mickiewiczu przebogaty karm. — Ofiarą, męczeństwem, całą Gehenną cierpien wszechbytu przebogata dusza polska zsyntetyzowała się mocą współczucia, współprzeżywania i współcierpienia z całą ludzkością i światem całym w jednym Kasprowiczu.

W Kasprowiczu przedarła się dusza polska poprzez granice, wykreślone jej przez duszę zbiorową, w nieskończoność rozszerzyła horyzonty ducha narodowego, w nim ujawniła się w oślepiającym blasku swej tęsknoty ku duszy wszechświata, w nim stratawała zapory, jakie jej tradycja historyczna stawiała, potrzeby bieżącej chwili, obrachunki społeczne i sprawy przyziemnego bytu — w Kasprowiczu wyzwoliła się dusza polska z wszelkich pęt i ucisków nocy i rwie się na łono złocistego świtu aż tam ku owym wyżom, kędy giną granice zmysłów, a duch ludzki zawisa nieruchomy, wpatrzony w świtów ciągły ruch, w słonecznych nieb ogromy — gdzie śmierć cierpliwie drzemie, hymny niebieskie ogarniają ziemię, że trwaniem niema końca i tam dochodzi, gdzie graniczą Stwórca i natura.

A tak blisko żaden z twórców polskich nie dotarł do Stwórcy jak ich dwóch: z tą tylko różnicą, że Mickiewicz był rzecznikiem swego narodu — Kasprowicz rzecznikiem całej ludzkości!

W tem krótkim przemówieniu nie myślę się silić, by oświetlić chociaż jeden odłamek tej przepięknej duszy jakiegoś mitycznego Giganta, mogą tylko co najwyższej wskazać drogę, która prowadzi do poznania duszy Kasprowicza. A droga ta strasznie trudna, uciążliwa i bolesna.

Pełno na tej drodze pochyłych krzyży, którym na czarne ramiona kracząca siada wrona i dziobem zmarłe rozsypuje próchno — na samotnych polach kurzem obsypana siadła ślepa Dola — a jako widna i daleka ta ziemia wspaniała, wielką godziną konania — wokół leżą nieopgrzebione ciała, a od tej ziemi idzie trujący, śmiertelny wiew — a śmierć kroki swe liczy na mile i kosą zatacza łuk, że jako zboże w dzień kośby tak pokolenia padają.

I straszna to droga, którą wlecze się samotny człowiek, na barkach ciężki dźwigający krzyż i spiekło

usta otwiera, by wraz z tęsknotą świata zaśpiewać przenantajświętszy hymn *Salve Regina*; krzyżeć: Kopcie mi samotny grób, by w nim mógł kości złożyć ten, który powstał z tej ziemi, który miał w sobie jej trud i tajemniczy lęk — i błaga i prosi, by na tej ziemi mógł spocząć na wieki ten, który z jej chat zabrał żalniki łez i w świat jak wielką świętość niósł.

I straszna to droga, na której jęcząc i stękając w krwawej rozplakanej godzinie z wszystkich dali i poblizy złowieszcze dzwony, jako że Jedno jest tylko Jednym, grzmiącym miedzianą surmą archanioła ponad pokoleń po-



Grobowiec Kasprowicza.

koleniem biednym w Pańskiego gniewu nieskończony dzień:

Wielki wszechmocny Ból!

I straszna to droga, na której samotny człowiek staje i ręce ku niebu wy-
[ciąga i błogosławi Cierpieniu,
Bądź pozdrowiona, o Ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdenne cienia
Źródło mej pieśni, macierzy natchnie-
[nia — Bolesci!

I straszna droga jakiegoś potężnego Syna Ziemi, z ziemi porozonego Anteusza, który opętany wichrem gniewu Bożego błaga go o spokój o ukonjenie, o samotny grób:

Niechaj w nim kości położy ten, który z matki żywota wyniósł nie-

szczęsny los! Nieokielznana gnała go tęsknota za widmem bólu,
który sam jeden posiada wszechmocny
głos —

który sam jeden rozpieśnia duszę słabego człowieka w natchnioną pieśń, zapładniającą światy!..

Droga do Kasprowicza prowadzi ponad przepaście, przez grzech i winy zrodzone, aż hen pod złomy niebotycznych gran, kędy rozsiadła się matka Śmierci, jasnowłosa Ewa, pieścąc węża Grzechu, a wokół na przełęczach spoczęła ogromna, wiekusta męka z nieprzygasłymi oczyma, milcząca, cicha, żarłoczna na wydętej piersi ludzkości, którą do krzyży przybiła dręcząca wieki niezmożona siła — a ponad wszystkim głowa, owinięta cierniową koroną, głowa Tego, który swej męki ogromem duszę wygnaną z rajy wybawić pragnął!

I jedno jest tylko w przestworzach widomem, jedno w zachodniej płomiennej zorzy nad płomiennymi falami wiekuistego Żywota i nigdy w ciemnię grobu się nie złoży i nigdy ciężkich stóp swych nie poruszy, by iść, iść i iść poza granice duszy:

wielki wszechmocny Ból!

Kasprowicza się nie czyta — Kasprowicza przeżywać trzeba. — Z literaturą zwykłego chociażby i najtęższego talentu Kasprowicz niema nic wspólnego. Talent tkwi w codziennym życiu, odpowiada w większym lub mniejszym stopniu potrzebom życia. Można od niego wymagać i porzucenia dusz, nawet pewnych wytycznych dla drogi życia, można żądać od niego, by rozweselał, rozczulał i w pewnej mierze zasmucał, by za chwilę chmurę smutku rozpromienił wychylającym się słońkiem — wobec Kasprowicza można tylko stanąć ze zbożnym, pokornym, niemal zabobonnym lękiem, z jakim z poza węglów pałaców Florencji przyglądano się temu, który wszystkie czeluści piekiel wymierzył, — a imię jego Dante —

i mieć odwagę zstąpić do tego strasznego królestwa Bólu i Cierpienia — do tego „*regno doloroso*“, w które on jeden miał odwagę zstąpić.

Kasprowicza się nie czyta, słucha się w zdumionej trwożnej pokorze głosu jego objawień, jak się słucha miast rzeźwiącego zbawienia, rozlegań dzwonu, co z jękiem się czołga po spalonej łące, z płaczem się wznosi nad umarłe błonia, łkaniem wyschnięte chce poruszyć wody i rozpaczony zamilka u brzegu i znów się zrywa i jęczy i płacze i łka i płynie, i płynie, i płynie — w tej rozplakanej godzinie.

Chleb Kasprowicza gorzki jak piołun, ale to chleb, który brali z sobą wielcy prorocy, gdy szli na pustynię, by tam z swym Bogiem rozmawiać —

a jego wino, to wino mocnych, które najsilniejszych tylko z nóg nie zwala.

I z jego winem i chlebem żywić się będą ci, którzy zapragną pobytować na tym podniebnym szlaku, kędy Natura i Stwórca z sobą graniczą.

A chlebem i winem twórcę Kasprowicza nietylko dla własnego narodu, ale dla całej ludzkości. I w tem tkwi to niepomierne i niesłychane znaczenie twórcy Kasprowicza w polskim piśmiennictwie.

Kasprowicz jedyny — istotnie wyjątkowe zjawisko w naszym piśmiennictwie, — który jest dostępny bez wszelkich przygotowawczych studiów dla każdego narodu — a znamiennem to, co mi przed dziesięciu laty powiedział po ukazaniu się Hymnów w mojem tłumaczeniu niemieckiem redaktor Bismarkowskiego organu *Hamburger Fremdenblatt*: Wcalebym się nie dziwił, gdyby w Niemczech powstała jakaś żarliwa: Kasprowicz-Gemeinde — gmina Kasprowiczowska.

A wiedział to sam Kasprowicz, gdy w swoim precudnym poemacie *Salve Regina* krzyczy ku całemu światu, by tę pieśń, którą przed chwilą nazwał wielkiem objawieniem krzyżowego bólu, niedostępnem dla wszystkich, każe teraz całemu światu śpiewać:

„Śpiewajcie ją wszyscy, wasze to zycie i wasza to krew — ta pieśń wstrząsająca, która swym świętym pogłosem nie o świątynne łamie się sklepienia, ale przez pola idzie, wielkie pola, i zmartwychwstanie zmarłym daje kościom, i we wiosennym uśmiechu się blasku, i śnieg na łąkach roztopia, i zwiędłe trawy w świeżą stroi zielen”.

I takim objawieniem dla całej ludzkości, tą *Salve Regina* śpiewaną na całym świecie w krzyżowym bólu, w rozpacznej tęsknocie, w strasliwym pragnieniu wyzwolenia — *Salve Regina*, którą śpiewają wszyscy, którzy na wątłych ramionach dźwigają krzyże przebolesnej tęsknoty i tajemnic bólu.

Ten hymn wzniosły i święty: *Salve Regina*, od wieków śpiewany przez wszystkie ludy i wszystkie pokolenia, to najistotniejszy twór Kasprowicza, z którym żaden inny chociażby naszych największych mocarzy Ducha, porównać się nie da.

A jeżeli przyszedł historyk literatury pokusi się o wymierzenie granic olbrzymiego władztwa geniusza Kasprowicza, będzie musiał się porać z jednym fatalnem nieporozumieniem.

Cała tak zwana krytyka literacka obwołała jednogłośnie Kasprowicza — chłopem. Nic więcej fałszywego nad to mniemanie.

To, że Kasprowicz w chłopskiej chałupie się urodził, nic nie stanowi o jego duchowem pochodzeniu.

Ja zaś twierdzę, że Kasprowicz to ostatni z Piastowiczów, z najczystszej krwi książęcej — tem się tłumaczy tajemnica, że tylko na kujawskiej ziemi, u stóp Mysiej Wieży reinkarnować

się musiał — Kasprowicz — on, który całą przeszłość w siebie wchłonał, a olbrzymi cień swój na najdalszą przyszłość rzucił — on, który przeżył i strawił całą kulturę Europy w migawkowym czasie, boć to wszystko było tylko dla niego anamnezą Platona, przypomnieniem wieków, w których tu już przed swoim przyjściem na świat bytował — otóż Kasprowicz to istotny Król Duch, — jeżeli wogóle poza Mickiewiczem jakiśkolwiek twórca na to dumne miano zasługuje — nie był nim Słowacki, choć to właśnie on, ten potężny jasnovidz odkrył najwięcej ukryte, najtajniejsze ścieżki, jakimi Duch poprzez tysiące stuleci kroczy.

Kasprowicz chłopem?!

Ja chłopca polskiego bardzo cenię i szanuję, ale równocześnie wiem, że „natura“ nie operuje temi olbrzymimi skokami, by z łona bezkulturalnego chłopstwa mógł się zrodzić tak niesłychany i niepojęty fenomen duchowy, jakim jest Kasprowicz.

Naodwrot: dusza jakiegoś wielkiego mocarza, raczyła sobie za gościnę obrać chłopską lepiankę, bo snąc jej było potrzebne, aby przed dojściem do absolutu, zapoznać się, a może i niepomiernie wzbogacić nędzą, udręką i męczeństwem chłopskiej doli.

Czego dowodzi, że Król Duch, Kasprowicz, chłopem się urodził?

Niczego innego, jak tylko tego jedynego: nadeszła chwila, gdy Król Duch z królewskiego rodu Piastów się wywodzący, zapragnął wywieść najwięcej uciemioną, z bydlęm ro-

boczem zrównaną warstwę społeczeństwa do godności człowieczej — osłonił ją purpurowym płaszczem swego majestatu królewskiego i stał mu się słupem ognia, który go miał z pustyni przeprowadzić do ziemi obiecanej.

Niestety misja ta zawiodła.

Za ciasno było tej książęcej, a nawskroś arystokratycznej duszy w chłopskiej powłoce — tysiącwiekowa kultura odgradzała duszę ostatniego moze Piastowicza od duszy chłopskiej, on nawet nie znał duszy chłopskiej — to wszystko, co o chłopie powiedział nie jest żadną rewelacją, przeważnie są to wyolbrzymiania duszy chłopskiej do szekspirowskich wymiarów, ale istotnego chłopca w tworze Kasprowicza nie ujrzyż.

To też rychło wziął z nim rozbrat, a jeżeli jakaś księga nie powędruje nigdy pod strzechę chłopską, to księga, w której ten potężny arystokrata Ducha, ten wielki Król Ducha złożył świadectwo swego bytowania, kiedy był już wraz z Nim od początku.

Złożyliście szczątki Juljusza Słowackiego do grobów królewskich, doczesne szczątki wielkiego jasnovidza, który wyszedł tajemne drogi, jakimi Duch od jednej wieczności do drugiej kroczy, a tem samem uznaliście jego naukę o wiecznym inkarnowaniu się Króla-Ducha — sprawdzianem tej nauki, to potężne, niezwykłe zjawisko, jakim jest i już na zawsze pozostanie w dziejach najwyższego wysiłku twórczej duszy polskiej Jan Kasprowicz.

Stanisław Przybyszewski

Kuźnia skrzydeł

(W dwudziestą piątą rocznicę twórczości
Vlastimilowi Hoffmanowi)

*W naporze dni bez znaczenia — i wielkich, bo małych nieszczęść,
Zbiegałem z miasta do Ciebie w przejrzyste, jasne powietrze.
W opiekę drzew Twych domowych, kur rozgdakanych i świątka,
Gdzie malowałeś bez przerwy wąż, anielskie dziewczątka;
Gdzie zaludniały tłumnie Twe pracowite sztalugi
Litosne twarze Madonn. Od nich świetliste smugi
Na dom Twój biegły zpowrotem w jasne go biorąc obręcze
I malowałeś — widziałem — po pas nurzając się w tęczę.*

*Kiedy przez krzywdę z rąk bliskich serce od grozy mi chłódło,
Biegłem do Ciebie po miłość, Ty byłeś bijące źródło.
Kiedy mi własna małość i własna męka obrzydła
Biegłem po moc — do Ciebie i Ty dawałeś mi skrzydła.
I kiedym z Tobą gadał, truchlałem wielkim przestraczem,
Że skrzydła moje nie będą zmieścić się mogły pod dachem,
Że w stropie dziurę wybiją, że Ci rozsadzą powałę,
Że porwą swym zasięgiem niebo błękitne i całe.
A kiedym wracał w dom mój, głos twardy wrastał mi w uszy:
„Ukochaj w trudzie doznań — bolesną rzeźbę swej duszy;
Za bary weź się ze smutkiem, do stóp go swoich powal,
Z miękkiego kruszca serca stal uczyni, jako kowal”.*

*I dziś, gdy w życie moje szturm wali i wichura
Ludziom truchleją serca, mnie jeno szumią pióra.*

Jan Sztaudynger



Szopka

Wlastimil Hoffmann



WLASTIMIL HOFMANN

W DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE TWÓRCZOŚCI

Upłynęło dopiero co 25 lat od czasu pierwszej samodzielnej wystawy Wlastimila Hofmanna w Krakowie. Artysta ten ma zbyt chlubną kartę w dziejach naszego malarstwa, abyśmy mogli przejść obok jego jubileuszu, bez uczczenia go w szczególniejszy sposób. Na ten wyraz serdecznego uznania składa się wiele przyczyn, ale wymieńmy od razu jedną, jako

wiążącą się z ideowym programem „Tęczy”. Hofmann reprezentuje w sztuce dzisiejszej u nas i zagranicą najpiękniej ujętego, głębokiego ducha religijnego. Został on malarstwo religijne w Europie na przełomie XIX i XX wieku w stanie upadku i pożałowania godnej banalności; w okresie produkcji robionej na urząd, — w okresie wszechwładzy osławionego „stylu Saint-Sulpice”. Karmelkowa słodkowatość zastępowała prawdziwe przeżycie duchowe, przyciąganie do religii pojmowano w najgorszy sposób, drogą przemycania jej pod płaszczykiem tematów świeckich i sensacyjnych, z areną cyrków rzymskich na czele — gdzie niewiadomo było, co więcej artystę pociągało, czy przedstawienie męczeństwa chrześcijan, czy też okazja do wyrażenia przepychu życia pogańskiego, bogactwa szatyspektatorów i łech-

cącej nerwy nietyle piękności ile ładności ciał obnażonych. Pustką i beznadzieją wiało od tych płócien, czyniących wrażenie, że stanowiły one przedewszystkiem wysiłek za zarobkiem, czyniony przez ludzi pozbawionych wszelkiej wiary prawdziwej.

Na tem pustkowiu moralnem rzadkie tylko znaczyły się oazy, jak np.

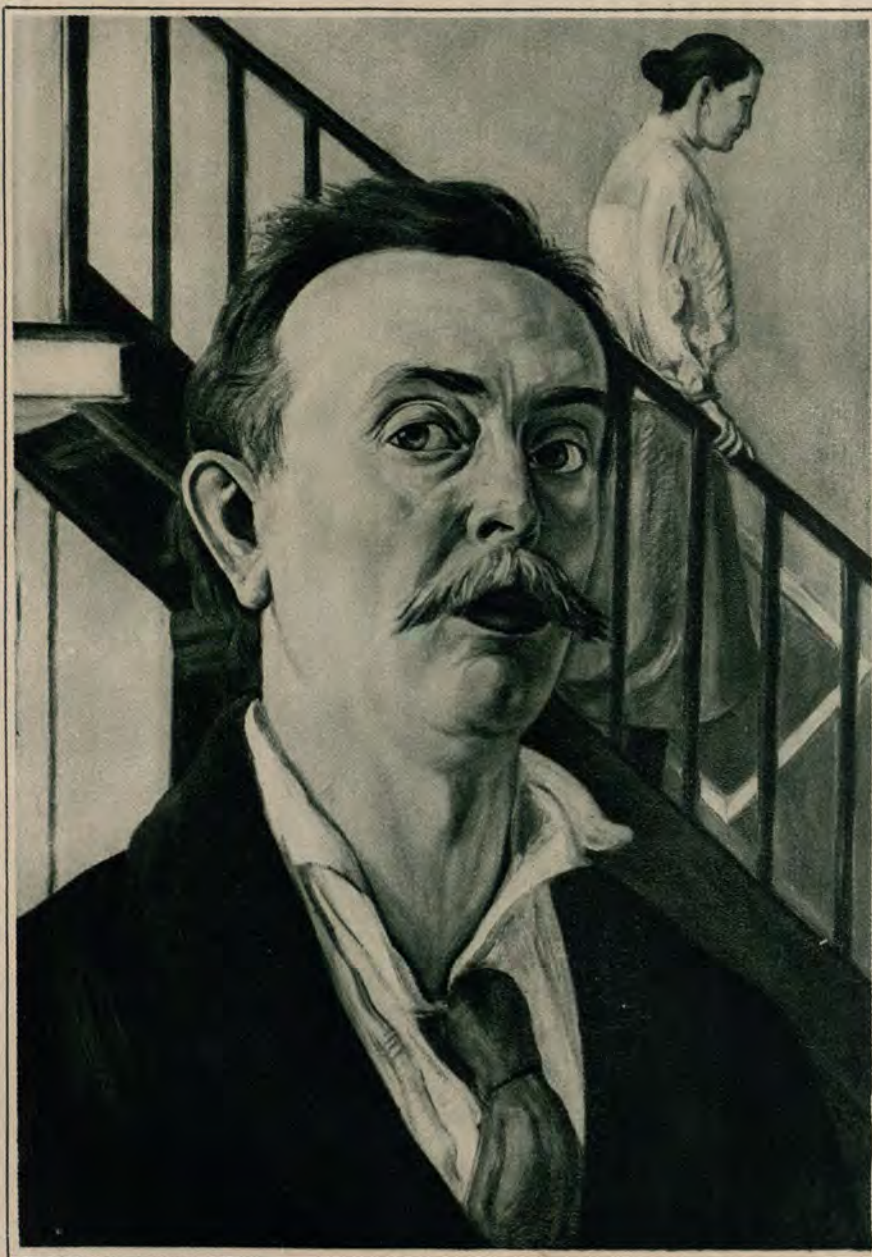
w twórczości Puviss de Chavannes'a, zwłaszcza przez jego koncepcję św. Barbary w Panteonie Paryskim, lub w działalności mnichów z Beuronu. Palma pierwszeństwa mogła wówczas łatwo przejść w ręce artystów rosyjskich, odkrywających właśnie na nowo znaczenie, jakie dla tej dziedziny mają walory i środki ekspresyjne sztu-

orkiestralnej, jaką jest sztuka z prawdziwej potrzeby i natchnienia, wyrażająca tęsknotę ludzkości za Bogiem, za istotą chrystjanizmu, zaszczytnymi uczuciami znajdującymi upust w kulcie Matki Boskiej.

Gdy czytamy my, Polacy, w paryskim „Gaulois” z r. 1924, że wędrując parę lat po wystawach międzynarodowej sztuki w Paryżu, spotyka się wszystkiego dwóch poważnych artystów prawdziwie religijnych i że jednym z nich jest nasz Wlastimil, — odczuwamy więcej niż wdzięczność tylko dla niego. Odczuwamy i rozumiemy jeszcze jeden raz więcej znaczenie ducha zapładniającego Krakowa, tego miasta polskiego, które wymową potężną swej sztuki wieków ubiegłych i swej kultury dawnej i dzisiejszej, dokonało, dokonywa i zdolne jest dokonywać więcej, niż dzisiaj ogół chce i umie rozumieć.

Choć urodzony w Karlinie pod Pragę w r. 1881 — z ojca Czecha i matki Polki, Terleckiej z domu, — Wlast (bo tak go nazywamy) od siódmego roku życia osiadł z rodzicami w Krakowie. Jak tylu artystów może powiedzieć wraz z Goethem, że wziął „von der Mutter die Natur”, wziął od niej ducha artystycznego i wybór narodowości

polskiej, do której zawsze się konkretnie przyznaje. Choć jego bujna, silna indywidualność stanowiłaby zawsze potężny czynnik rozwojowy, — trudno pomyśleć, że mógłby być zupełnie tem, czem jest, gdyby nie był tak silnie, tak własnowolnie zarazem przepojony duchem i wpływem Krakowa. Tu za jego dni wczesnej mło-



Portret własny i żony artysty.

ki greko-bizantyjskiej nieobce też wżej cytowanym artystom Francji i Niemiec. Jest więc wielką zasługą Wlastimila, że na wystawach zagranicznych uderzył oczy krytyków i znawców swoistą, odrębną, polską i do głębi słowiańską nutą, — akordem naszym, nowym, oryginalnym i pełnym głębin w tej odwiecznej pieśni

dości działał Wyspiański, jeden z naj- silniej i najistotniej religijnych twór- ców w Polsce. Tu działał i mistrzował Wlastowi Jacek Malczewski, tu obok tego głównego nauczyciela kształcili go Sta- nisławscy i Wy- czółkowscy. Do Paryskiej Aka- demji Sztuk Pięk- nych poszedł już tylko po uzupeł- nienie wiedzy malarskiej, — już sformowany i od- tąd wierny temu, co go z grodem podwawelskim łączyło. W Pra- dzie, gdzie pod- czas wojny bawił jak wielu ewa- kuowanych kra- kowian przez 3 lata, — nie zmie- nił się na Czecha, a stał się tylko najszlachetniej- szym wyrazicie- lem tęsknoty za zbrataniem obu narodów, pol- skiego, jako swo- jego, i czeskiego,

w imię obrony wspólnej przed zale- wem obcym, za hasłem zbliżenia się na tle zrozumienia idei sięgających po- nad aktualne zgrzyty do pra- starych więzów krwi i wyższych celów. Powrócił i został z nami, choć narazie zna- leźli się ludzie, czy mali, czy źli, czy zazdrośni, nie chcący zro- zumieć, ile czy- stości, ile polotu, ile dobra, dają- cego posiew w dalekie generacje jest i było zawsze we wszelkich je- go poczynaniach.

Kult Słowac- kiego wspólny z Jackiem Mal- czewskim, i zni- ście z sercem do ludu przez mic- kiewiczowskie w

istocie swej odczucie złotej, bijącej w niebo duszy prostaczków, oto podłoże wspólne, z którego pod wpływem zwłasz- cza Jacka Malczewskiego — trysnął z duszy Wlasta najistotniejszy stru-

kach, u Wlasta skoncentrowała się ona głównie w religijnym. Świeżością i odnowieniem dla sztuki było to kra- kowsko-polskie i prawdziwie słowiań- skie zrozumienie i wyrażenie, czem jest żarliwość w uczuciu, czem żarliwe uczucie w religji i sztuce. Najprawdziwiej chrześcijańskim było u Wlasta objęcie obu rękami duszy pro- staczków, jako tych, co są naj- bliżsi Królestwa Niebieskiego.

Wlast tworzył przez parę lat powojennych za wiele. Niesłycha- na pracowitość łączy się może ze zbytnim nie- pokojem za co- raz nowem dzie- łem. Nie należy sobie jednak tem oczu przysłaniać. Załączone repro- dukcje obrazów z lat różnych aż do ostatnich uka- zują nam w dużej mierze, jak bar- dzo umie on powracać ciągle do zba- wiennej zasady zgłębiania tematu, do tworzenia dzieł przepracowa- nych długo, — pełnych bogac- twa rysunkowe- go, świadomie odróżnionego od strony kolory- stycznej — nie- zalanego plamą malarską. Tem więcej przez to dają one ekspre- sji, charaktery- styki i tego wy- razu przeżyć du- chowych, który jest główną war- tością jego twór- czości. —

Umiała to oce- nić zagranica. Główne centra artystyczne obce jak Wiedeń, Mo- nachjum, Paryż



Madonna.



Ojciec nasz.



Serce gorejące.



Szkic piórkim.



Portret.



Portret Ks. K. Zimmermanna prof. Uniw. Jagiellońskiego.



Studjum.

od lat stale i chętnie przyjmują na wystawy i reprodukują jego płótna, mianują go członkami swych zrzeszeń tak poważnych jak „Salon National“ w Paryżu i wiedeńska „Secesja“.

W ostatnich czasach, wbrew temu co się łączy zwykle z jubileuszami, skonstatować można najszczęśliwsze *revirement* w jego twórczości, jeszcze z wystaw nie-

znane. Przy tak pomyślnych augurjach można tylko serdecznie życzyć i spodziewać się, że artysta z jubileuszu bierze i weźmie tylko asumpt do dalszych pogłębień, płodnych przemyśleń, — przetrawień i wzbogacań swej twórczości.

Dr. Marjan Morelowski

ZOFJA STRYJEŃSKA

Gdyby szło o pobieżne, krótkie scharakteryzowanie twórczości tej niezmiernie ciekawej artystki, należałoby przede wszystkim podkreślić rasowość polską o tem swoim obliczu, mówiącem wyraźnie, że progenitura Stryjeńskiej to artystyczna, historyczna, narodowa przeszłość nasza, kapitalnie przetransponowana na swój własny i oryginalny wyraz.

Obok walorów czysto artystycznych, ten moment, niezbyt często doceniany, należy specjalnie podkreślić, tem więcej, że rozprawiając wiele o internacjonalizmie sztuki, przeoczamy ten ważny czynnik, cechujący każdą wielką sztukę, że malarstwo każdego kraju i narodu powinno obok indywidualnych właściwości każdego artysty, mieć zarazem pewną — nie obawiamy się użyć tego słowa — „narodową” cechę. Naturalnie — jak to zauważył L. Piniński w przedmowie do pewnej książki — nakazać tego artyście nie można, by się ograniczał tylko do narodowych tematów, lecz przecież naogół trudno temu zaprzeczyć, iż serce i umysł artysty cieplej i bystrzej potrafią zwykle ocenić motywy rodzime, niż obce, subtelniej i głębiej je oddać. Stwierdza to zresztą historia sztuki na każdym kroku. Dość przytoczyć, że holenderska sztuka upada z chwilą, gdy u schyłku 17 wieku wchodzi w modę naśladownictwo Włochów i Francuzów — Francuzi zaś tracą wrodzony wdzięk i grację, gdy w sztuce epoki Empiru pozują na „klasyków”, niby Greków i Rzymian.

Artysta-plastyk, podobnie jak muzyk, przemawia do nas wprawdzie

międzynarodową, ogólnie znaną wszystkim mową, lecz podnosi to z reguły

wartość jego poczyną, jeśli nie schodzi do kosmopolitycznych banalności, jeśli umie w tem, co nam poda, utrzymać w uczuciu i temacie nie tylko pewien indywidualny, ale zarazem rasowo odrębny charakter. Staje się przez to o tyle bardziej interesującym tak dla swoich, jak i dla obcych, którzy właśnie uczą się przez cudzoziemców zapoznawać się z naturą obcych im krain i duszą ich plemion. W płótnach Stryjeńskiej ta rasowość polskiej artystki widoczna jest na każdym kroku. Nie o temat specjalnie tu idzie, choć i temat ten jest u niej ważnym czynnikiem, lecz o ten specyficznie nasz temperament, rozmach, typ i nastrój, o to, jeśli można tak powiedzieć, skondensowanie naszych uczuć, wierzeń, naszej tęsknoty, sentymentu, radości, i o to oddanie tego wszystkiego sposobem, którego wzorów — należy szukać nie zagranicą, lecz w wystrzygankach ludowych, pisanekach, malunkach na talerzach chłopskich, w pasiakach, w ozdobach, na dawnych stropach, w cudownej naiwności polskich ksiąg iluminowanych, w mistrzowskiej często prostocie barwienia chust, wreszcie w sztuce, która może najwięcej wpłynęła na nią: w sztuce Wyspiańskiego, tego niezupełnie jeszcze ciągle poznanego tytana rdzennie polskiej twórczości plastycznej.

I to obok wysokich wartości czysto malarzkich, jest najwybitniejszym tonem jej działal-



ności artystycznej, która wysuwa ją na czołowe stanowisko w współczesnym malarstwie. Twórczość Stryjeńskiej miała od początku coś z gwałtownego różkwitu kwiatu. Niemal od razu wystąpiła na widownię z dziełami, które musiały zwrócić na siebie uwagę wybitnymi cechami jej niezwyklej indywidualności artystycznej, na które złożyły się bogata, oryginalna i rozległa wyobraźnia, pewność rysunkowa, przepyszna zdolność kompozycyjna, wreszcie idealne połączenie humoru z rozlewnością sentymentu. Ponadto podbiła już pierwszymi swymi występami, tą bajeczną łatwością rekonstruowania dawnych klechd, legend, podań i bajd, których bohaterowie w typie ludowym stworzeni i na wzorach sztuki ludowej oparci (strój, hieratyczność wyrazu przy ożywieniu dynamiki ruchu i t. p.) przeistoczyli się w jakieś postaci wizyjne, w bogów, czy półbogów słowiańskich, narzucających się potęgą swego wyrazu i tą jedyną „prawdą”, mającą swoją rację, jaką jest siła imputowania patrzącemu, że tak istotnie kiedyś musiało być — siła, na którą stać tylko niecodzienne indywidualności. Tak było w „Kołendach i pastorałkach”, tak w niektórych jej przepysznych ilustracjach. W „Pieśni o Zmartwychwstaniu”, tem ślicznym, słowiańskim misterjum, wszystkie postaci to znowu galerja nieporównanych typów polskich, przesłonecznionych aureolą odrębnej świętości, zapachem naszych pól, łąk i lasów. W kolorowych rysunkach przedstawiających wesele krakowskie, podziwiać należy dokładność znajomości wszystkich zwią-

zanych z tym aktem obrzędów i ten nieopuszczający jej nigdy prawie, złoty humor, oraz doskonale uchwycony zawrotny ruch taneczny i wyraz każ-

dej twarzy, nigdy się nie powtarzający. „Pan Twardowski”, „Dożynki”, ilustracje do „Monachomachji” i wiele innych, których niesposób wyliczać

w krótkim szkicu, zaprezentowały nam artystkę o wielkich możliwościach twórczych i wyrobionem już obliczu a przede wszystkim, co już na początku stwierdziliśmy, indywidualistkę polskiej proweniencji w najszerzszym tego słowa znaczeniu.

Przedziwna zdolność kompozycyjna Stryjeńskiej ujawniła się już w cyklu rysunków „Romans z życia nieznanego artysty”, rozkwitła w trzech dużych kompozycjach „Poranek”, „Wieczór” i „Symfonia Berjota”, wreszcie do najwyższego może wyrazu doszło w olbrzymich „Panneaux decoratifs”. — Tych sześć olbrzymich płócien tworzy zamkniętą w sobie i skończoną całość, która jest niejako usymbolizowaną opowieścią pór roku, takich właśnie, jakie wyczarować może tylko polska dusza i wręcz nieprawdopodobna wyobraźnia twórcza, wsparta o dokładną znajomość najdawniejszych naszych zwyczajów, obyczajów, wierzeń, przesądów, przypowieści. Nie wiem jakie i gdzie Stryjeńska robiła „studja” do tych ogromnych pod każdym względem przedsięwzięć, ale zastanowić musi to kapitalne odczucie palechickich wątków, które posłużyły jej do stworzenia wizyjnego korowodu dwunastu polskich miesięcy. Dlatego przyszło mi na myśl, że nikt inny tylko ona byłaby predestynowana do zilustrowania dramatów Słowackiego, wyrosłych z tego samego podłoża, jak „Lilla Weneda”, „Balladyna” i tych fragmentów,



w których geniusz twórczy autora „Króla Ducha“ pragnął wskrzesić najdawniejszą naszą przeszłość. Ona też w jakimś idealnym teatrze zdolna by była dać tym dramatom godną oprawę dekoracyjną (pamiętamy *Balladynę*).

Jest w tych *panneaux*, jeśli idzie o ich „literackość“, wyraźna nuta poezji Kochanowskiego, Szymonowicza, Klono-wicza, jurnych opowieści Imci Pana Paska, niefrasobliwych, dawnych dygresyj kwestarskich, bajd szeptanych przy łuczywie, Wiesławowy poblask romantyzmu i Pana Tadeuszowa epickość. A wszystko to składa się na jakiś w szaleństwie barwnem wyśpiewany pean na cześć życia i radości, który udziela się widzowi i ponosi go, jak wiosenna burza, upaja jak najprzedniejsze wino w dzień Bacchusowych godów...

Ten bachiczny, wyzywający pęd nie stosuje się do żadnych „wzorów“; przeciwnie, sam je sobie tworzy, bez skrupulatności kostjumologicznych, lekceważąc często pewne „uświęcone“ kanony technicznego precyzowania swych wizyj tak w upraszczaniu formy, jak i w tej rozhułkanej dowolności rzucania plam barwnych i kapryśnym zestawianiu ich, a właściwie w nietroszczeniu się o zestawienia, które jednakże łączą się w swe własne harmonje barwne, nietyle „krzykliwe“, ile tworzące mocną skalę barw rozdrzanych, takich właśnie, jakich potrzeba dla podkreślenia tych syntetycznie traktowanych ruchów niespodzianych, tych sytuacji odrębnych i wielorakich w każdym płótnie.

Niezmiernie ciekawe są również jej „Sielanki“ i „Tańce polskie“. I znowu w „Sielankach“ podziwiać należy tę niesłychaną apercepcję wrażeń Stryjeńskiej, to wczuwanie się w ilustrowany temat, który jej nigdy nie krępuje,

nastroju i typu sielanki. Popatrzmy na znaną sielankę, rozpoczynającą się od słów „Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego“: ileż tu ruchu, ile gorąca skwarne go dnia, jaki rozmach żniwiarzy, nad którymi z harapem stoi prze-

pyszny ekonom, ile naiwnego piękna, zrobionego po mistrzowsku. Poznajemy naszych znajomych z książki, wśród nich przede wszystkim Piotruchę, sprytnie podśpiewującą, czujemy zapach zboża, oddajemy się nastrojowi, wywołanemu przez poetę dawnego a wzmożonemu przez współczesną artystkę. Świetny rysunek umyślnie, celowo czasem deformowany *ad hoc*, konstrukcja formy, nieprawdopodobna łatwość malarskiego wypowiedzania się, kompozycyjna zawartość i lapidarność wyrazu poszczególnych części i znowu ta typowa słoneczność beztroski, tchnieniem swem owijająca wszystko. Czasem Stryjeńska łączy w obrazie, w sposób przypominający cokolwiek Wojtkiewicza, żyjące postaci

jakby z drewnem zabawki i wtedy powstają jedyne w swoim rodzaju obrazy, gdzie lekko tylko zaznaczony realizm życia łączy się przedziwnie z czarem naiwnej wystruganki.

Humor i wigor niepowstrzymany, oraz zapamiętanie się w wirzetanecznym, wreszcie niezmiernie bystro uchwycony charakter tańca, na który wpływają zwyczaje środowiska, w każdej dzielnicy Polski inne, — występują w całym blasku w cyklu „Tańce polskie“. Dziś, kiedy coraz bardziej zanika piękny, charakterystyczny strój ludowy, wy-





pierany przez miejski „surdut“ lub materiały, wyrabiane bezmyślnie, maszynowo w manufakturze łódzkiej, aż miło popatrzeć na te staniki, spódnice, zapaski, chusty, czepce, zawijaki, na kierezje, sukmany, kozuchy, wyszywane koszule, kapelusze, czapki, kołpaki i na ten dawny, mociumdzieju, żupan i kontusz, który właśnie w tańcu najlepiej się uwydatnia.

Cóż to za tańce!!

Oto stary szlagon, kręcąc długiego węża, prowadzi w posuwistym polonezie skromnie dygającą damę, która odchyliła w zapamiętaniu głowę, uniosła falbany sukni, że widać jej staromodną „uczciwą“ bieliznę, i skromne pantofelki, i płyną tak po pawimencie dworskiej sali, w takt smętnej melodji Ogińskiego...

Młoda para w mazurze, która odbiła się od podłogi i lecają jak ptaki, on z włosami płowemi, uniesionemi pę-

dem szalonego tańca, ona porwana jego ruchem i uściskiem mocnej dłoni, unosi się na skrzydłach sukienek... — Rzęsisty krakowiak, ochocza kołomyjka, poważny kujawiak, tworzą znowu, każdy w sobie, zamkniętą, swoistą całość, co narzuca się oczom i uczuciu patrzącego swoją czarującą bezpośredniością, siłą plastycznego wyrazu, rytmiką radosnej a zdecydowanej linii, którą, jak biczem, podbija te figury do ruchu i życia. Dla wszystkich są te kartony przystępne, do każdego przemówią, każdego zajmą i uwagę jego przykują. Dzieje się to, nie dlatego, że przeciętny obserwator ciekawy jest jak wygląda poszczególne, często nieznanemu mu taniec i jaki strój mu odpowiada, lecz tajemnica tego uroku tkwi w stronie czysto formalnej: w tem prowadzeniu niemal nieomyślnej linii, ujmującej od razu całość w zdecydowany wyraz plastyczny.

w tem zawsze świetnym uchwyceniu i zaznaczeniu pewnego typu tanecznego i jego — jeśli tak można powiedzieć — rasowości, w tem jakimś radosnym samoupajaniem się aktem twórczym, udzielającym się nazewnątrz.

Cała sztuka Stryjeńskiej jest takim szaleńczo-radosnym okrzykiem na cześć życia i tego życia najcenniejszym darem: twórczości, będącej emanacją jej niespokojnej, niezmiernie czulej, dziecięco czasem naiwnej duszy. Nic w niej niema wydedukowanego, nic mozolnie wypoconego, kaligraficznie wypracowanego — a jeśli czuje się jakiś trud, to ten najszlachetniejszy, owo zmaganie się z chęcią najpełniejszego wypowiedzenia plastycznego w bujnej, wichrowej treści.

Artur Schroeder

KAROL HUKAN



Z pośród współczesnych rzeźbiarzy religijnych w Polsce wysunął się bodaj czy nie na pierwsze miejsce Karol Hukan. Urodzony w 1888, jest uczniem prof. Laszczki z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Pracuje samodzielnie w kierunku głównie religijnym. Twórczość jego ma wielki związek z zabytkami starego Krakowa. Wsławił się dziełami w kościele N. Serca Jezusowego przy ulicy Kopernika w Krakowie, budowanym przez oo. Jezuitów ze składek całego ludu polskiego przez lat 12, mianowicie od 1909 do 1921. I dziś wre praca nad wykończeniem wnętrza. Projektował

bł. Andrzeja Boboli, w planie ołtarz św. Stanisława Kostki. Najlepszym wyrazem religijnej twórczości Hukana są ołtarze: Królowej Aniołów i św. Józefa. Oba stanowią głęboko przemyślane, z rozmachem wykonane grupy ze stiuku. W środku pierwszej grupy stoi Matka Boża, której twarz i cała postać wyraża wdzięk niezwykły.

Hukan zaprojektował także i wyrzeźbił fasadę kaplicy Stołu Pańskiego na Jasnej Górze i wykonał wspaniałe tabernakulum do głównego ołtarza jasnogórskiej świątyni. Dekoracja fasady wyobraża adorację N. Sakramentu.

i budował ten kościół architekt Franciszek Mączyński, malował prof. Jan Bukowski. Są tam rzeźby Dunikowskiego w kamieniu i Sikory w drzewie. Szereg dzieł Hukana zdobi wnętrze tej monumentalnej świątyni. W kruchcie oglądamy jego dwa kapitele, rzeźbione w kamieniu, na balustradzie chóru dwie postacie, kute również w kamieniu, uosobienie modlitwy. W prezbiterjum, na architrawie, wspartym na kolumnach, symbole 4 ewangelistów oraz 4 figury ze stiuku, przedstawiające: św. Ignacego Loyolę, św. Franciszka Ksawerego, św. Stanisława Kostkę, bł. Andrzeja Bobolę.

Główną atoli pracę włożył Hukan w ołtarze boczne. Gotowe są już dzisiaj ołtarze: Królowej Aniołów, św. Józefa, św. Ignacego Loyoli, św. Alfonsa Rodrigueza, na wykończeniu ołtarz

Z innych większych prac Hukana znane są dwie potężne grupy: „Przemysł i Rolnictwo“, umieszczone na gmachu Banku Polskiego, blisko Barbakanu w Krakowie, modele zaś wystawione są w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu.

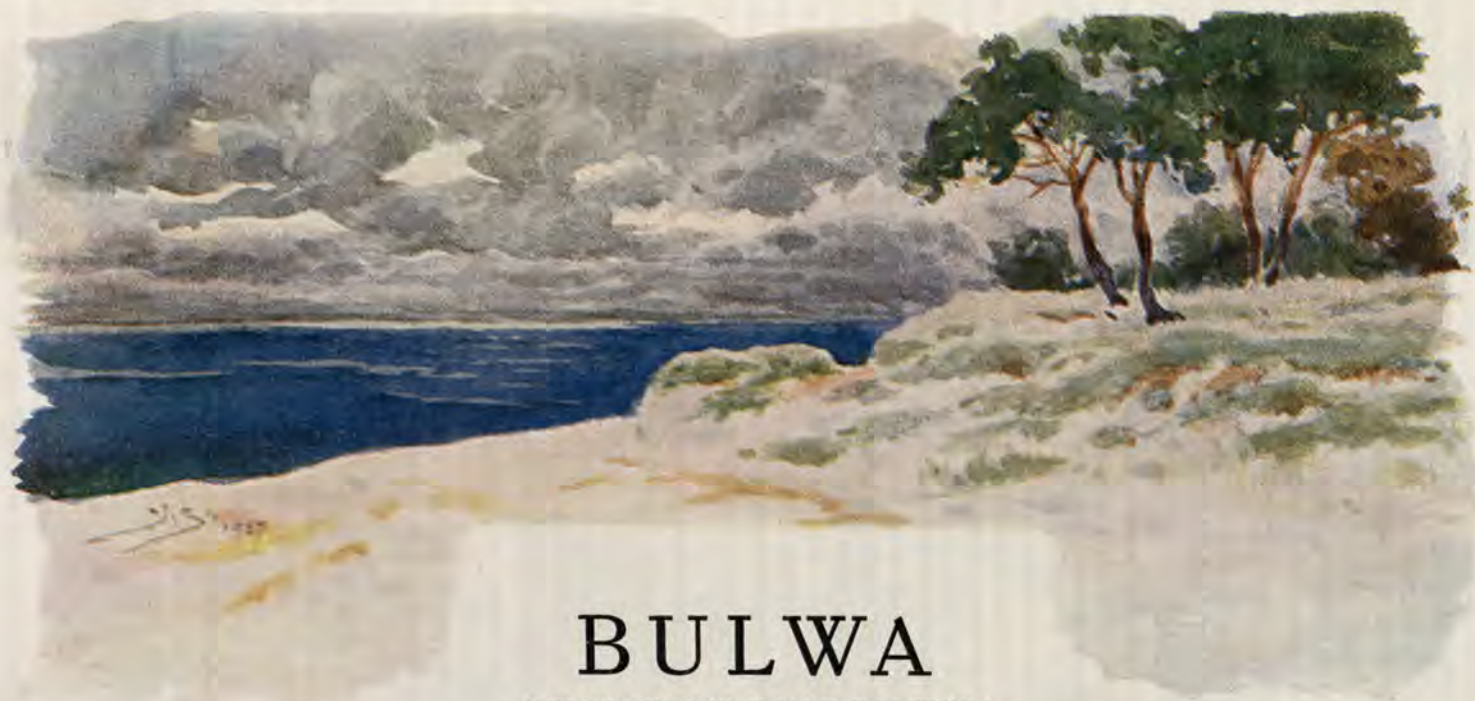
Najnowszą pracą Hukana, prawdziwym arcydziełem, jest przesłiczna postać „Smutku“, model grobowca dla rodziny Falterów na cmentarzu rakowickim w Krakowie.

W pracowni Hukana widzi się też wiele szkiców i projektów np. mitycznego księcia Wiślan, dawnego rycerza Ostatniej Wieczerzy, ambony ze św. Michałem, Słowackiego, szarytki, głowy kobiecej, portret malarza Gedliczki i t. d. Dowód to niezmierniej pracowitości



artysty, tworzącego dzieła godne podziwu, a nie szukającego rozgłosu. Tem więcej należy się temu cichemu pracownikowi, by go poznało i oceniło polskie i katolickie społeczeństwo. Tworzy on bowiem dzieła o doskonałej formie, w które wlewa ducha prawdziwie Bożego, zaczerpniętego z głębokiego odczucia prawd religijnych, z dziecięcej pobożności. Stąd ta zgoda głębokiej myśli z klasyczną formą, stąd to wykończenie szczegółów, wzbudzające podziw w naszych czasach, a wymagające niezmierniej wytrwałości w pracy.

F. K.



BULWA

OPOWIADANIE Z NAD BAŁTYKU

Siedzę w swym obszernym, lecz niskim pokoju, o dylach, belkach i oknach na niebiesko pomalowanych, i nudzę się straszliwie.

Od kilku dni już szaleje piekielny westowy sztorm, tak, że faktycznie niema po co wychodzić z domu. Mam wprawdzie dobre książki, ale nie chce mi się ich czytać. Huczenie burzy przepełnia mój mózg i mą świadomość. Jestem zdany na łaskę i niełaskę tego wiatru. Dusza moja jak chorągiewka na wieży kościelnej, nastawiona jest na west i to mnie męczy. Myślę w kierunku zachodnim, to jest — ku wschodowi.

Rybacy „nie są dziś na morze wyjechani“. Mają wprawdzie postawione mance na Mjerzu, ale od kilku dni już nie mogą się do nich zbliżyć. Prawdopodobnie nic w nich niema, bo west musiał szproty zjeść. Dlatego też z całym zapalem oddają się najważniejszemu rybackiemu zajęciu — w połowie listopada — mianowicie — zwożą kartofle.

— Bulwa przyszła! Musimy ją z bonu alać!

Co znaczy że przyszły kartofle, które trzeba zwieźć ze stacji do domu.

Transport ananasów nie wywołałby takiego entuzjazmu. Rybacy i rybaczki z twarzami poważnymi i skupionymi, lecz i pogodnemi zarazem, śpieszą na stację. Uliczkami przejeżdżają wozy, zaprzęgnięte w srokaty krowy. Mój stary Baltazar w zeszywniałej ze starości zydwestce zajechał właśnie przed dom wozem, na którym piętrzą się worki z bulwą. Młodsza od niego o trzydzieści lat Baltazarowa stoi przy wozie, z zakłopotaną lecz radosną miną, kobiety epoki kamiennej, której mąż przywiózł do domu olbrzymiego łosia. Będzie z tem dużo roboty, ale też będzie z tego dużo jedzenia.

Teraz alają worki. On, blisko siedemdziesiątki, zgarbiony przez wiek, lecz krzepki, z zaciętą miną rybaka, który wie, że pracę, choć ciężką, spełnić musi. Krótka fajeczka sterczy mu w zwartych zębach do góry. Ona dźwiga wory, stękając wyrazem twarzy i głosem, ale z pokorą gospodyni, która wie, iż poświęcenie się jest jej obowiązkiem — aż do śmierci. Twardy los, przed którym jednak uciekać nie można.

Dom rybacki jest, jak łódź, lub też jak „ziuga“, to jest łódź, w której żywo przechowuje się ryby. Ziuga ma sklepy pod dekiem, a prawie w każdym pokoju w kuchni i w sieni rybackiej chaty, jest pod podłogą, niby pod dekiem, sklep, służący do przechowywania różnych rzeczy, a przedewszystkiem bulwy. I otóż w sieni, potem w kuchni, zjawiają się czarne kwadratowe otwory w podłodze, w których bulwa znika.

Trzeba ją jednak przedtem przebrać. Niekształtne, pękate, żółte wory stoją w małej sionce.

— Czy pan pozwoli, żeby te worki tu stali? — pyta mnie Baltazar.

— A czyż ja im mogę zabronić? — odpowiadam żartobliwie — Jak nie będą mogły stać, to niech sobie siądą albo zatańczą.

Wiem, że na drugi dzień ziemniaki zostaną wysypane na podwórzu i że tam, „na dworzu“, mimo westowego stormu, Baltazar z Baltazarową będą je przebierać, a potem zwolna alać do sklepu.

Wpada do mnie znajomy — z impetem.

— Co słyhać? — pytam go, choć słyse westowy sztorm i wiem, że o rybołówstwie żadnym mowy być nie może.

— Bulwa! Bulwa! Bulwa! — odpowiada mi warczącym głosem. — Ryb

żadnych niema, zresztą, żeby oni mieli dostać sto tonn łososia, to na morze nie wyjadą, bo jest bulwa na bonie! Cała wioska oszalała, cały półwysep się wściekł! Bulwa! Wszyscy, alają bulwę! Ja po bulwie chodzę, na bulwie siedzę, bulwą oddycham! bulwę jem i wogóle cały już jestem jak jedna wielka bulwa!

Tu ciężko usiadł na stołku, na tygłowy zsunął kapelusz, którego rybakim zwyczajem w pokoju zdjąć nie uznawał za stosowne, i, westchnąwszy głęboko, rzekł:

— Człowiecze! Ty nie masz wyobrażenia jakie to straszne jest słowo — bulwa! Tu ci się dla bulwy żenią, przez bulwę umierają, przez bulwę się rodzą, tu bulwa całym światem rządzi.

— Przesadzasz! — bąknąłem, aby sprowokować znajomego, który doskonale zna życie rybackie i zapaliwszy się, niejedną ciekawą historję może opowiedzieć.

— Ja przesadzam? — oburzył się — To ty tych ludzi nie znasz!

Wpadł w ferwor i zaczął opowiadać, hucząc potężnym basem, jak bąk zamknięty między dwiema szybami.

— Przesadzam! Człowiecze, spojrzij tylko na mojego Kustyka! Sam słyzałeś, jak ci mówił, że „to stało się, gdy na niego spadło to nieszczęście, że się musiał drugi raz ożenić“. Cóż to było za „to“? Bulwa!

Spojrzał na chorągiewkę na wieży kościelnej, pokręcił głową i rzekł:

— A ten westowy sztorm szproty zjadł!

— Otóż Kustyk — mówił dalej — miał żonę, od której wprawdzie był znacznie starszy, ale z nią żył względnie dobrze, choć chłop jest nieznośny i fantasta. Białka była chora, leżała w łóżku, gdy naraz przyszła bulwa. Chłop, wiedząc, że żona jest ciężko

chora, podniósł ją z łóżka i kazał jej bulwę alać. Bialka sama uleżeć nie mogła, bo ją bulwa ciągnęła — więc wstała, alala bulwę, przebierała, a potem zachorowała jeszcze ciężiej, bo się, uważamy, podźwięła, skutkiem czego umarła i ponieśli ją Trupią Drogą na smątarz — uwozosh pon...

Wyjął z kieszeni srebrną papierosnicę ze złotymi inicjałami — którą zapewniał sobie kredyt u rybaków, kiedy ich w niedzielę wypłacić nie mógł — poczęstowawszy mnie egipskim papierosem — luksus reklamowy! — mówił dalej:

— W kilka dni po śmierci żony Kustyk przyszedł do mnie, dźwigając litrową budłę konjaku.

— Pan Rybiński, musimy się napić!

— Musieć, nie musimy, ale możemy. A co ty, Kustyk, masz?

— Co ja mam? Ja mam wielki iwer.

— Komedje swoją drogą po śmierci swojej pierwszej żony, wyrabiał niesłychane, chociaż ją bulwą zabił. Ale trosk jego był zupełnie zrozumiałe, bo przecie kobieta osierociła niedorośle dzieci i, jak to bywa w takich małych gospodarstwach, narobiła mu swą śmiercią mnóstwo kłopotów.

— Ja z tobą, Kustyk, „jednego“ wypić mogę, ale na iwer konjak nie pomaga. Tybys jeszcze z tego lichy rozum dostał.

— Pan Rybiński! Ja z tego trosku mam już lichy rozum dostany. Bo co będzie teraz?

— Co ma być? Jest przecie starka! Ona ci się o dom i o dzieci postara!

— Tak ale nie może być! Doch ja się muszę drugi raz ożenić!

— Mało ci jednego nieszczęścia?

— Pan Rybiński! To nie jest jedno nieszczęście! To są dwa nieszczęścia!

— Jak to — dwa? — zapytałem.

— Bo jedna żona mi umarła, a teraz muszę wziąć drugą.

— Chłopie — poco?

Kustyk znowu napełnił kieliszek, wypiliśmy, on chrząknął tak, że my-

ślałem, że w domu schody się zawała, a potem odpowiedział:

— Pan Rybiński! A kto będzie ze mną w jesieni bulwę alać?

Ożenił się! Z wielkimi trudnościami, bo nie był już młody i nie słynął z łagodności charakteru. Dziewczyna, którą sobie upatrzył, wyjść za niego nie chciała, ale ojcie powiedzieli, że musi. Wobec tego wyszła zamaż za Kustyka, ale mszcząc się na nim, wadzi na niego całymi dniami. Piekło jest przez cały rok, dopóki niema na bonie bulwy.

Wtenczas Kustyk z drugą żoną, którą uważa za swoje nieszczęście, wprzęga się w ciężką robotę i ala wraz z nią bulwę do domu. I znowu otwierają się w podłodze czarne, kwadratowe otwory, w których kolejno znika głowa to Kustyka, to jego żony, oraz wór przebranej bulwy.

Ale Kustyk jest już stary, jest mu już koło osiemdziesięciu lat i z trwogą myśli o czekających go nowych „lodzingach“ bulwy, którą na własnych plecach musiałby przenieść.

Syn żenić się nie chce, lecz tatka nastaje coraz silniej, a gdy syn się burzy, tatka mu tłumaczy:

— To nic, że ma zyza i włosy prawie już wylazłe, ale jest silna i będzie mogła razem z tobą bulwę alać. A z kim ty będziesz alał, gdy mnie Trupią Drogą poniosą?

Wtedy syn cichnie. Bo co na to odpowiedzieć? I oto młody Janek, złotowłosy chłop, o tytanicznej piersi

i muskułach, które mu przy pracy pełzają pod skórą, jak ogromne węgorze — a to jest duże słowo — żeni się z Dorotą, która ma już włosy prawie wylazłe i zyza, ale może alać bulwę. I przychodzi dzień, w którym Dorota wkłada na głowę biały welon ślubny i wianek, zaś jej Jan długi czarny surdut, cylinder, cygareto w usta, i tak przy dźwiękach kapeli i okrzykach „juch — hu!“ maszerują do kościoła. Potem, rozumie się, wielki brek.

— Cóż to znowu?

— Pijaństwo i tuńce, czasem nawet przy dźwiękach kapeli marynarki wojennej. Oceany gdańskiego piwa, gęsina, pieczeń wieprzowa, trzy gatunki kompotów, geby czerwone, twarde, uroczyste, cudaczne obrzędy, znowu kolacja, tuńce i brek do rana, podczas którego leje się rzekami machandel.

— Co to znaczy „machandel“?

— Czysta żytniówka gdańska.

Tu przyjaciel mój uśmiechnął się, nerwowo spojrzął na chorągiewkę na kościelnej wieży — i zakończył:

— Jo, bulwa! Wieloryba dla bulwy porzucą!

Wyszedł.

Z sieni uchylił drzwi i wrzucił mi do pokoju kartofel.

— Masz tu najlepszego informatora o życiu na wybrzeżu!

Zamknął drzwi — a wtem uczynił się rumor. Wybiegłem do sieni.

Wszędzie gęstą warstwą leżały rozrzucone ziemniaki. Rybiński znać się na nich potknął i upadł, bo leżał, sam w żółtych manszestrach do wielkiej bulwy podobny.

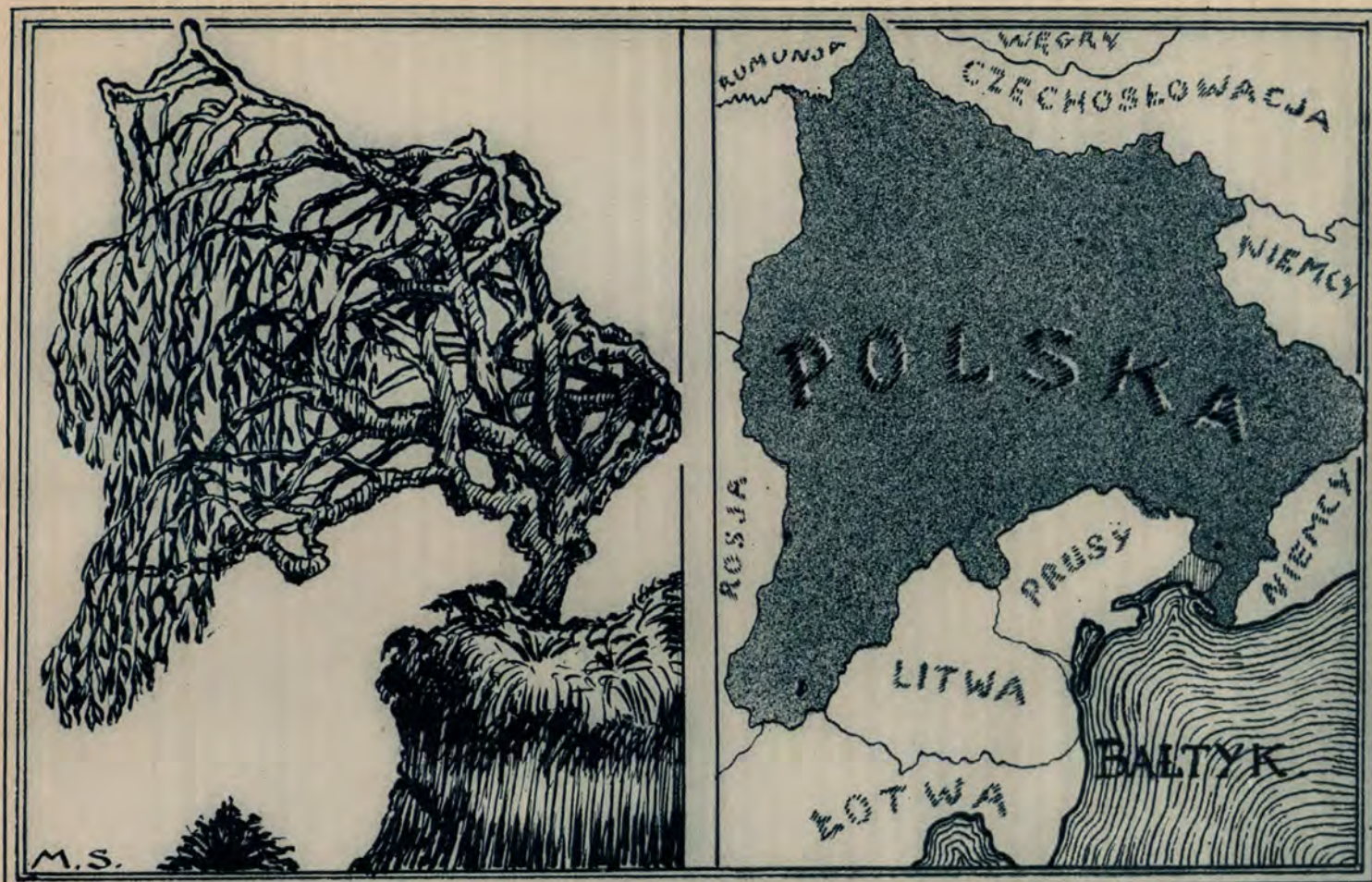
Z kwadratowego otworu, grzmo-tem upadku wywabiony, jak Piotrowin z czeluści grobu, wysunął się stary Baltazar i, jakby przepraszając gościa za upadek rzekł wysokim, starczym dyszkantem:}

— Bulwa, panie!

Jerzy Bandrowski

Ilustr. St. Sawiczewski





DRZEWO CIENKIM PNIEM TYLKO DOTYKA SIĘ GLEBY, LECZ
BEZ ZWIĄZKU Z NIĄ ŻYĆ NIE MOŻE.

POLSKA WĄSKIM PASEM ŁĄCZY SIĘ Z MORZEM, LECZ BEZ
TEGO ZWIĄZKU NIE BYŁABY ZDOLNĄ DO ŻYCIA.

O WARTOŚCI NASZEGO MORZA

Zadaję sobie nieraz pytanie: czy istotnie trzeba zastanawiać się nad wartością naszego morza dla państwa naszego i dla narodu? Człowiek, który znalazł skarb nie zastanawia się nad tem, czy wogóle jego zdobycz ma wartość; raczej myśli o tem, jaką jest wartość skarbu, jak go ochronić przed zawistnym okiem lub drapieżną ręką, jak go użyć — lecz sam fakt wartości skarbu nie bywa przedmiotem wątpliwości lub czarnych myśli.

Sprawiedliwość przedwieczna, kierująca losami wielkiej wojny, dała nam w ręce dostęp do skarbu świata całego, do wolnej drogi w najdalsze kraje. I zdawaćby się mogło, że wszyscy Polacy głęboko odczuć powinni i zrozumieć ten wielki moment, w którym pozostawiono nam swobodę oddechu i niekrępowanego ruchu ku całej, niezmierzonej dali oceanów, ku wszystkim lądom i wszystkim ludom. A jednak poczucie, że posiadliśmy skarb wraz z dostępem do morza, nie przeniknęło jeszcze wszystkich warstw

społeczeństwa tak, by wszyscy poznali i uznali wartość morza polskiego.

Naród nasz osiadł jako spokojny lud rolniczy na swych dziedzinach. Zrósł się z ziemią, worał serce w glebę-matkę, umiłował ją jako żywicielkę, jako źródło siły. Z ziemi swej nie da się łatwo wyprzeć; bronić jej umie w twardym boju i nieraz też u-

żyźniał ją krwią serdeczną. O morzu, o tym wiecznie ruchliwym żywiole wiedzieli tylko ci, co stali się od wieków jego oraczami — tylko garść rybaków nadbrzeżnych.

Lecz czasy się zmieniły. Stosunki między ludźmi zakwikały się. Nadbrzeżny mieszkaniec szukał wśród łądu narzędzi do pracy na morzu; rolnik z dalekich obszarów lądowych potrzebuje wolnej drogi dla swych produktów rolnych i powoli świadomość, że morze nasze jest jednym z głównych warunków bytu naszego zaczyna się budzić, a oczy wszystkich zwracają się na nasz brzeg, jakby na furkę, kryjącą za sobą wejście do skarba światowego.

Niewielki brzeg i dość dziwny przypadek nam w udziale. Z chwilą kiedy Polska obejmowała wybrzeże, na całej jego długości, wynoszącej zaledwie kilkadziesiąt kilometrów było tylko jedno miasto, Puck, oraz kilka biednych osad, częściowo zamieszkałych przez rybaków, częścią zaś



Fot. Siedlecki.

Wieczny pochód fal...
Widok z półwyspu Helkiego na Wielkie Morze.



Fot. Siedlecki.

Chodzi tęsknota po polskim brzegu...

przez ludność rolniczą, czasem tylko uprawiającą rybactwo. Znaczna część brzegu nie była połączona liniami kolejowymi z główniejszymi miastami lądowymi. Sam brzeg, od ujścia Piaśnicy na zachodzie, do Kolibek na wschodzie, to albo wydmy piaszczyste, po których tęsknota zda się chodzić, albo smutne torfowiska grząskie a niedostępne. — Daleko w morze wsunięty półwysep Hel to jedna wydma piaszczysta, sfalowana w garby połogie a utrzymana jako zapora wiecznego pochodzenia fal Bałtyku, przez las i wrzosa i trawę ostrą, które sobie na tym skrawku ziemi wywalczyły prawo do życia w boju z wichrami i mrozem.

Półwysep helski otoczył szeroką zatokę, tak zwane Małe Morze, przechodzące ku zachodowi w zatokę Pucką. Płytkie to morze o dnie piaszczystym, porośnięte morską trawą, niezdolne do pomieszczenia statków głębiej idących, zawierające małą tylko domieszkę soli morskiej, tak że żyć w niem mogą nawet płotki, okonie i inne ryby wód słodkich.

Ani jedna większa rzeka nie uchodzi na polskim brzegu. Naturalna arterja życia polskiego, święta rze-

ka Wandy, Wisła, ma ujście na terytorjum Wolnego Miasta Gdańska. Nie ma też i nie było ani jednego naturalnego portu lub głębszego schronu dla statków.

Biednem się zdało i niewiele wartem to nasze wybrzeże. Ale jest w niem jedna właściwość, nieocenionej wartości. Jest ono *oknem na świat szeroki, jest punktem wyjścia do krajów najdalszych.*

Wiadomo dobrze, że do każdego kraju zalicza się także pewną prze-

strzeń morza, zwaną zwykle wodami terytorjalnymi. Zazwyczaj obecnie wody terytorjalne obejmują pas morza równoległy do brzegu danego kraju a szeroki na trzy mile morskie, czyli około 5 kilometrów (mila morska = 1852 m.) Na tym pasie przybrzeżnym sprawuje władzę i nadzór rząd danego kraju; poza wodami terytorjalnymi morze jest zupełnie otwarte dla każdego. Każdy kraj może wysyłać okręty handlowe, rybackie czy też wojenne na tę wolną przestrzeń a jedynie tylko niektóre układy międzynarodowe zawierają przepisy odnoszące się do ruchu statków.

Droga więc przed nami otwarta na świat cały. A jeśli mamy wolną drogę, to budzić się musi w nas chęć czynu, chęć wyzyskania tej ważności lotów dalekich, chęć nawiązania stosunków z całym światem *bezpośrednio* a ściśle.

U nas bardzo często rodzą się myśli czarne, brak wiary we własne siły, pesymizm. Ale kto chciałby się uleczyć z pesymizmu a zobaczyć do czego jesteśmy zdolni, *niech jedzie na nasze wybrzeże.* Pamiętam, kiedy wnet po przybyciu wojsk gen. Hallera do Polski byłem razem z nim w Gdy-



Fot. Siedlecki.

Zimą Bałtyk się sroży!

Kra lodowa wypędzona wichrem z zatoki Puckiej, na Bałtyk. Wszystkie kawały kry mają zarysy okrągławe, wskutek ocierania się i obijania o siebie w czasie wędrówki po morzu.



Fot. Siedlecki.

Morze.

na miesiąc port rośnie, coraz to nowe przybywają oddziały; powiększa się ilość polskich statków... I to wszystko zrobiliśmy sami, przez chęć wyzyskania tego „okna na świat szeroki” — a pobudkę do czynu dało nam morze, ten żywioł wiecznie młody wiecznie ruchliwy.

Na ludzki pesymizm trudno radę znaleźć, to też nic dziwnego że są ludzie u nas, którzy rozwój naszego portu w Gdyni surowej podają krytyce. Słychać nieraz pytanie: czy istotnie dla naszego handlu potrzebna jest morska droga? Wszak granice nasze lądowe są tak bardzo rozległe a morska granica wynosi zaledwie jedną setną granic lądowych! Na takie zarzuty odpowiedź można wyczytać z danych statystycznych odnoszących się do naszego handlu. (Patrz wykres.)



Fot. Siedlecki.

Brzeg Helu w styczniu 1926.

ni. Była to maleńka wioska na brunatnych torfowiskach, smutna i nieruchliwa. Z domków wysuwali się ludzie pytający, czy nie zechciałbym kupić trochę gruntu, który ofiarowano za pół darmo.

Dzisiaj miejsce torfowisk zajęła ogromna przestrzeń basenu portowego. Ogromne mola z koronką stalowych żorawi, wielopiętrowe domy, kolonja willowa na sąsiednim pagórku, liczne tory kolejowe odchodzące od ogromnego dworca — to wszystko jakby wyczarowane z pod ziemi. A najcenniejsza zmiana widoczna na morzu.

W porcie gdyńskim i na spokojnej wodzie przed nim przesuwają się parowce różnych narodów, na niektórych wiewa polska flaga; wszystkie śpieszą się, by załadować towar z Polski idący ku morzu lub wyładować to, czego nam potrzeba. Z miesiąca



Fot. Siedlecki.

„Lwów.”

Porównajmy wywóz z naszego kraju w ciągu pierwszych półroczy lat 1924 do 1927. Bierzemy tylko pierwsze półrocza, aby dać obraz gorszy niż bywa w drugich półroczach, w których najczęściej sprzedaje się zboża z nowych zbiorów. Widzimy wyraźnie jak od r. 1925, kiedy zaczęliśmy

się uwalniać od zależności od Niemiec, nasz handel zamorski wzrasta wogóle. Podczas gdy w 1925 r. przez morską drogę wysyłaliśmy przeszło pięć razy mniej niż drogą lądową, to w 1927 handel zamorski wyniósł około 40% całego handlu, a zgorą 60% ilości handlu lądowego. Olbrzymia więc część dochodu jaki państwo nasze czerpie z handlu przypłynęła do nas drogą morską. Dostęp do morza stał się więc skarbem dla nas i trzeba tylko pilnować, byśmy ten skarb należycie zużyli.

Niemniej wymownie okaże się wartość morza, jeśli dowiemy się, ile płacimy za produkty do nas z morza przychodzące. Nie możemy tutaj wszystkich szczegółów omawiać ale na jeden tylko warto zwrócić uwagę. Polska kupuje ogromne ilości ryb morskich, głównie zaś śledzi solonych.



Port helski w styczniu 1926.



Fot. Siedlecki.

Port helski w lecie 1927.



„Żaki” czyli sieci na węgorsze.



Fot. Siedlecki.

Siewcy morza. Rybacy zarzucający sieć celem nocnego połowu szprotów.

Rocznie płacimy około 100 milionów złotych za śledzie solone, które dostajemy prawie wyłącznie przez Gdańsk, dobrze płacąc za to pośrednictwo. Dajemy ogromną pomoc rybakom obcym, zwłaszcza angielskim, bo z W. Brytanji w zeszłym roku kupiliśmy niemal *czwartą część* wszystkich śledzi tam złowionych i zasolonych. — Ten towar kupować musimy, gdyż jest to środek odżywczy, zdrowy i pożywny a tani, dlatego więc potrzebny dla ubogiej ludności. Ale mimowoli nasuwa się pytanie: czemuż sami sobie nie łowimy ryb morskich? Czemuż musimy brać je z Anglii czy Norwegji? Czyż nie mamy naszych rybaków?

Nie wiem, czy możnaby znaleźć wiele miejsc na świecie, w których warunki rybołówstwa byłyby podobnie niekorzystne jak na naszym wybrzeżu. Już zazaczyłem powyżej, że nasze morze jest mało słone; ryby zaś morskie przeważnie unikają wód słodkich i wolą bardzo słone oceany. Wpadająca w bliskości naszych wód Wisła pędzi mnóstwo rzecznej wody ku naszym brzegom; ten prąd słodkiej wody może ryby odpędzić albo co najmniej wpłynąć na ich wędrówki. Prądy morskie i dość zmienne wichry również wpływają na ruchy ławic rybich. Dlatego

to w bliskości naszego wybrzeża mogą się czasem pojawić duże gromady ryb a czasem przez dłuższy czas morze bywa puste. Rybacy więc nasi są zależni od zmieniających się a niedających się nieraz przewidzieć warunków; ich połowami rządzi los i traf a za niemi kryje się zwykle bieda rybacza. — Mogliby rybacy na ten zły stan znaleźć radę: trzebaby zamiast na ryby czekać, zacząć ich szukać na otwartym morzu. Na to jednak trzeba większych statków niż te, któremi dziś rybacy rozporządzają. Małe kutry motorowe nie mogą się puszczać daleko poza

wody terytorjalne, gdyż Bałtyk bywa zły i gniewny, zwłaszcza zimową porą.

Mimo jednak tak złego położenia nasi rybacy pracują z zapalem choć bardzo ciężko. Niech tylko dojdzie wieść o pojawieniu się ławic śledzi czy szprotów a zaraz wyrusza cała flotylla kutrów motorowych i żaglowych, czasem zaś nawet wiosłowe łodzie na przybrzeżne puszczają się wody. Zarzuca się wówczas sieci pływające przy powierzchni morza t. zw. mance. Utrzymana przez pływaki od góry, a obciążona od dołu, stoi taka sieć, jakby ruchoma ściana w wodzie i zagradza drogę rybom. Posuwająca się ławica trafia w sieć, ry-

dzie się kilkadziesiąt kg. pięknych węgorzy — czasami zaś przez długie tygodnie nic się nie pojawi.

Na flądry, te płaskie bałtyckie ryby, tak dobrze znane wszędzie w Polsce, jako przysmak, nasi rybacy zastawiają sieci, które rzucają na dno morskie, gdzie one stoją jakby mur wiotki a zdradny, w którego oczkach uwikłać się może wędrowna ryba. Bogatsi pracownicy morza, którzy mają kuter motorowy, ciągną cerę to jest ogromny worek z sieci po dnie morskiem i chwytają wszystko, co weń wpadnie. Czasem rzucają na dno mnóstwo haczyków z przynętą, złączonych jednym, długim sznurem.

Wszystkie te metody połowu, związane z ciężką pracą, niewielką dają zapłatę za trudy.

Królem ryb przy naszym brzegu jest łosoś. Wspaniałe okazy tej ryby, biorącej początek w górnym biegu Wisły i jej dopływów, a wędrującej potem do Bałtyku, łowi się różnymi sposobami. Kto wczesną wiosną bywał na naszym brzegu ujrzyć może nieraz zdala szereg ludzi, zda się związanych sznurem w jeden szereg, jak powoli cofają się od brzegu morskiego, krok za krokiem. Ostatni w szeregu odwiązuje się wnet od liny, przechodzi ku przodowi, zarzuca na



Fot. Siedlecki.

Matnia przy brzegu!

Rybacy ciągnący t. zw. „laskorn”, to jest wielki niewód, służący do połowu młodych łososi (t. zw. mielnicy). Fotografia przedstawia chwilę, kiedy końcowy worek niewodu już jest blisko brzegu.

by wsuwają głowy w jej oczka i już się nie mogą cofnąć, zahaczone za wieczka skrzelowe. — Czasem cała sieć napełni się rybą, czasem zaledwie trochę ryb się ułowi a nierzadko i pustą mance się wydobędzie.

W innych miejscach, tuż przy brzegu nastawiają rybacy pułapki na węgorsze t. zw. żaki. Są to worki z sieci zrobione, rozciągnięte na obręczach, a mające wewnątrz ciasne lejcowate wpusty. Węgorsze, płynące zwykle wzdłuż brzegu mogą wejść do żaka, lecz wyjść z niego jest niepodobniństwem. Czasem w jednym żaku znaj-

linę krótki sznur i znów powoli cofać się zaczyna. — To rybacy ciągnący duży niewód zarzucający daleko na morze. Ten niewód to worek ogromny, do którego są przyłączone dwa długie skrzydła sieci, złączone z linami. Łódź wiezie sieć na morze i rzuca ją czasem o 1½ kilometra od brzegu; liny zostają na lądzie i powoli są ściągane przez rybaków. A kiedy już koniec niewodu, tak zwana matnia zbliży się do brzegu, skupiają się rybacy i rybaczkę i patrzą na owoc pracy. Czasem w matni rzuca się gromada łososi, srebrną łuską świecą-



Fot. Siedlecki.
Piękna zdobycz.
Instruktor rybacki trzymający łososia, ważącego ponad 20 kgr.

cych, dużych i mocnych, czasem kilka młodych zaledwie się płacze, a nierzadko pusta matnia lekko na brzeg się wyciąga. Słychać tylko wówczas parę ciężkich oddechów, parę westchnień i znów sieć ładuje się na łodzie, by na nowo pracę rozpocząć.

Wiosenne i zimowe noce około Helu czasem inne dają widowisko. Na morzu, ku północnej stronie jarzą się i drgają setki świateł, jakby gwiazd ruchliwych. To połów łososi *pławnicami*. Dziesiątki kutrów naszych rybaków wyjeżdżają na spotkanie wędrujących łososi. Wyrzucają duże, pływające sieci, t. z. pławnice, opatrzone na końcach latarniami. Nad ranem ściąga się sieci i znów los zdarza albo dobry albo zły połów. Ale jeśli morze nocą się rozigra, sieci się splączą i skręcą a rybaka czeka tylko ciężka praca bez plonu, bez korzyści.

Twardy to los, twarde i ciężkie życie, bo nad niem panuje niepewność wyniku pracy. Naszych rybaków jest na wybrzeżu około tysiąca, całej ludności rybackiej zgórą pięć tysięcy głów. A połowy przez ten ludek prowadzone wahają się tak znacznie, że bywa, iż w roku złowią 5,000,000 kgr. ale też czasem zaledwie 2,000,000 tylko. To też musimy pomyśleć o tem, aby się nasz rybak wyzwolił z tej niepewności losu. Musimy wyjść na dalsze tereny, na rybne ławice Bałtyku i na morze Północne! Nasz rybak chce pracować i umie pracować. Trzeba mu dać tylko możność pracy na bogatych morzach.

I znów tutaj zaznaczyć pragnę, że u nas nie brak przedsiębiorczości i prób zaradzenia złemu. Od kilku już lat toczą się rokowania i przygotowania się czynią, byśmy stworzyli swą flotyllę statków parowych, najnowszego typu, które pod naszą flagą łowić będą na morzu Północ-

nem. Takich wypraw nie można robić ani nagle ani lekkomyślnie. Trzeba wszystko obmyśleć i wszystko przygotować, a zwłaszcza przysposobić ludzi do tej nowej pracy. Morze ma nam wychować nowy typ człowieka, typ rybaka z mórz dalekich! Dopiero wówczas możemy być pewni, że część handlu rybami przejdzie w nasze ręce.

Morze nie znosi pracy nie fachowej, tak samo jak gleba nie znosi złego rolnika. Dobremu płaci, złego zuboży. Ale też to samo morze jest znakomitym choć bardzo surowym wychowawcą.

Kto zna nasze wybrzeże w lecie, kiedy rozśoneczne ławice nadbrzeżne są pełne wesołych, śmiejących się pogodnie gości a brzegi piaszczyste stają się olbrzymim terenem zabawy, ten nie ma pojęcia o warunkach jakie panują w czasie głównego, zimowego sezonu rybackiego.

Las helski i wydmy pokryte śniegiem; mróz kilkunastostopniowy; fala na morzu ogromna a brzeg pokryty zwałami lodu — to zimowa szkoła rybaka. Na morzu kra lodowa, pędzona falą, czasem zamknie dostęp do portu, czasem otoczy łodzie i ścisnie w mroźnym chwycie. Czasem kawały lodu, pędzone falą obracają się



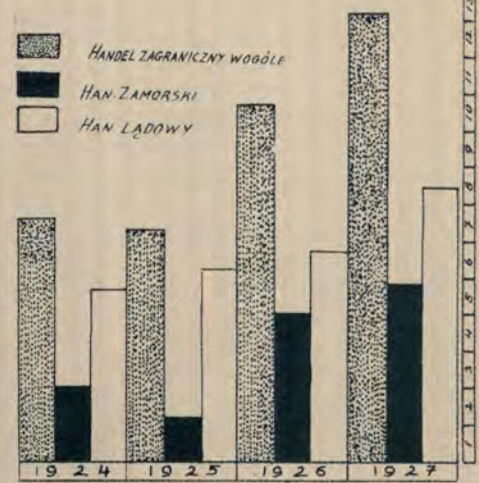
Fot. Siedlecki.
Swarzewo.
Droga do kościoła sławnego z odpustów w czasie święta Matki Boskiej, patronki rybaków kaszubskich.

jak żółwie potworne, koło swej osi a biada łodzi, o którą się oprą!

Zdala, na wolnych przestrzeniach Bałtyku widnieją białe plamy. Jeśli się do nich zbliżać — słychać z nich rozgwar i klangor ptasi; to stada dzikich gęsi, kaczek i łabędzi, zimujące w bliskości naszych brzegów.

Nad wszystkim ciężkie, ołowiane chmury, zaciemniające krótki dzień i gaszące poświatę księżyca.

I w ten srogi świat idą rybacy na pracę. Czasem łódź zginie, czasem



WYWÓZ z POLSKI - I ŚEPIERÓKOCZE
1924 - 1927

skostniałe dłonie wypuszczają sieć z całym dorobkiem. Rok rocznie morze zabiera na ofiarę tych „nieznanych żołnierzy“ walczących z żywiołem.

Cóż dziwnego, że morze chowa charaktery mocne i silne; cóż dziwnego, że ci właśnie pracownicy i bojownicy od morza potrafili oprzeć się skuteczniej od morza germanizacyjnemu.

Zrozumieli dobrze wszyscy ci szczęśliwi, co oddawna krążą po morzach, jak wyborną szkołą charakteru jest ten żywioł. U nas tylko jeden szkolny statek „Lwów“ krąży po morzach, ćwicząc młodzież na marynarzy i dając im, wzamian za pracę — tężyznę ducha i wiedzę morską. Ku morzu powinny u nas dążyć liczniejsze zastępy, a choć nieszczęśliwie mogliby stać się pracownikami oceanów, to niech jednak jak najwięcej naszych młodych zobaczy i pozna ten żywioł, z którego wieje tężyzna ducha i powiew wolności prawdziwej!

Ten nasz mały dostęp do morza to skarb dla państwa i ducha polskiego, bo nietylko materialnie, ale moralnie dać nam może podstawy bytu. Mały i wąski dostęp do tego życiodajnego żywiołu. Ale czyż największe drzewo, którego korona ogromną przestrzeń zajmuje, nie jest tylko jednym a nieraz nawet cienkim pnem związanym z życiodajną glebą? Popatrzmy na mapę Polski, jak wąskim pasmem opiera się o Bałtyk. Czyż nie jest to pasmo tym właśnie pnem podstawowym, bez którego cała ogromna korona kraju naszego musiałaby uschnąć i zmarnieć!? Całe nasze społeczeństwo powinno zrozumieć tę prawdę, że bez morza żyć nie możemy a obowiązkiem wszystkich, bez wyjątku jest dbać o to, byśmy nasz brzeg wyzyskali i naprawdę nie stracili skarbu, jaki nam przypadł w udziale.

Michał Siedlecki

ZNASZ-LI TEN KRAJ?..

ZALESZCZYKI

„Polski Meran“ — takim mianem od lat dziesiątka darzą Zaleszczyki.

Protestuję przeciw tej nazwie, tak mało zgodnej z tem, czem Zaleszczyki są, a nawet być mają. Równie nieodpowiednia to nazwa jak miano „kaszubskiej Szwajcarii“ dla Kartuz.

Zaleszczyki Meranem nie są; są czemś więcej, są — Zaleszczykami. Nawet na propagandę nie nadaje się ten szumny meranizujący tytuł, bo kto się na „polską riwierę“ (bo i tak to nazywają!) wybiera, wie o tem, że w Zaleszczykach niema żadnych kurhauzów, hoteli luksusowych i t. p. uzdrowskich urzędzeń; wszyscy zaś wiemy, że kto się odważył na wyprawę na „daleki Wschód“ nadniestrzański, ten szybko przystosowawszy się do skromnych warunków, poddaje się bez zastrzeżeń przekonującej propagandzie przyrody zaleszczyckiej i piękny otoczenia.

Zajrzyjmy tam.

To zajrzenie niezbyt łatwe, bo trzeba zygakiem tłuc się z kilku przesiedaniami do najdalszego południowo - wschodniego kąta Polski. Dojeżdżając, otoczeni równią podolską, wzniesioną na 300 m nad poziom morza, zsuwamy się z niej na półwysep zaleszczycki, utworzony pętlą Dniestru o długości 150 metrów. Otacza nas z trzech stron szeroka wstęga rzeki, ujęta zewnątrz w ramę stumetrowej wysokości brzegu, od północy zaś zasłaniają terasowe stoki. Mieścina regularnie rozbudowana, wtłoczyła się w południową część półwyspu, zewsząd przylegając do Dniestru; ku północy wiąże się z wyciągniętą wzdłuż brzegu rzędową wsią, Dobrowlaną. Skądkolwiek spojrzymy, mamy sposobność nasycenia się przepięknym widokiem dniestrowego jaru. Pa-

trząc z zewnątrz, z rumuńskiego brzegu od południa, ze wsi Kryszczatyk, mamy przed sobą w dole zieloną plamę Zaleszczyk, okoloną regularnym łukiem szerokiej wody i rozwar-

te skaliste zbocza wymytej płyty podolskiej, wdałi płaszczyznę chlebną Podola. Zdołu otwiera się na wszystkie strony panorama ścian brzegowych, pstra barwnymi smugami odkrywek piaskowców i zielenią drzew i polanek.

Widoki na potem. Wszak mamy tu mieszkać. Albo, albo. Pensjonat, gdzie nam dadzą schludny pokój i sławny smaczny i zdrowy zaleszczycki wikt, lub izdebka wybielona, czysta w otoczonym sadem domu mieszczańskim, a w takim razie jadanie w najbliższym pensjonacie na przyczepkę.

Umieblowawszy się zawartością przywiezionego kufra, nim wyjdziemy na pierwszą przechadzkę po mieście, sycimy się świeżością ogrodu, i przypominamy sobie, że...

Zaleszczyki dzięki (poznanej już naocznie) położeniu swemu zaślaniają swego mieszkańca przez rok cały przed północnymi ostremi wiatrami. To zacisze sprawia, że wiosna tu o dwa tygodnie wcześniejsza jak gdzieindziej w Polsce, a ciepła jesień dłuższa. Ponadto mała ilość opadów wiosną i jesienią, łagodne zimy i silna insolacja zwłaszcza w marcu i wrześniu rozszerzają okres kuracyjny. Wielka ilość owoców (morele!!, brzoskwinie, nawet

winogrona) umożliwia kurację owocową. A okolica, przechadzki, wycieczki...

Obaczmy miasteczko?

Skąd się wzięło? O to zazwyczaj pytamy, jak o człowieka, kto go rodzi. Osadę zaleszczycką zrodził bardzo odległy wiek, co się na całym Podolu pieczętuje znakami, o znaczeniu prehistorycznym. Pełno tu śladów człowieka dyluwjalnego i wielorakich kultur, pochodzeniem sięgających dalekiej,



Cerkiewka w Zaleszczykach.



Widok ogólny.

północy i odległego wschodu. W jarach Dniestru i jego dopływów krzewiło się życie od prawieków. Zaleszczyki głęboko wstecz w historję pisaną nie sięgają. Dopiero wiek XVIII o nich mówi. Wiemy, że w połowie tego wieku nabył je od Lubomirskich Stanisław Ciołek Ponia-towski, kasztelan krakowski, ojciec króla Stanisława i wieś ówczesną, rozwinął w miasto. Sprowadzając rękodzielników, stworzył liczne warsztaty; głównie wyrabiano tu sukna i płótna. Ruszył się i handel, po uzyskaniu przez miasto pozwolenia od Augusta III na cztery dołoczne targi. Budowa kościoła ewangelickiego w r. 1759 i katolickiego w r. 1760 (parafia dopiero od 1764) świadczą o tem, że sprowadzeni rzemieślnicy musieli być narodowości niemieckiej i polskiej i o tem, że było ich wiele, skoro stworzyła się konieczność posiadania własnych domów Bożych. Większy napływ ludności i rękodzieła usprawiedliwiają podniesienie Zaleszczyk do rzędu miast w r. 1766 przez Stanisława Augusta, który jednocześnie zaprowadza duży, bo czterotygodniowy targ na św. Marcin według starego stylu.

A potem długo nic, czyli austriackie czasy.

A teraz, gdyśmy panami we własnym domu, odkryto obok wielu innych wartości polskiej ziemi, także Zaleszczyki. Coprawda odkryciu sprzyjało nieco... paszportowe ograniczenie.

Przejdźmy się po mieście.

Uliczki różnorako zabudowane, ku rynkowi ścieśnione domami. Brak niezgorszy. Domostwa dwójakiego typu: domki parterowe, zazwyczaj drewniane i „kamienice“, murowane jednopiętrowe. Rynek prawie wyłącznie w posiadaniu możestwom. Na rynku ratusz Ponia-towskich, ratusz-sukiennice ściąga uwagę swem ujmującym architektonicznym rozłożeniem. Dokoła niego wre życie podaży i popytu: sklepy, sklepiki, stragany i kobałki skupiają koło siebie czarne chałaty, chłopskie kozuchy czy płótnianki i europejskie stroje letników pochodzących ze wszystkich dzielnic. Szkoła ominąć sposobność większego jarmarku, kiedy to można się przyjrzyć bogactwu strojów ludności sąsiednich wsi.

Taką sposobność daje niedziela i święto. Wówczas tłem przeglądu staje się cerkiewka, która i pozatem nieraz pociągnie nas swem pięknem położeniem i kształtem odwiecznej postaci brogu. Kościół miły, choć nie bogaty, swemi tablicami pamiątkowymi Mickiewicza i Kościuszki wskazuje na to, co było tu przez lata ostoją ducha narodowego. Nad rzeką prześlicznie położony w obszernym parku, pełnym rzadkich okazów

czy znajdziecie kędyindziej tyle szlachetnej linji w stroju ludowym, tyle piękna w jego ozdobach, co w każdej wsi okolicznej i w ciągłej odmianie. Dziewczyna i parobek, chłop i baba strojni nad podziw. Wyszywania wszelakie koszul i okryć we wzorach rozmaitych, idących w zasadzie rysunku i doborze barw za odwieczną tradycją, sięgającą w dalekie ośrodki sztuki pierwotnej. A wstąpcie w dom wiejski. Bez obawy. Czyściutko tam i słowem Bożem was, gościa, powitają. Każdy sprzęt niemal ma na sobie piętno piękna, misa i dzban, poduszka i nakrycie ławy, malowanie pieca lub jego malowane kafle. A gdyby się wam powiodło przełamać nieufność gospodarzy, poznalibyście i głębokie ich życie duchowe, bliższe wam od... tyrolskiego.

Lecz ileż uroku Tyrolowi dodają jego prześliczne zamki — wszak to poprostu kraj zamków!

Ależ właśnie na Podolu jesteście w ziemi zamków. Jedne z nich już w ruinie, inne ostały się, zachowując dawny kształt. Bo gdzież ich ma być więcej jak nie tu, gdzie przez wieki grodziliśmy drogę zalewowi tureckiemu, gdzie nad ścianą każdego jaru, rzuconego wpoprzek najeżdżczemu szlakowi, stawały gęsto groźne strażnice, kolebki sławy rycerskiej. Ze wymieni najbliższe, na północ idąc: Buczacz, Jazłowiec, Potok Złoty, Czerwonogród, Podzameczek, Czortków, Jagielnica, Nowosiółka, Wysuczka, Krzywce, nad Dniestrem, Dźwino-gród, Okopy Św. Trójcy, nad Zbruczem Sidorów, Skała, Kudryńce.

A o krok dalej na wschód, na ziemi dziś rumuńskiej, pełen sławy Chocim. Niedaleko też, lecz dziś niedostępny, nieporównany pięknem swego położenia Kamieniec Podolski. Żyje wśród baszt, bram i murów historia nasza własna, co więcej powie od książki, dając niezapomniane chwile zadumy i dumę narodową umacniając.

Lecz Alpy! — Prawda.

A czy wiecie, co są jary podolskie? Przedziwne w swej budowie, przebarwne wynurzającymi się skałami, tworzącymi dziwne i tajemnicze swą przeszłością przedhistoryczną złożenia. Jary, wśród których sunie wstęga rzeczna a brzegi kwiecą malownicze



Ratusz i rynek.

drzewnych, pałac dawny księcia Ponia-towskiego. W północnej części Zaleszczyk krajowa szkoła sadownicza, i sady, sady, sady.

I tyle.

I tyle tylko? Zawód? Więc wolicie, państwo, do „prawdziwego“ Meranu!

Tak, tam jest jazz-band, ale tu uda się wam w niedzielę pod cerkiewką posłyszeć lirniaka, on wam przy archaicznej swej lutni wyśpiewa i dumkę o Świętej Parasce i dumkę o tureckiej niewoli i o nieszczęsnem kochaniu pieśń niejedną.

Tyrolczyków niema, to prawda, nie lyskają gołemi kolanami i nie paradują w zielonych szelkach. Ale



Dniestr pod Zaleszczykami.

sioła, lub okrywają gęsty dęb i buku. Bogate w niespodziane perspektywy załamów, zaciszy, widoków na wysokie swe ściany, po których pnie się ścieżka życia ludzkiego od prawieku. Każdy z dopływów Dniestru, najmniejszy nawet chełpi się pięknem swego jaru a nad wszystkimi góruje bliski Zaleszczyk spląt jarów koło Kudryniec, a nad wszystkie sławniejszy przesmyk między jarami Zbrucza i Dniestru w Okopach Św. Trójcy.

Wyszedszy zaś po ścianie jaru na jego brzeg, gdyśmy na dole mieli poczucie górskiego krajobrazu, zdumiewamy się, gdy rozwija się przed nami bezkresna równina podolska. Zamiast sinych sreber alpejskich pół lodowcowych otacza nas daleką falą złoty łan pszeniczny; zamiast pola śmierci — pole życia.

A nadewszystko jar Dniestru! Ten trzeba poznawać i rozkoszować się nim długimi godzinami w przejażdżce łodzią.

Począwszy od Niżniowa jar dniestrowy posiada swą głębokość, równą tej, jaką znamy z Zaleszczyk. Skądkolwiek wycieczkę rozpoczniemy złoży się na nią cicha, równa fala wody,

stały zakręt koryta rzecznoego z powodu ciągle po sobie następujących łuków dniestrowych, i żywy rysunek ścianek, obfitujących we wszelakie *curiosa* geologiczne, roślinne i zwierzęce. Dla dopełnienia wrażeń wysiadamy tu i ówdzie, by, wspiąwszy się na wysoki brzeg, móc wraz z Wincentym Polem odczuć piękno jaru i ziemi podolskiej:

„Kiedy spuścisz się ku wodzie, toś za-
jechał niby z góry.
Skała żebrem wzrok ubodzie, brzegowiska,
istne mury.
Po nich pnie się zarośl młoda, z nich
urwisko skał opadło.
Na łokatach szumi woda, a Dniestr czysty
jak zwierciadło.
Lecz gdy wymkniesz się z parowu, skały
znikną, szum ustanie.
Jakbyś był na stepie znowu — równo, ci-
cho, znów na łanie”.

Nietylko piękno krajobrazu dniestrowego skłoniło mnie, bym namawiał zaleszczyckiego kuracjusza na wyprawę po zakolach dniestrowych. Chcę mu nadto dać sposobność do spostrzeżeń, że nad Dniestrem mamy wiele miejsc, które będą nam mogły w przyszłości stworzyć więcej „polskich Meranów”. Poza Zaleszczykami, w nieco odmiennych, ale pod względem klimatycznym analogicz-

nych warunkach, mamy zakątki również zakryte przed północą, a nawet otwarte ku ciepłemu besarabskiemu wiewowi. Pod względem zaś piękna otoczenia znaleźć można miejsca górujące nad Zaleszczykami.

Więc posuwając się ku wschodowi korytem Dniestru, znajdziemy się na dużym półwyspie, podobnie wykształconym jak zaleszczycki, zamkniętym u północy Uściem Biskupiem, a w swym południowym zakątku, gnieźdzącym dużą prastarą wieś Horodnicę. I jedna i druga miejscowość nadają się na letniska i uzdrowiska klimatyczne, a Horodnica ma już swoich stałych bywalców, rozmiłowanych w jej klimacie i ciszy odludzia. Dalej na wschód leżą wspomniane już Okopy św. Trójcy. Najwymowniej o zaletach tego zakątka powiedzieć mogą największe w Polsce sady morelowe, bardzo wybredne pod względem klimatu. Pozaatem wiele innych miejsc, lecz nie miejscowości, jako że ich tam jeszcze niema, ale tem bardziej na przyszłość godnych uwagi, gdy będziemy kiedyś mogli, zakładając stacje lecznicze klimatyczne, kierować się istotnymi warunkami przyrodzonymi a niekoniecznie przypierać je do ściany szafasu góralskiego, czy do butwiejącej łodzi kaszubskiego rybaka.

Nasz polski „Meran” to nietylko Zaleszczyki, to przestronny szmat nadbrzeża dniestrowego, to więcej niż Meran, to *nasze* Zaleszczyki.

Jan Kilariski



Fragment z Zaleszczyk.



Św. Teresa z Lisieux

T. Pruszkowski.



REHABILITACJA STANISŁAWA AUGUSTA

Ostatni król Polski nie miał szczęścia do historyków. Okrzyczano go złym politykiem i marnym człowiekiem. Wyrok na Poniatowskiego starali się wprawdzie złagodzić historycy literatury i kultury wykazaniem nieśmiertelnych zasług wielkiego mecenasa sztuki, ale nie zdołali zmienić ogólnego sądu o Stanisławie Augustacie, potępionym już przez krewkich i zapalczywych konfederatów radomskich i barskich, którzy swą nienawiść do „ciołka“ przekazali całym pokoleniom.

Dopiero w ostatnich latach historycy ogłaszaniem rozmaitych studjów i przyczynków zaczęli prostować błędy swych poprzedników i powoli przywracać cześć królowi. Nie było jednak monografii, poświęconej Stanisławowi Augustowi, która by objęła całość jego życia i całą wyrównała krzywdę. Zupełnie niespodziewanie ukazała się niedawno taka właśnie rehabilitacja nie w polskim, ale w niemieckim języku, w serii studjów z dziedziny kultury, redagowanych przez M. Kemmericha, nakładem berlińskiego wydawnictwa Pawła Frankego, jako 17 tom „Menschen — Völker — Zeiten: Ottona Forst Battaglii „Stanisław August Poniatowski und der Ausgang des alten Polenstaates“, rzecz, o której trzeba pisać w Polsce z taką samą przynajmniej gorliwością, z jaką omawiano ją w prasie zagranicznej, niemieckiej i francuskiej, poświęcającej monografii entuzjastyczne wprost oceny.

Autora monografii, Ottona Forst Battaglię, niewiele u nas dotychczas znało. Ten i ów słyszał o wspaniałej propagandzie kultury polskiej wśród Niemców, jaką od kilku lat niezmqordowanie szerzy, sam jeden pracując za całe biuro literackie; w bliższy kontakt weszli z nim czytelnicy „Przeglądu Współczesnego“ i „Pologne Littéraire“, wdzięczni za szkice z literatury niemieckiej i za sylwetki współczesnych pisarzy polskich; mało

któ jednak dotarł do dzieła: „Die französische Literatur der Gegenwart (1870—1927)“, pojawiającego się już w drugim wydaniu, a świeżo do „St. A. Poniatowskiego“, dających dopiero należyty pogląd jak wytrawnym znawcą i wybitnym pisarzem jest Battaglia.

Nim więc „Renaissance“ pozwoli polskiemu czytelnikowi przestawać swobodnie z autorem „Współczesnej literatury francuskiej“, „Stanisława Augusta Poniatowskiego“ i zapowiedzia-

całą stanisławowską epokę. — Dzięki niemu inaczej przedstawiło się nam sporo zdarzeń ówczesnych, inaczej wypadła też nasza ocena Stanisława Augusta Poniatowskiego jako króla, obywatela i człowieka. Forst-Battaglia zajął się przedewszystkiem człowiekiem.

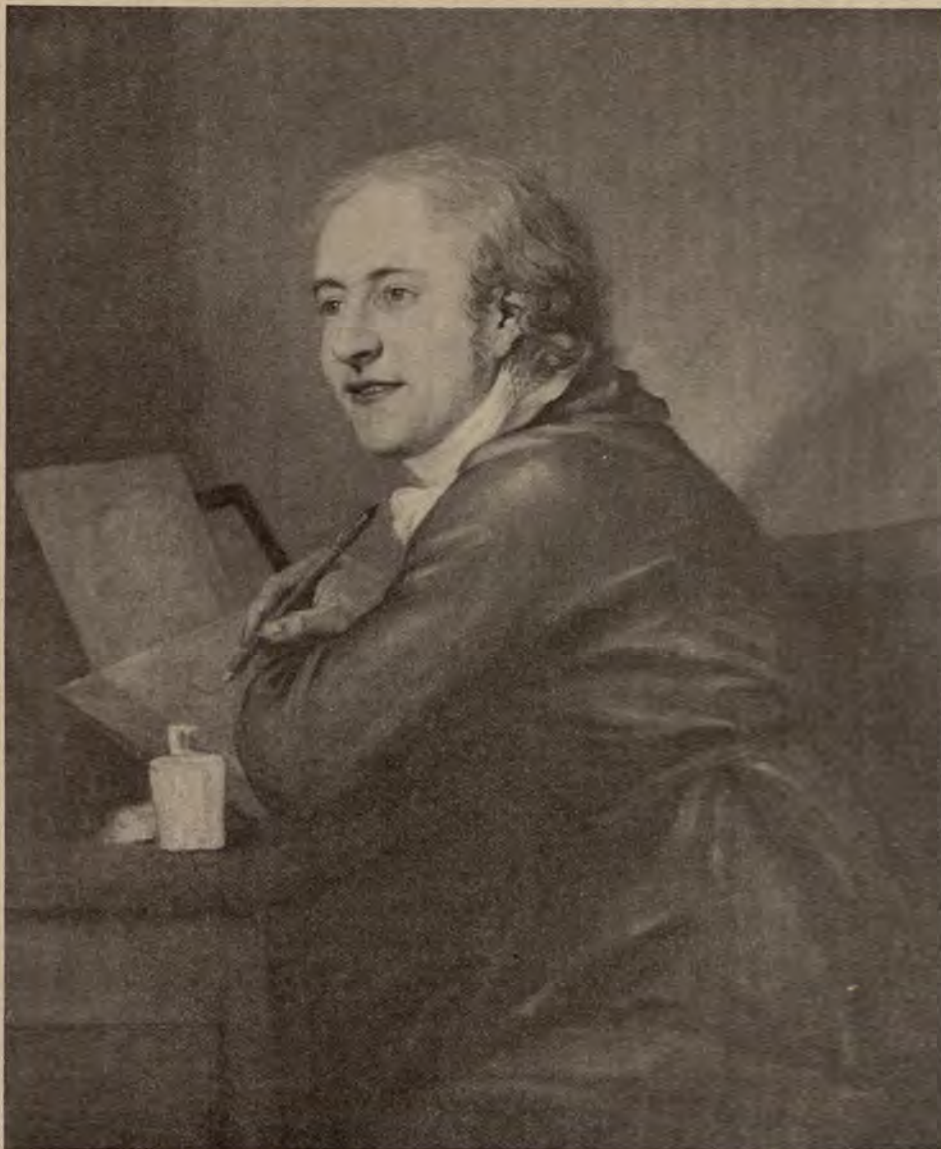
Monografia jego zrodziła się z sympatii do wyjątkowo łagodnego, dobrotliwego i zacnego króla Stasia, obdarzonego bystrym rozumem, niezwykłą kulturą artystyczną, promienną miłością sztuki i szczerem przywiązaniem do ziemi rodzinnej.

Historja wysuwała wówczas na czoło narodów wielkich żołnierzy i organizatorów w rodzaju Fryderyka, Katarzyny, czy nieco później Napoleona. Stanisław August nie mógł z nimi rywalizować. Był lękliwy, uległy, niezdecydowany. Plany miał dobre, przewidywał trafnie, nie posiadał jednak sił do przeprowadzenia przygotowanych reform, nie umiał stać się bohaterem, na którego Polska czekała.

Battaglia nie obwinia Poniatowskiego. W pierwszym rozdziale monografii kreśli z takim rozmachem satyrycznym obraz społeczeństwa polskiego z epoki poprzedzającej panowanie Stanisława Augusta, tak bezwzględnie piętnuje wady szlachty i magnatów, że czytelnik opowiada się zaraz na wstępie książki, za nieszczęśli-

wym wybrańcem losu, który ma zapobiec zbliżającej się gwałtownie katastrofie i usprawiedliwia odrazu Poniatowskiego, bo ratunek, w takich warunkach, wydaje się prawie niemożliwy.

Sympatja do Stanisława Augusta nie maleje nawet w rozdziałach, omawiających uległość jego wobec Katarzyny. Dotychczas ta właśnie sprawa budziła najwięcej niechęci i protestów. Oskarżano Poniatowskiego krzywdząco o służalczość wobec carycy. Dopiero Battaglia wykazał szlachetniejsze pobudki posłuszeństwa woli Katarzy-



Nadworny malarz Stanisława Augusta Bacciarelli (autoportret).

nej „Współczesnej literatury polskiej“, które to książki mają w tym jeszcze roku pojawić się w polskim języku, trzeba omówić najważniejszą przynajmniej zdobycz monografii Battaglii i za jego przykładem rehabilitować Stanisława Augusta.

Battaglia oparł swą pracę na źródłowych badaniach w archiwach polskich i zagranicznych i wyzyskał ogromny materiał spostrzeżeń i zdobyczy. Do znanych szczegółów z dziejów Polski 18 wieku dorzucił wiele nowych, świeżym spojrzeniem obejmują-

ny. Po raz pierwszy przedstawił szczegółowo dzieje szczerej i wzajemnej miłości, łączącej carową Rosji i króla Polski i omówił plany Katarzyny wyścia zamąż za Poniatowskiego, co spowodowałoby przyjazne złączenie obydwóch państw. Przez szereg lat dyplomacja europejska lękała się tego straszaka, jak się ostatecznie okazało, niepotrzebnie. Battaglia mniema, że na Poniatowskiego spada odpowiedzialność, że do małżeństwa nie doszło. Nie naszym tu jest jednak zadaniem rozstrzygać, jaka korzyść czy strata wyniknęła z takiego obrotu rzeczy. To jedno nas interesuje, że nowe światło, rzucone na stosunek Poniatowskiego do Katarzyny, rehabilituje Stanisława Augusta jako człowieka.

Wprost gloryfikacją króla Stasia jest rozdział szósty monografii, może najciekawszy, omawiający wielkość zasług Poniatowskiego na polu kultury. Nastąpił wówczas przewrót w życiu umysłowym, w obyczajowości, w sztuce i literaturze; a wśród czynników, które te błogosławione zmiany wywoływały Stanisław August pierwszą odegrał rolę. W królestwie ducha był udzielnym władcą, koło niego skupiali się najlepsi i najmądrzejsi, w jego imieniu rządził Piramowicz nauczaniem, Krasicki literaturą, Bacciarelli sztuką, Tyzenhaus gospodarką; on tworzył w latach upadku naszej państwowości naród polski.

Śmiała teza Battaglii jakoby Poniatowski — z powodu zawistnego losu grabarz państwowości polskiej — przez swój świadomy czyn był wskrzesicielem polskiej narodowości, przeprowadzona jest w monografii konsekwentnie, przekonywająco i ładnie. Posiew Poniatowskiego zeszedł bujnie po utracie państwa. Mimo to przez cały, jakże długi i przykry okres niewoli, nie mogliśmy Stanisławowi Augustowi zapomnieć, że z jego imieniem złączyły się klęski rozbiorów. Gorycz zaostrzała sąd, oskarżenia rosły pod wpływem nieszczerstwa. Dostrzegaliśmy błędy, nie pamiętaliśmy zasług. Polska odrodzona powoli naprawia krzywdy, wyrządzone rodakom. Battaglia w pracy swej o Stanisławie Augustyście spełnia chwalebnie obowiązek rehabilitowania ostatniego polskiego króla. Wykazuje szczegółowo w jaki to sposób Poniatowski uratował naród polski dla cywilizacji zachodniej i jak cechy odrębności narodowej wpoił w nasze umysły i serca, a równocześnie poucza jak wartościową jednostką był potępiany doniedawna człowiek.

Po przeczytaniu tej pięknej książki zyskujemy w Stanisławie Augustyście Poniatowskim króla, o którym możemy mówić z szacunkiem i miłością. Otto Forst Battaglia monografią o Poniatowskim wzbogacił galerię wielkich Polaków nowym portretem szlachetnego i mądrego człowieka. Poczytane to mu być musi za niemałą zasługę.

Stefan Papée

AKT DZIĘKCZYNNY

za ustanowienie Konstytucji
trzeciego maja 1791 r.

Gdy w drugiej połowie XVIII w. patriotyzm wielkich dam polskich zaczynał się od... romansów z posłami i nadzwyczajnymi ambasadorami państw zaborczych, a kończył na skrusze „matek spartanek“ lub na osamotnieniu w „arkadyjskim przybytku melancholji“, lub jeszcze... na otwarciu salonu gry hazardowej w Paryżu pod protektoratem głośnego męża stanu, — w województwie sieradzkim jak biały kwiat, wybujała czysta postać dziewczęcia — poetki, która żar płomiennej swej duszy złożyła na ołtarzu patriotycznych uniesień. Muzeum T-wa Naukowego w Płocku przechowało zgromadzony przez nią zbiór pieśni narodowych i innych pism, dotyczących powstania 1794 r.

Chorażanka sieradzka, *Marjanna z Walewskich Golembiowska*, żona porucznika wojsk Kościuszkowskich, żyła krótko. Urodzona w 1775 r., zmarła w 1799 r. Przepaliło się serce, ogniem ukochań strawione, klęską ojczyzny przerażone i rozbolełe, w nadziejach swoich podeptane.

Jaki żywy udział brała młodziutka chorażanka w sprawach Polski, dowodem ciekawy dokument, pisany jej ręką, a przechowany w archiwum rodzinnem p. Kazimierza Walewskiego w Tubądzinie (Ziemia Sieradzka).*)

Jest to podziękowanie królowi w imieniu województwa sieradzkiego za nadanie Konstytucji Majowej. Brzmi, jak następuje (z zachowaniem pisowni autografu):

Nayiaśniesz Królu Panie nasz
Miłościwy.

Województwo Sieradzkie gorliwie zawsze o całość, dobro i uszczęśliwienie swej Ojczyzny, nie poszlakowane w wierności ku swym Monarchom, nie odłączone od zdan dobrze myślących, y duchem prawdziwego patriotizmu tchnących, niesie do Tronu W. K. Mci z naygłębszem uszanowaniem hołd nayuroczystsze podziękowania za nowo ustanowioną rządu na dzień trzeciego Miesiąca Maja Konstytucję.

Dzieło to staraniem usilnym W. K. Mci w dniu tym dla całego Narodu naypomysłnieszym utworzone iest, y będzie w potomne wieki epoką naypamiętnieszą uszczęśliwienia Ojczy-

*) Archiwum to zarejestrował i opisał w II wydaniu swojej bezcennej książki „Zbiory polskie“ Edward Chwałewik (nakład Mortkowicza 1927 r.) oparłszy się jednak na danych, sięgających tylko po rok 1912, gdy od tego czasu aż do dni obecnych Muzeum tubądzkie powiększyło się czwórnasób co do ilości akt grodzkich, ziemskich, sądowych, metryk, sepultur, panegiryków, sięgających połowy XIV w., a także liczby portretów, zbiorów pieczęci herbowych, modlitewników itp. Rozrosła się również znacznie monografia rodu Walewskich, o której wspomina p. Chwałewik, oparta li tylko na wiarogodnych dokumentach, a doprowadzona przez p. H. Walewskiego do chwili dzisiejszej. C. W.

zny, wzmocnienia Królestwa, odnowienia sławy y jego znaczenia w Europie. Dzieło to, iak iest dowodem Oycowskiego serca W. K. Mci, tak w nas wzbudza naywyższe obowiązki wdzięczności, iako ku Oycu Ojczyzny, y łączy Narod w węzeł ieden obrony krwią y majątkami naszemi nowo ustanowionej Konstytucji.

W Tym ducha ziednoczeniu zgromadziłyśmy się licznie z całego Województwa Obywatele na dniu 3-m Października do stołecznego Miasta Sieradza, a oddawszy Opatrzności Naywyszszego dzięki, z wyrokow swoich wybrał Nam W. K. Mci za wybawiciela Narodu, iak nayuroczystsze w Świętym Boga uczyniwszy postanowienie bronić Ojczyzny, y wolności stosownie do przepisów nowo zapadłego prawa, bydź wiernemi W. K. Mci, y przy Jego świętey obstawać całości Tronu pod tym słodkim hasłem Król z Narodem Narod z Królem akses uczyniliśmy do tej Konstytucji.

Przyimi Nayiasniesz Królu ze serc Naszych ofiarę, którą u Tronu W. K. Mci z naypowinnieszym składamy respektem. Jako zawsze... (dalej nieczytelne)

podpisane

Chorażanka Walewska.

Notatki

Modernistyczni artyści niechby zrozumieli, że my, laicy, potrafimy odróżnić obłąkanych od tych, którzy tylko chcą nimi być.

*

Tłumaczą nam racjonalistycznie Pismo Święte. Ależ właśnie idzie o rzecz całkiem przeciwną: o dojrzenie pierwiastka boskiego, absolutnego, poprzez kształty ograniczone czasem i przestrzenią.

*

Tylko człowiek pełen pokory może szanować sam siebie.

Tylko człowiek pozbawiony zdrości jest człowiekiem wolnym.

*

Zalić się na swoją niedolę przed drugim, znaczy nudzić go śmiertelnie. Ale nie trzeba zanudzać i siebie samego.

*

Ludzie, którzy zajmują się rzeczami niematerjalnemi, uważani są za nieproduktywnych. Dziwna rzecz, że tylko po takich nieproduktywnych pozostaje trwały spadek.

*

Polacy wtedy tylko są szczęśliwi, gdy jeden za nich myśli. Bynajmniej nie próżnują: jedni go podziwiają, drudzy krytykują, wszyscy więc pracują.

Władysław Leopold Jaworski

ODRODZONY UNIWERSYTET WILEŃSKI

Ironją dziejową było niezawodnie, iż przyście wojsk niemieckich we wrześniu 1915 r. do Wilna, umożliwiło odrodzenie szkolnictwa polskiego w tem mieście, gdzie nie było na-



Ś. p. Józef Ziemacki.

onczas ani jednej szkoły polskiej, czy to średniej, czy nawet powszechnej. Wtedy to, owej pamiętnej jesieni, wyłoniło się jak z pod ziemi szkolnictwo polskie różnego typu, a głównym jego organizatorem był niepospolicie zasłużony dla kultury polskiej w Wilnie prof. Stanisław Kościałkowski. Śród zawieruchy wojennej, pod zmieniającymi się rządami Niemców, bolszewików, Polaków, i znów bolsze-



Alfons Parczewski.

wików, wreszcie Litwinów i ostatecznie Polaków — szkolnictwo to dojrzało do tego stopnia, iż powstała naturalna potrzeba uwieńczenia gmachu polskiej kultury przez dźwignięcie odrodzonego Uniwersytetu im. króla Stefana Batorego, co nastąpiło jesienią 1919 r.

Ze jednak wielkie tradycje kulturalne Wilna były już od dłuższego czasu, niestety, jedynie legendą, więc tak się stać musiało, że ogromną większość kontyngentu uczonych i nauczających dziś w odrodzonej Wszechnicy stanowią ludzie przybyli z zachodnich dzielnic Polski, przede wszystkim z b. Galicji, oraz, szczególnie na wydziale lekarskim, z Rosji, dokąd się zatułali swego czasu w pogoni za chlebem. W dodatku, jeśli zważymy nadzwyczaj trudne pod względem politycznym i ekonomicznym warunki w czasie, gdy tworzył się Uniwersytet Wileński — i aż po dziś dzień, — potrafimy należycie ocenić ten wysiłek twórczy, na



Wiktor Staniewicz.

który zdobyło się polskie społeczeństwo w latach 1919 i następnym, by tę uczelnię na najdalszych kresach Polski postawić na należytych poziomach. Trudności te były wręcz bezprzykładne, bowiem niewola rosyjska, w przeciwieństwie np. do pruskiej, nie tyle przerabiała nas na Moskali, ile poprostu wyjąławiła grunt z wszelkiego ruchu umysłowego i inicjatywy. To też początki naszego Uniwersytetu były nadzwyczaj skromne.

Ciało naukowe liczyło w pierwszym roku: profesorów zwyczajnych — 11, i nadzwyczajnych — 14, zaś zastępców, docentów i lektorów — aż 29, czyli razem 53 osoby; personel pomocniczy i urzędniczy składał się z 38 osób. Słuchaczy było razem tylko

547, w czym słuchacze nadzwyczajni stanowili — 196 osób (t. zn. 36%). Według płci dzielili się oni na 296 mężczyzn, i 251 kobiet (czyli 46%); ten bardzo znaczny odsetek kobiet



Michał Siedlecki.

tłumaczy się przede wszystkim tem, że to były czasy wojny. Pod względem wyznania przeważali naturalnie rz.-katolicy, których było 448 (= 82%).

Cały aparat naukowy, jako to kliniki, laboratorja, biblioteki seminarjalne, trzeba było tworzyć najdosłowniej z niczego. Prawda, że Biblioteka Publiczna, istniejąca od w. XVI-go, a nazywana za Moskali „Biblioteką im. Murawjewa“, pozostała, jednak uchodzące władze rosyjskie zdążyły ją



Władysław Dziewulski.



Marjan Zdziechowski.

splondrować, uwożąc ze sobą katalogi, przywileje królewskie, nadane Bibliotece i Uniwersytetowi, inkunabuły, najcenniejsze druki z w. XVI-go, wszystkie druki w języku starosłowiańskim i t. d. Więc i Biblioteka, aby z niej można było naprawdę korzystać, wymagała gruntownej reorganizacji.

I oto dopiero dziś, po dziesięciu latach istnienia odrodzonej Wszechnicy, można sobie zdać sprawę z tej ogromnej pracy, którą zrobiono, oraz z postępu, który osiągnięto.

Uniwersytet dziś posiada wydziały: teologiczny, humanistyczny, prawny, matematyczno-przyrodniczy, lekarski wraz z oddziałem farmaceutycznym, oraz w zarodku studjum rolnicze, wreszcie stworzony ze względu na tradycje dawnego Uniwersytetu, wydział sztuki, jakgdyby zawiązek przyszłej Akademii Sztuk Pięknych.

Ciało naukowe Uniwersytetu zostało prawie całkowicie skompletowane i dziś liczy: profesorów zwyczajnych — 38, nadzwyczajnych — 36, zastępców, docentów i lektorów — 28, czyli razem osób wykładających — 102, zaś sił pomocniczych 174, wreszcie urzędników i bibliotekarzy — około 80. Słuchaczy w roku bieżącym Uniwersytet posiada 3050, w czym tylko 200 nadzwyczajnych. Pod względem płci dzieli się oni (dane z r. ubiegłego) na 1960 mężczyzn, i 846 kobiet (30%), rz.-katolicy stanowią 1903 osoby, to znaczy 68%, żydzi — 718, czyli 26%. Z wy-

działów poszczególnych wydział lekarski wraz ze studjum farmaceutycznym posiada 772 słuchaczy, wydz. prawny — 765, humanistyczny 501, matematyczno-przyrodniczy 418, teologia 130, sztuki piękne 127, wreszcie studjum rolnicze — 93.

Od kilku lat Uniwersytet może się poszczycić plonem w postaci wychowanków, którzy studja pokończyli. Dotychczas dyplomowanych doktorów filozofji Uniwersytet Wileński posiada 25, doktorów medycyny — 115, doktorów prawa — 2; magistrów — 190, doktorów wszech nauk lekarskich — 54, wreszcie absolwentów, ze świadectwami innego rodzaju — 202 osoby, co czyni razem 601 dyplomów z ukończenia Uniwersytetu.

Z instytucyj pomocniczych posiada Batorowa Wszechnica 10 klinik, 43 laboratorjów i zakładów, 39 seminarjów. Biblioteka Uniwersytecka, pod kierunkiem d-ra Stefana Rygla, zaczyna skutecznie obsługiwać pracowników naukowych z Uniwersytetu i z miasta. Posiada ona książek około 300 tysięcy, zbiór kartograficzny przeszło 10 tys. arkuszy; zwłaszcza w tym dziale niezwykłą wartość mają zbiory Joachima Lelewela, przeznaczone przezeń w testamentnie odrodzonemu Uniwersytetowi w Wilnie. Pochodzą one z t. zw. Biblioteki Wileńskiej w Wersalu, przechowywanej potem w Kórniku. Zbiór Lelewelowski stanowi około 370 atlasów, poczynawszy od w. XVI-go, częściowo wykonanych przez Lelewela własnoręcznie. Następnie na uwagę zasługuje zbiór rycin i fotografii (przeszło 5 tys.), w tem również arcydzieła sztuki z tejże biblioteki w Wersalu. Rękopisy, akta i kodeksy dochodzą do 12 tys. numerów, w czym autografy Mickiewicza, Syrokomli, Kraszewskiego, Orzeszkowej i t. d. Archiwum przechowuje akta procesu filaretów, z cennymi zeznaniami wszystkich oskarżonych; dalej zbiór przywilejów królewskich, miejskich, kościelnych i ziemskich; akta łóż masonskich, kapitulne, zakonne, szkolne i t. d. i t. d.

Z pomiędzy wybitniejszych profesorów należy wyróżnić przedewszystkiem tych, co byli kolejno rektorami, a których podobizny czytelnik ogląda. Rozległą sławą mogą się też poszczycić Wincenty Lutosławski, Kazimierz Karaffa-Korbut, wreszcie znakomity artysta-malarz, Ferdynand Ruszczyk. Nakoniec należy zaznaczyć, iż chociaż tak młody, Uniwersytet Wileński poniósł już dotąd dotkliwe straty w zmarłych profesorach. Więc przede-



Stanisław Pigoń.

wszystkiem musimy wymienić nazwiska dwóch najgorliwszych jego organizatorów, ś. p. Józefa Ziemackiego i ś. p. Ludwika Janowskiego. Dalej idą ś. p. profesorowie: Horodyski, Nowodworski, Bardziński, Mikulski, Siestrzencewicz, Krzyżanowski, a także honorowy profesor Wileńskiej Wszechnicy, Władysław Mickiewicz...

Tak to i dzisiejszy nawet Uniwersytet posiada już swe tradycje, które w świadomości naszej nawiązujemy, chociażby przez ostatnio wymienione nazwisko do wielkich tradycyj z przed lat stu. Oby też uczelnia Batorowa, ta najdalej na wschód wysunięta placówka kultury rzymskiej, stwierdziła wiecznie swem istnieniem, że Słońce Prawdy świeci, a ciemności go nie ogarną...
Vilnensis

Notatki

Myśl genialna jest jak błyskawica: oslepia. Ludzie nie mogą jej znieść, więc ją dopóty krytykują, osłabiają, kompromisami łagodzą, aż jej światło przyćmią i dostosują do siły swego wzroku. Długiego znowu potrzeba czasu, aby zajaśniała pierwotnym swym blaskiem, i to dla niewielu.

*

Jakiś mędrzec chiński kazał umieścić w swej łaźni napis: staraj się być codzien nowym. Uczynię to samo.

Władysław Leopold Jaworski



JERZY SZANIAWSKI

Szaniawski jest pisarzem niesamowitym, po swojemu — ale niesamowitym. Jeśli się pisarza tem mianem określa — ma się zwykle na myśli jego skłonności okultystyczne, zamiłowanie do tematów i sytuacji niezwykłych, tajemniczych, do spirytyzmu, telepatji i rzeczy z temi sprawami związanych. — Otoż te zagadnienia dla Szaniawskiego (na szczęście) nie istnieją. — Jeśli mimo to nazywam go pisarzem niesamowitym, to czynię tak dla tego, że uczuciowy stosunek autora „Lekkoduha“ do życia jest nietylko różny od tego stosunku, który uważamy za normalny, lecz że jest wręcz jego odwróceniem. Szaniawski cicho dokonał pewnego przewartościowania wartości, które jest jego właściwą zdobyczą myślową i artystyczną. Zadanie, które sobie tu stawiam, polega na możliwie zwięzłym przedstawieniu istoty i głębszego charakteru tej pracy.

Stosunek krytyki i publiczności do Szaniawskiego jest nijaki¹⁾. Dużo obojętności, niezdecydowane uznanie; jeżeli nie milczenie, to chwiejna, a częściej nie-trafna pochwała. — Gdyby sformułować w jednym zdaniu opinię, która się mniej więcej o twórczości Szaniawskiego ustaliła, — oto co byśmy otrzymali: Szaniawskiego myśłą przewodnią jest wprowadzenie tonu poezji i piękna do codziennej szarej rzeczywistości. — Formalnie rzeczy biorąc, — nic prawdziwszego: cały teatr Szaniawskiego²⁾, jak również „Miłość i rzeczy poważne“ oraz „Łgarze“ — przynoszą szereg protestów przeciw pospolitości bytowania człowieczego i niejednym pomysł uoryginalnienia życia. Ale każdy uszczęśliwia ludzkość po swojemu. Dość przypomnieć „bunt“ przeciw „szarzyźnie“ różnych dalszorzędnych piór współczesnej i dawniejszej generacji — aby odczuć ogólnikowość i wieloznaczność formuły, którą wyżej przytoczyłem. Bo przecież za zwyczaj to wlewanie poezji w życie odbywa się przez *dodanie* do życia takiego, jakie jest — czegoś *nowego* , właśnie tego elementu poetyckiego. Inaczej u Szaniawskiego: poetyzacja życia rysuje się w wyobraźni tego

autora jako *odwrócenie* normalnego prądu życia, jako uznanie za rzeczy ważne tego, co w życiu uchodzi za głupstwo, lub czego się zgoła nie spostrzega — a za błahą tej sfery życia, której powaga bezwzględna uznana jest powszechnie. Ta ideologia je *m' en fiche 'izmu* wobec „rzeczy poważnych“ t. zn. w obrotach życia wytartych i skostniałych, osiąga swój punkt kulminacyjny w „Żeglarzu“, gdzie jedyną prawdą, którą się uznaje,



Jerzy Szaniawski.

jest prawda wzruszenia — rzecz bardzo nie — poważna. Poetyzowanie rzeczywistości w znaczeniu potocznym jako *dekorowanie* życia poezją spotkało się właśnie z ironją Szaniawskiego. Dość przypomnieć sobie scenę z „Miłości i rzeczy poważnych“, w której Albin, reprezentujący życie potoczne wytyka swemu sekretarzowi „suchość“ jego wykładu matematyki.

Wspomniałem o ironji. Otoż uważam, że ona właśnie, ironja, stanowi najgłębszy czar twórczości Szaniawskiego. Bo też jest to ironja wysokiego gatunku, *ironja patetyczna* . Trzeba tylko zapomnieć o tej esencji złego gustu i pretensjonalnej tępoty, która za patos ogólnie uchodzi. W twórczości Szaniawskiego wyczuwa się to, co, idąc za Nietzschem, nazwiemy

patosem dystansu . Szaniawskiego dzieli od życia ogromny dystans — i jednocześnie Szaniawski kocha życie — współdziałanie tych dwóch pozycji psychicznych stanowi punkt wyjścia dialektyki twórczej autora „Lekkoduha“, jej zawiązek i źródło niewyczerpanego życia. Czytając Szaniawskiego, przypominamy sobie innych ironistów w literaturze — przede wszystkim Flaubert'a. *Dictionnaire des idées reçues* tego ostatniego — ten niezrównany katalog szanownych głupstw, które ludzie niewiedzieć poco, choć z miną poważną między sobą wymieniają, ma poza swą wartością literacką i tę jeszcze, że stanowi przez swą wyrazistość pewnego rodzaju *terme de comparaison* dla oceny ironistów wszelkich czasów. Ironja Szaniawskiego jest jednak innego zgoła gatunku niż Flaubert'a, jest to ironja głęboko paradoksalna *ironja człowieka zakochanego* . Jest tak dyskretna, że nie wszyscy ją widzą. W ironji Szaniawskiego tkwi przemilczenie, radość z tego przemilczenia i zatajone widzenie z poza groteski życia jego tajemniczego, kosmicznego oblicza. Szaniawski kocha życie tak głęboko, że kocha nawet tę groteskę życia, jego skostniałości, kocha je może najbardziej, podobnie jak w dziecku podoba nam się najwięcej jego komiczna nieporadność. — Ironja Szaniawskiego przy całej swej delikatności jest niezmiernie wyniosła, a jest właśnie dlatego, że dystans tego milczącego świadka, którym jest sam autor od życia jest olbrzymi.

Choć to przekracza ramy „sylwetki“ — niepodobna mi tu oprzeć się pokusie zadania sobie pytania, jaką drogą pójść może w dalszym ciągu twórczość autora „Ptaka“?

Szaniawski jest pisarzem, który łatwo „znalazł siebie“, trafił w swój ton. Wyrażenie „ton“ nadaje tu się szczególnie. Szaniawski bowiem znalazł istotnie jeden jedyny ton, którego nie stara się wpleść w chór innych, nie ubiega się o polifonję — nie ma ambicji symfonicznych, raczej, jeśli mamy przy języku muzyki pozostać — kameralne.

„Łgarze“ poza paroma truizmami ironji, czego komu jak komu, ale Szaniawskiemu trudno jest wybaczyć, — ogół nie wnoszą nic nowego w stosunku do twórczości poprzedniej. Cykl nowel, skąpanych w prześlicznym kolorycie ironji Szaniawskiego — a przypominających tajemniczością, udającą zwyczajność niektóre nowele Solłoguba, — w cyklu tym dwa mamy wyjątki: „Przy fortepianie“ i „Bal“.

¹⁾ Wyróżnić tu wszelako muszę artykuł p. Henryka Drzewieckiego (*Wiadomości Literackie* Nr. 9. 1928), w którym autor daje trafną naogół, choć niezbyt jasną charakterystykę twórczości Szaniawskiego.

²⁾ Dorobek dramatopisarski naszego autora składa się z następujących sztuk: „Ewa“, „Murzyn“, „Papierowy kochanek“, „Ptak“, „Lekkoduha“ i „Żeglarz“. Poza tem ogłosił Szaniawski powieść p. t. „Miłość i rzeczy poważne“ oraz tom nowel p. t. ogólnym „Łgarze pod Złotą Kotwicą“.

Widać tu rozszerzenie problematyki, śmiałe zanurzenie się w splot konfliktów psychologicznych — rezultat świetny; środki proste, gadulstwa za grosz. Droga przereżenia się w psychologię realistyczną, przy zachowaniu swego zasadniczego stanowiska dałaby ciekawe rezultaty — byłaby to możliwość pierwsza. — Drugą widziałbym w zwróceniu się ku dramatowi kosmicznemu, w ufilozoficznieniu się pisarza. Ironja Szaniawskiego ma

niewątpliwie wyloty metafizyczne — gdyby poszła tą linią — mogłaby dać wielkie symboliczne poematy. Tkwienie zaś przy dotychczasowej problematyce — dać nam może jeszcze kilka cyklów w rodzaju „Łgarzy“ — jeszcze garść bardzo subtelnych wzruszeń, ale od Szaniawskiego mamy prawo domagać się czegoś więcej.

Powiedzmy jednak już teraz, że to, co nam dał jest piękną zdobyczą dla naszej literatury. Zakończę zwierzeniem

osobistym. Czytając Szaniawskiego, spostrzegam z głębokim zadowoleniem, że to niezawsze (o niezawsze!) czysto brzmiące *hu-ha-ha*, które czy to z nuty sielskiej czy miejskiej w literaturze najnowszej z dość teatralnym tupetem rozbrzmiewa — nie jest jedynym tonem współczesności, że mamy jeszcze pisarzy, wyczuwających inne, o ileż trudniej dla ucha uchwytnie registry życia.

J. E. Skiński

WITOLD PRUSZKOWSKI

Mając możność reprodukowania kilku zupełnie nieznanymi rysunków i szkiców prekursora impresjonizmu polskiego WITOLDA PRUSZKOWSKIEGO, (którego oczywiście nie trzeba identyfikować z żyjącym malarzem warszawskim Tadeuszem Pruszkowskim!), uważamy za stosowne pomieścić poniższą sylwetkę o wielkim artyście, którego pamięć pogrąży się, arcyniestusnie! w mgłę zapomnienia.

R.

Romantyk, idealista, poeta, fanatyczny wielbiciel ludu wiejskiego, jego bajecznych podań i pieśni — niesłusznie zbyt szybko zapomniany — był Pruszkowski jedną z najciekawszych postaci naszego malarstwa w drugiej połowie XIX w.

Z natury pełen temperamentu i jurackiej fantazji, ma w sobie zarówno dużo sentymentu, zadumy i melancholji

stepów ukraińskich, wśród których przeżył swoje dziecinne lata. (Urodzony w Berszadzie na Pobereżu.) To też na nic nie zdały się ideały Greków i Rzymian, wpajane w niego od lat wczesnych przez ojca, który syna w duchu klasycznym wychowywał. Bardzo krótko był ich wyznawcą i obrońcą. Kiedy po raz pierwszy dostaje do rąk „Pana Tadeusza“, kiedy zapoznaje się z





poezją Słowackiego i Krasińskiego, od tej chwili staje się zagorzałym szermierzem romantyzmu i entuzjastycznym wielbicielem naszych trzech wieszczów; tym też ideałom pozostanie wierny w swej twórczości do końca życia.

Studja artystyczne rozpoczął w Paryżu u Tadeusza Góreckiego, zięcia Mickiewicza, następnie wyjeżdża do Monachjum, do szkoły Struchübera i Anschütza, gdzie pracuje sumiennie, z dużymi rezultatami, zdobywając liczne nagrody i najwyższe uznania dla swoich zdolności. I już jako „skończony artysta” wyjeżdża do Krakowa, do Szkoły Sztuk Pięknych, opromienionej sławą Matejki.

Tutaj pod okiem mistrza, który w lot ocenił wybitny jego talent, maluje pierwszy i jedyny obraz historyczny „Piaś”. Wpływ Matejki w tej pracy niewielki, czuć natomiast w traktowaniu tematu zdecydowaną indywidualność autora, skłonność do romantyzmu i silne zainteresowanie typem chłopca polskiego; postać kmiecia-piasta jest bodaj najlepszą z całego obrazu.

Nie czując się dobrze w atmosferze Szkoły, opuszcza ją i osiada na wsi w Mnikowie pod Krakowem. I tu w bliskim, bezpośrednim współżyciu z ludem, zapoznaje się z jego zwy-

czajami, pieśniami i baśniami, rozkoszuje się barwnością jego strojów — i w ten sposób niedoszły malarz historyczny z pod znaku Matejki staje się natchnionym poetą wsi polskiej, ludu prostego, — przepojonym nawskroś czarem jego tajemniczych zabobonów i fantastycznych podań. Wtedy powstają znane jego obrazy jak: „Niedziela zielna”, „Sielanka”, „Pastuszki”, „Kiedy ranne wstają zorze”, „Świtezianka”, „Rusalki”, „Madej”, „Smok”, „Wilkołak”, „Djabeł na suchej wierzbie” i inne.

Był więc Pruszkowski pierwszym z artystów, który pojął to wyraźnie, że chcąc odtworzyć życie wsi, trzeba ją poznać w najbliższym zetknięciu, żyć się z ludem, wczuć w jego wierzenia i zwyczaje. Za nim uczynią to później krakowscy jego koledzy: Tetmajer, Rydel i Wyspiański.

Drugim jego wielkim umiłowaniem byli nasi trzej wielcy romantycy. Sam był poetą i nie mogąc w zupełności wypowiedzieć się w malarstwie, chwycił często za pióro, pisze poematy, dramaty i tragedje, które odczytuje swoim najbliższym — z utworów tych zachował się w całości dramat „Zbrodniarz”. Nie dziwnem przeto wyda się jego nowy zachwyt i część najgłębsza dla



poezji Słowackiego i Krasińskiego, z których czerpie tematy dla swych dzieł jak np.: „Eloe”, „Elenai”, „Śmierć Elenai” i „Wizja”.

I tu znowu w swem rozmiłowaniu się w poematach Słowackiego wyprzedza najwybitniejszego jego odtwórcę, jakim później będzie Jacek Malczewski.

Ma więc sztuka Pruszkowskiego charakter wybitnie przejściowy, jest jakby pomostem między starem a nowoczesnym naszym malarstwem — i to nie tylko jeśli chodzi o temat ludowości i romantyzmu, lecz także jeśli idzie o stronę czysto techniczną.

Twórczość jego przypada bowiem na czasy, kiedy we Francji rozkwita impresjonizm i jako „nowa sztuka”, — przez naszych ówczesnych krytyków pogardliwie ochrzczona „zdziczeniem i zboczeniem smaku” — dociera do Polski. Pruszkowski nie rzuca się bezkrytycznie, naoslep, w fale nowego prądu, ale też nie zasklepia się w wy-



godnej skorupce konserwatyzmu. Bada ostrożnie, eksperymentuje, interesując się przede wszystkim problemami kolorystycznymi, które malarstwo francuskie tak świetnie rozwiązuje. Wpływy tych poszukiwań widoczne są w ówczesnych jego obrazach, zwłaszcza w traktowaniu zestawień barwnych — tak, że śmiało możemy go nazwać prekursorem polskiego impresjonizmu.

Jan Mroziński

WŚRÓD KSIĄŻEK

Nowa praca o Krasińskim.

Podstawowym zagadnieniem metodyki literatury jest zagadnienie techniki krytyki. Sposób podejścia do dzieła i jego twórcy, ujęcie dzieła, wniknięcie w nie i wniknięcie przez nie w duszę twórcy — a potem kompozycja, układ krytyki stanowią o jej wartości. Jak powiada w jednej z najświetniejszych prac z zakresu teorii metody, w dziele p. t.: „*Les techniques de la critique et de l'histoire littéraire en littérature française moderne*” Gustaw Rudler: „*Le cerveau de l'écrivain est un système de tendances ou de forces, dont le livre est la résultante*” — uchwycenie zaś przyczyn i sposobu urodzenia się książki jest wejrzeniem w treść życia duchowego twórcy. Gdy, naogół wzięwszy, krytyk literacki ten cel postrzeża przed sobą, nie uwzględni przecież potąd jeszcze innej sprawy zasadniczej: krytyka literacka nie może być tylko suchym, naukowym elaboratem. Krytyka literacka jest sztuką. Na pograniczu tego ujęcia stoi Gustaw Lanson, gdy mówi, że „*la littérature n'est pas objet de savoir: elle est exercice, goût, plaisir. On ne la sais pas, on ne l'apprend pas: on la pratique, on la cultive, on l'aime*”.

Krytyk literacki musi być zarówno „naukowcem” (*sit venia verbo*), jak i artystą, człowiekiem czującym dzieło i poetę, ale i człowiekiem, ujmującym własne studjum w formę artystyczną. I wtedy dopiero nie wyda się paradoksem zdanie Oskara Wilde'a, że krytyka „najwyższa” jest w istocie swej więcej twórczą od twórczości samej.

Ku temu ideałowi, który „jako świt daleki”, zmierza się dzisiaj. Wymienić tu trzeba drobne rozmiarami a świetne w ujęciu studja Fortunata Strowskiego (profesor Sorbony) w książce p. t. „*La sagesse française*”; z polskich prac przede wszystkim monografię Józefa Ujejskiego o Malczewskim i monografię o Grabiance.

Tenże charakter posiada niedawno wydana monografia prof. dr. Tadeusza Pinięgo o Krasińskim. Już sam jej wygląd zewnętrzny miły i piękny. Szereg portretów w reprodukcji bez zarzutu. Poznańskie „Wydawnictwo Polskie” znów w sposób skuteczny ujawniło swą troskę o artystyczny poziom wydawanych przez się dzieł.

Pini maluje portret duchowy Krasińskiego; wзира z subtelnością artysty poprzez dzieła w życie jego wewnętrzne; ujmuje z doskonałym odczuciem piękną artystyczną wartość utworów. Pod względem mistrzowskiej interpretacji ewolucji duchowej poety — Pini wyjaśnia na podstawie listów genezę dzieł, a przez listy i dzieła patrzy w życie duchowe Krasińskiego — jest to jedna z najlepszych prac polskiej krytyki. Lata dziecięce i młodości zarysowane z przekonywającą plastyką; analiza „Nie-Boskiej Komedji” jest *sui generis* arcydziełem — zwłaszcza interpretacja tłumów wskazuje na wielką subtelność i wnikliwość krytyczną autora (str. 112). Tak samo ujęcie „Irydiona” — autor nie ominie tu żadnego szczegółu, wykazuje walory artystyczne utworu, wyjaśnia przyczyny błędów kompozycyjnych. To też cała ta część monografii stanowi chlube

polskiej krytyki. Załamanie pewne następuje dopiero w części dalszej pracy. Są braki w omówieniu: pominięty np. wstęp do „Przedświtu”; nieomówiona społeczno-etyczna filozofja „Psalmu miłości”. Trudno się też zgodzić na niektóre momenty np. (str. 223) słów „Przedświtu”: „Wstańcie czyni moje” nie można nazwać frazesem — są one tragicznym wyrazem poczucia poety,



Tadeusz Pini.

że nic nie zdziałał, są żądzą, pragnieniem dopełnienia swej misji w narodzie — pracą, są tym ideałem, który już w zakończeniu „Irydiona” przyświecał Krasińskiemu.

Pod koniec daje Pini syntetyczne ujęcie twórczości. I z tą samą subtelnością, co w pierwszej części pracy, określa styl Krasińskiego, jego filozofję, jego etykę. W etyce Krasińskiego — nie, jak dotąd ujmowano, w filozofji — główną jego wartość postrzeża.

Książka, metodycznie bez zarzutu ujęta, napisana pięknie, rysująca plastycznie obraz duszy poety, pełna głębokich i wnikliwych uwag (np. ciekawe uwagi o stosunku poety do służby wojskowej) przemyślana pracowicie, stanowi etap ważny i piękny w pochodzie krytyki literackiej ku wildowskiemu ideałowi.

A nadto: Tadeusz Pini stał się Ary Schefferem duchowego portretu Krasińskiego.

Stanisław Kolbuszewski

Nakładem bibliofilów poznańskich ukazała się nowa książka o wybitnie graficznych wartościach. Jest to przedruk jednej z ballad Zegadłowicza „Ballady o Wowrze”. Smak i wartość tej książki, tłoczony niezwykle pieczołowicie w oficynie „Poradnika”, stanowią drzeworyty Jędrzeja Wowra. Jest ich siedem; proste w pomyśle, prymitywne w wykonaniu, tchną szczerością jawną, niepodrobioną. Po drzeworytach ludowych, wydanych przez Łazarskiego w Warszawie, jest to drugie w Polsce tego rodzaju wydawnictwo. Składacz, łamacz i typograf w jednej osobie p. Jan Kuglin użył całej swej wiedzy i poczucia estetycznego, aby kolumnę drukową zestawić z planszami. Z zadania trudnego wybrnął wzorowo. Od tytułu począwszy do ostatniej strony, książka, tłoczona na pięknym papierze czerpanym, stanowi prawdziwą rozkosz dla oka. Jest też ta nowa praca bibliofilów poznańskich ważnym i godnym dokumentem szlachetnej sztuki drukarskiej.

T. J.

KRONIKA

— „Matka Boska Ostrobramska” W. Osseckiego pochodzi z teki graficznej tegoż autora, obejmującej 27 plansz drzeworytowych, akwafortowych z widokami i fragmentami architektonicznymi i zabytkowemi Wilna.

— „Jan Kasproicz” jest ostatnią pracą pisarską St. Przybyszewskiego, którą przygotowywał jeszcze parę godzin przed śmiercią jako odczyt dla Poznania i Krakowa.

— Obraz Wlastimila Hoffmana „Szopka” znajduje się jako depozyt w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu.

— Szkic piórkowy W. Hoffmana znajduje się w zbiorach prof. uniw. pozn. dr. Adama Kleczkowskiego.

— Obraz Tadeusza Pruszkowskiego „Św. Teresa z Lisieux” jest własnością ks. prał. St. Adamskiego w Poznaniu.

— „Notatki” — pod tym tytułem ukazały się w odbite książkowej myśli, rozważania, spostrzeżenia, rzuty filozoficzne i historjograficzne znakomitego prawnika i myśliciela Wł. L. Jaworskiego. Typ aforystycznego ujmowania zagadnień myślowych i uczuciowych zaniknął w dzisiejszym piśmiennictwie prawie zupełnie. Prof. Jaworski wskrzesza go z niepospolitem poczuciem wartości formy tego typu twórczości literackiej. W numerze niniejszym drukowane „Notatki” są dalszym ciągiem refleksyj świetnego uczonego i artysty.

— Rysunki Witolda Pruszkowskiego pochodzą z zbioru prywatnego, obejmującego około 30 rysunków tegoż artysty oraz rękopisy i dokumenty dotyczące się W. Pruszkowskiego.

— Świetna litografia A. Orłowskiego z r. 1810-go znajduje się w zbiorach grafiki dr. Adama Logi w Poznaniu.

— Druk trzeciomajowego numeru „Tęczy” ukończono 21 kwietnia w drukarni i zakładach graficznych św. Wojciecha pod zarządem p. Fr. Kusza. W zakresie reprodukcji zastosowano różnorodne techniki od cynkotypji, poprzez rotograwurę, druk wielobarwny, dupleks i fotochromję po offset.

Treść zeszytu 18-go.

Hymn Veni Creator. Stanisława Wyspiańskiego. — Królowa Korony Polskiej, Artura Górskiego. — Pieśni Marjańskie: Dolorosa, Leopolda Stoffa, Dzwonek Panny Marji w Goryczkowie, Edwarda Kozikowskiego. — Polska dawna a obecna na kongresie paryskim pod względem ludności i obszar, prof. dr. Stanisława Kutrzeby. — Jan Kasproicz, Stanisława Przybyszewskiego. — Kuźnia skrzydeł, Jana Sztandyngera. — Szopka, Wlastimila Hoffmana (plansza). — Wlastimil Hoffmann, dr. Marjana Morelowskiego. — Zofja Stryjeńska, Artura Schroedera. — Hukan, F. K. — Bulwa, Jerzego Bandrowskiego. — O wartości naszego morza, prof. Michała Siedleckiego. — Znasz-li ten kraj?... (Zaleszczyki), Jana Kilarskiego. — Św. Teresa z Lisieux, Tadeusza Pruszkowskiego, (plansza). — Rehabilitacja Stanisława Augusta, dr. Stefana Papée. — Akt dziękczynny za ustanowienie Konstytucji trzeciego maja 1791 r., C. W. — Notatki, Władysława Leopolda Jaworskiego. — Odrodzony uniwersytet wileński, Vilnensis. — Notatki, Władysława Leopolda Jaworskiego. — Jerzy Szaniawski, Jana Emila Skińskiego. — Witold Pruszkowski, Jana Mrozińskiego. — Wśród książek: Nowa praca o Krasińskim, dr. Stanisława Kolbuszewskiego. — Kronika. — Wyjazd, Aleksandra Orłowskiego (plansza). — Mściciel Wenety, Tadeusza Micińskiego. — Rozrywki umysłowe. — Okładkę projektował Wojciech Jastrzębowski.

Redaktor naczelny: Emil Zegadłowicz.



A. ORŁOWSKI

WYJAZD



TADEUSZ MICIŃSKI

MŚCICIEL WENETY

OSOBY:

KOMANDOR WEDEKIND
PANI SŁAWINA
PROF. MIKILIMBURG, mąż p. Sławiny
WANDA
ETELRED
JASTROWIT } dzieci
THORKELL }
PRZYBYSŁAW }
MIMA, żona Przybysława
EKSCLENCJA, ojciec pani Sławiny
TATJANA, przyjaciółka prof. Mikilimburga

Komnata w stylu surowym, pradawnym. Na ogromnym kominie, z granitu szarego, bez ozdób, płonie stos. Nad kominkiem wielki krzyż komtura i herb. Sala ma pośrodku lampę w postaci wiszącej latarni kryształowej. Na stolikach i stole rozrzucone pisma.

Sozrab rzeźbiony, czyli belka w suficie, odziera mniejszą i niską komnatę na lewo, niby kajutę, gdzie jest tylko otomana, półka z książkami, na długość ściany i okno w stylu gotyckim z szybami oprawnymi w ołów.

Na ścianach sali mroczą się rogi i łby potężne łosiów, turów, skandynawskich kozic i dzików. Pewna ponurość w sali. Po prawej stronie schody szerokie z ciemnego dębu wiodą na górne piętro. Nawprost sali zamknięte drzwi szklane i opuszczone zastony, tam słychać morze.

W kajucie z lewa siedzą: szpakowaty komandor zamku Wedekind; pani Sławina von Mikilimburg pokazuje synowej hafty i wyroby tkackie miejscowych włościanek. Prof. Mikilimburg rosty mężczyzna gra w szachy z ekscelencją. Thorkell milcząc, pali cygaro. Tania patrzy na morze. Wanda gra Szopena.

I.

PANI SŁAWINA

Te wyroby są z naszych majątków tu na Pomorzu i proszę podziwiać szczególne ich podobieństwo do tamtych.

MIMA

A te skąd, kochana teściowo?

PANI SŁAWINA

Z Tatr.

MIMA

Tatra? Gdzie to jest — pomóżno mi, komandorze.

KOMANDOR

Na Węgrzech góry — tam właśnie zgotujemy grób rosyjskim wojskom.

MIMA

Mój mąż Przybysław to samo zrobi Francuzom w Pirenejach!

PANI SŁAWINA

Opowiedz nam, Wando, coś o Tatrach!

WANDA (*zdaleka, grając cicho Szopena*).

Wielki tron naszej minionej potęgi — w tych górach naród nasz znajdował natchnienie dla bezmiernie trudnej egzystencji. Nasi ciemiężcy, którzy nie pozwalają nam czytać utworów patriotycznych, zrobili wielką omyłkę: zostawili nam muzykę Szopena i nie wysadzili w powietrze orlich Tatr.

MIMA (*cicho*)

Przepraszam państwa, szwagierka moja wjechała już na temat: *noch sind Polen nicht verloren* — i teraz jej nikt nie obuzda. Ale to jest bardzo dobra dziewczyna, tylko nienormalna, jak wogóle Polacy.

PROFESOR MIKILIMBURG

Szach. Znam te marne góry Tatr... Co za brudy w Zakopanem.

KOMANDOR

Góry oryginalne, a ciekawy lud. Kiedyś zajmowałem się architekturą i dalipan, czegoś tam się nauczyłem. Teraz w czasie wojny my wśród górali tworzymy powstanie przeciw Rosji. Niedawno poeci tam rozsiewali swe natchnienia. Ha ha... my będziemy je realizowali.

PROFESOR MIKILIMBURG

Od tego szachu niczem się, mój teściu, nie zastłosisz.

EKSCLENCJA

Quelle étendue du terrain ont déjà conquis les Russes?)

PROFESOR MIKILIMBURG

Où donc?

EKSCLENCJA

En Galicie.

PROFESOR MIKILIMBURG

Le terrain jusqu'à Mogiła... Là ils se reposent pour toujours.

EKSCLENCJA

Mogiła?... quel nom funèbre...

PANI SŁAWINA

Takie lilje tam nazywają się leluje; te same krzyże swastiki indyjskiego pochodzenia, w Tatrach je nazywają: krzyże niespodziane; góral wyrzyna je toporem na domu, zdejmując kapelusz.

KOMANDOR

Wogóle Słowianie, jako autochtoni w Europie, mają szczególną rasową wytrwałość.

PROFESOR MIKILIMBURG

Co, autochtoni w Europie? Może starsi od Niemców?

KOMANDOR

Naturalnie, przecież nie dasz się wprowadzić w błąd temu śmiesznemu Likowi, który wszystkie

) EKSCLENCJA. Jak daleko zaszli już Rosjanie?

PROF. M. Gdzie?

EKSCLENCJA. W Galicji.

PROF. M. Aż po Mogiłę... tam spoczną na wieki.

EKSCLENCJA. Mogiła?... co za nazwa złowieszczą...

mogily na wyspie Ranie uważa za groby Niemców i ruiny absorbował tylko dla teutońskiej rasy.

PROFESOR MIKILIMBURG (*hamując się przygwizduje*)

Ładny robi się ten nasz dom. I ty stary fanatyku wolnomularskich idei zawsze musisz coś mącić, to są jednak sprawy, należące wyłącznie do państwowej polityki.

PANI SŁAWINA

Ja ciebie nie rozumiem, Hugonie. Ty, szeroki myśliciel w dziedzinie biologów, nie uznajesz wolnego badania ras?

PROFESOR MIKILIMBURG

To co innego. Ale w państwie musi być porządek, jedność, państwo musi wiedzieć, czego chce. Od Renu do ujścia Dunaju muszą rozkrzewić się Niemcy, wszyscy pojmujemy, że to zaraz stać się nie może — no, ale przecież od czasu mego przodka, komtura krzyżackiego Hermana von Salza postąpiliśmy naprzód — nie? Wtedy mój przodek musiał nakazywać Słowianom mówienie tylko po niemiecku i pod karą gardła pić z Niemcem, jeżeli ten zażąda. — Teraz jesteśmy dość potężni na to, aby się stać prawdziwie liberalni. Gubernia Kaliska i Piotrkowska ogłoszone są jako niepodległa Polska. Naturalnie wejdzie ten kraj w związek Rzeszy Niemieckiej, jak np. Hannover lub Saksonia. Polska prędko stanie się mitem. Ot, i ja mojej żonie pozwalam bawić się z wiejskimi babami i odkrywać w nich wendyjskie, połabskie, czy słowenckie księżniczki. Nie miałem nic przeciw temu, że mój syn najstarszy nazywa się Przybysław, jak ostatni książę Obotrytów. A mój najmłodszy Jastrowid służy w rosyjskiej marynarce... I nic nie wadzi mi, że majątek nasz nazywa się Putbus, a jak żona chce — Podbórz, i że nosimy dawny słowiański herb ręki uciętej z kółkiem, który ona podnosi w górę.

PANI SŁAWINA

Ze słońcem, mój drogi. A twój liberalizm jest przymuszony — miałeś rok 48 w swym domu, kiedy na barykadach zdobywałam swe prawa.

PROFESOR MIKILIMBURG

Ha ha ha... na barykadach dość miękkich zaiste. Dzięki tej walce różnica między Przybysławem a następnym bratem jest całe trzy lata... tak, poróżnił nas Bismark i rugi w Poznańskim. Ale już zgoda, nieprawdaż, Sławchen? Ty mi oddałaś swą energję i swój majątek na Litwie, za który kupiłem dawne nasze dobra rycerskie i założyłem tu fabrykę wojennych wynalazków. Dzięki twej interwencji kupiłem od pewnego Polaka inżyniera, który daremno chciał sprzedać w Anglii swój wynalazek oświetlenia głębin dla łodzi podwodnych. A teraz mogę tu we własnym zamku mieć laboratorja i jednocześnie zakładać miny Anglikom swemi okrętami.

PANI SŁAWINA

Najważniejsze, żem ci wydała na świat takich czterech wielkich drabów... Cóż, milczący Thorkellu — miałeś wiadomość o swych braciach na wojnie?

THORKELL

Ulotną... wiem, że Wilk (Etelred) lecąc na aeroplanie nad armją naszą ścierał się z francus-

kimi lotnikami, którzy chcieli wytepić naszą intendenturę. Widział ktoś Przybysława, jechał konno zdrów, mimo, że strzałki aluminiowe padały obok niego gęsto, przygważdżając jeźdźców do konia. Takie strzałki kazałem robić milionami w Berlinie — i dałem na nich napis: wynalezione w Paryżu.

MIMA

To jest kolosalne! Pozwól się uściskać, Thorkell. Ale... wsadziłam ciasto do pieca, już rośnie. Na mnie czas. Bawcie się dobrze. (*Wychodzi.*)

II.

WANDA

Nie wytrzymam w waszym zamku. Pozwólcie mi jechać. Droga mam, ja ciebie bardzo kocham, ale już nie mogę...

PANI SŁAWINA (*na str.*)

Ty gorszysz się bezustannie, że nie poszłam za Polską — nie chciałam nawet synów uczyć po polsku, nie uczyłam ich historii narodu, unikałam zetknięcia z Polakami.

WANDA

Wiem, uczyniłaś to, matko, aby im oszczędzić boleści — być Polakami. — Ale nie odjęłaś im duszy — i poczwórne łańcuchy kiedyś dźwigać będą, aby dojsć do prawa cierpienia za Polskę.

PANI SŁAWINA

Mylisz się, nigdy tego nie będzie. To są prawdziwe wikingi morskie, zresztą Przybysław ma już żonę Niemkę, ta mu nie pozwoli na żadne odstępstwa od mocnej, obranej drogi.

WANDA

Ujęłaś trzech witezów polskim dziejom... Ale został Jastrowit...

PANI SŁAWINA

Ten jest istotnie enigmatem.

WANDA

A ty, panie Thorkellu?

THORKELL

Ja? Jeśli mi państwo polskie będzie dobrze płacić — będę mu dostarczał wszelkiej broni. W handlu niema narodowości. Muszę iść do mego ciasta z nitrogliceryny. (*Wychodzi.*)

PROFESOR MIKILIMBURG

No, jakże zapatrujesz się na to państwo słowiańskie w naszym domu, szanowny teściu?

EKSCELENCJA

Wnuczka moja... he, he, he... robi zawsze tak, jak tego sama zażąda. Nieodrodna od swej babki, świętej pamięci mej żony. Gdy byłem gubernatorem... gdzie to? a, zawsze nazwy mi się płaczą... Starość... A tak — w Niżnim Nowgorodzie, wszystkich idących partjami na Sybir tych — jak się nazywali — odziewała i darzyła pieniędzmi. Nie miałem nic przeciwko temu: zbłądzili, państwo ich słusznie ukarało, ale chrześcijańskim obowiązkiem pomagać niedoli. Aż wkońcu będzie jeden pasterz i jedna owczarnia...

PROFESOR MIKILIMBURG

Ja jestem biolog i widzę jak za ławicą śledzi płyną dorsze, rekiny i wszelkiego rodzaju silniej-

sze organizmy. Zjadają masami. Ludzie łowią owe ławice marzycieli błękitno-srebrnych, mocno zakochanych — którzy jadą w zbiorową poślubną wędrówkę. — POCO te komedje humanizmu? Zwyciężony ma ustąpić, ugiąć się — albo nie istnieć. — Wtedy też nie będzie kłamliwej etyki miłosierdzia dla niedołęgów. POCO niepodległa Polska i wogóle Polacy? Są to wodorosty, które oplotły śrubę okrętu niemieckiego. Trzeba je odskrobać — i tego przeć naprzód. Wtedy cywilizacja dojdzie aż do Wołgi.

EKSCELENCJA

Dokąd, mój Hermanie?

PROFESOR MIKILIMBURG

Jestem Hugon. W kierunku pracy zorganizowanej — ku Chinom... Utworzymy europejsko-azjatyckie mrowisko... Nastąpi atrofja komórek w mózgu, które tworzyły niekarne fermentacje.

EKSCELENCJA

O, już w Rosji niema niewolników — nasza komisja uwłaszczenia właścian r. 61 wydała... Już tam nikt nie pije wódki...

PROFESOR MIKILIMBURG

Mrok twardej rzeczywistości, wyniesione do bóstwa prawo selekcji i żagiew kultury niemieckiej — oto droga cywilizacji.

PANI SŁAWINA

Alboż prawo doboru zawsze wysuwa naprzód organizmy wyższe? Lwy giną, a mnożą się insekta.

PROFESOR MIKILIMBURG

Lwy odradzają się w duszach ludzkich. Ja jestem taki lew, budowniczy Assurbanipal czy Nimrod... buduję wieżę Babel — niezłomną już.

TANIA

Chwalić się niebezpiecznie, może słucha asyryjska Hedda Gabler.

PROFESOR MIKILIMBURG (*cicho*)

Cudne dziecię... (*głośno*). Czyś pani już zrobiła notaty z mych pamiętników na okręcie pisanych, gdyś badał rafa Andamańskie?

TANIA

Tak, i znalazłam tam śliczny opis tęsknoty...

PROFESOR MIKILIMBURG

Szach i mat, kochany teściu. Potrafię myśleć jednocześnie na trzy fronty — właśnie muszę państwu przypomnieć, że telegraf iskrowy oznajmił nam zbliżanie się gości. Będzie trzech królewskich delegatów w naszym krzyżackim zamku, kilku książąt Rzeszy i nie wiem już ilu ministrów, tak, moi drodzy — siłą własną zdobyć wszystko, stanąć na szczycie — to najwyższa rozkosz. — A teraz przejdziemy do apartamentów komtura, w sali portretowej powitam gości i przypomnę misję naszej rasy.

PANI SŁAWINA

Tam niemożliwe. ...Przygotowałam salę z freskami, które wyobrażają ogrody Hesperyd, pracę prometeicznej ludzkości... Ty jesteś jednym z Tytanów na fresku, kującym w kuźni.

TANIA

Co profesor tam wykuwa? To było dla mnie zawsze tajemnicą.

PROFESOR MIKILIMBURG (*wesoło*)

I dla mnie. Teraz jednak widzę: jest to pierścień magiczny Polikratesa — chcę być jeszcze niewysłowienie szczęśliwym! — (*poważnie*) Pragnę nieodzwrotnie ich przyjąć w sali krzyżackiej — potem przejdziemy do sali szczęśliwej ludzkości. Wiesz, Sławchen, nie uznaję za stosowne, żebym ci miał dziękować na tej uroczystości 25-lecia naszej stacji wynalazków wojennych. Wyglądałoby to, jakbyś chciała koniecznie dopraszać się podziękowań z mej strony.

PANI SŁAWINA

Masz rację, mówienie o sprawach rodzinnych wobec królów jest nad wyraz uciążliwe. (*żartując*) Zresztą, ty czułbyś się bardzo nieswobodny wobec arcyksiężniczki bawarskiej...

PROFESOR MIKILIMBURG

Ciesz się, że jeszcze kobieta dionizyjska w tobie góruje.

PANI SŁAWINA

Tylko kobieta dionizyjska mogła porzucić ojczyznę i za tobą iść, nieznanym nikomu młodym uczonym. Matka wywiozła mię z Warszawy, aby nie oddać naszym lekkomyślnym magnatom. Nauczyciel Niemiec okazał się Abelardem, a ja Hełoizą...

PROFESOR MIKILIMBURG (*do siebie*)

Niestety, donnerwetter.

PANI SŁAWINA

Czyż nie byłam jednak godną twego geniuszu?

PROFESOR MIKILIMBURG

Ależ przyznaję... Twoje nadzwyczajne organizacyjne zdolności pomogły mi znakomicie w rozwiązaniu wielu zagadnień. Wynalazek toku biomagnetycznego dał mi możliwość utworzyć wspólny las, łąkę prasłowiański, tam, gdzie były tylko skały kredowe. Twój wielki smak artystyczny przyciąga artystów, dzięki twej żelaznej woli przedmogłaś uprzedzenia swej matki.

PANI SŁAWINA

Jednak — umarła z żalu do mnie.

PROFESOR MIKILIMBURG

Pocziwa „Trömtadratka“ z wojny szlachciców roku sześćdziesiątego i trzeciego. Ale przynajmniej zapisała ci jednocześnie cały swój majątek, to był wyraz realny uczucia, choć bajecznej słowiańskiej niekonsekwencji.

PANI SŁAWINA

Hugonie, teraz nie jest czas na dysputę — musisz się przebrać. Wdziej strój mego pomysłu. Będziesz w nim podobny do Fausta i zarazem do Prospera. Weźmiesz dziś brylantowy wawrzyn.

PROFESOR MIKILIMBURG (*wzruszony*)

Byłaś zawsze skrzydłem — geniusza... Ateną przy Ulissiesie... (*całuje jej ręce*). Idź teraz tam na salę komturów — i przejrzyj, czy wszystko w porządku.

III.

(WANDA ubrana do podróży spotyka wychodzącą Sławinę.)

PANI SŁAWINA

Co to ma znaczyć?

WANDA

Komendant obiecał mi motorówkę. Z portu Kielskiego wyruszę w Tatry. Tam mam brata, do-
wódce strzelców.

PANI SŁAWINA *(zimno)*

To bardzo pięknie, ale chyba nie teraz, gdy świat Niemiec i Austrii obchodzi tu swój triumf... Mąż mój i Thorkell zdołali wynaleźć armaty lepsze od słynnych francuskich *Soixante quinze* — możemy na serjo myśleć o zdobyciu Anglii.

WANDA

Ja nie należę do świata niemieckiego.

PANI SŁAWINA

Ależ tu rozstrzygają się losy naszej Polski... Już jest ogłoszony król polski przez Wilhelma, kiedy tam po stronie rosyjskiej wciąż system Apuchtina... Czy nie myślisz czasem o rozciągnięciu opieki nad Jastrowitem? Zamartwiam się, ale to choć dobre, że jest tu jeńcem wojennym, aby nie musiał walczyć przeciw nam.

WANDA

Nie jestem mu potrzebna. Jest teozofem. Samotnik — żyje naprawdę tylko morzem i czegoś wygląda. Snuje astralne kombinacje, świat cały uważa za dzieło magiczne. Nie będę mu przeszkadzała. Dlatego właśnie, że kocham go, nie chcę kłepować.

PANI SŁAWINA

Tu zostań i rób coś realnego.

WANDA

Każdy mój czyn — byłby przysporzeniem waszej potęgi.

PANI SŁAWINA

Dość tych nerwów, nie cierpię waszej liryki polskiej. Brat jeśli ranny, to ma szpital, a Jastrowita musisz obudzić, bo jest on bliski oblędu. Wszakże tu — korzystając z względnej swobody — zanurza się w skafandrze, lub w kloszu szklanym całymi dniami na dno morskie. I poco? Nie jest bathologiem. Już raz wydobyliśmy go prawie martwego... Może to okropny konflikt honoru oficera marynarki rosyjskiej?...

WANDA

...z rolą szpiega, jaką mu chciał wyznaczyć pan Mikilimburg. Ale Jastrowit znajdzie swą istotną drogę. Nie gniewaj się na mnie, mateńko.

PANI SŁAWINA.

Musisz mi zagrać Beethowena, jestem dziwnie smutna.

IV.

(Wychodzą. Tania sama patrzy na morze.)

PROFESOR MIKILIMBURG *(po chwili wchodzi ubrany w strój średniowiecznego mędrca — jako Prospero. Ogląda się, czy nikogo niema).*

Taniu, czemu ty milczysz?

TANIA

Powiedziałam ci już wszystko.

PROFESOR MIKILIMBURG

Od czasu, gdy tu przybyłaś, zda mi się, że jest młodym Faustem. Twe listy cudne i mądre, godne Aspazji, utrzymywały mego ducha w napięciu przez dwa lata — gdy dokonywałem cudów

zbrojenia mej ojczyzny. A ty — czy nie cierpisz, będąc Rosjanką?

TANIA

Jestem kosmopolitką. Zajmuje mię jedynie potęga woli.

PROFESOR MIKILIMBURG

Walkirjo moja, lata ubywają mi, z tobą biegnę zerwać mistyczną różę życia.

TANIA

Róże nie mają dla mnie uroku. Tem bardziej mistyczne. Lubię tylko kwiaty śniegowe, rosące w załomach kaukaskich lodowców. Lubię światło księżycowe na górach wiedzy. Ty mnie zawiodłeś tak wysoko, mój Lucyferze.

PROFESOR MIKILIMBURG

Gdzie tylko zimne kryształy?

TANIA

Z dziewczyny, która żyła w Moskwie wzdychając niewiadomo za czem, zrobiłeś lucyferystkę.

PROFESOR MIKILIMBURG

Tak — lecz to nie dość, moja Taniu, że znasz już wielkie odkrycia Bähra i moje, że mówisz ze mną o neuronach i radium, lecz chciałbym, abyś wleciała ze mną na Zeppelinie. Prócz załogi i armat, my będziemy przed wiecznością sam na sam... Tam w obliczu nieskończoności chciałbym ci powiedzieć —

TANIA

A w jakim kierunku polecim?

PROFESOR MIKILIMBURG.

Na Angją, zbadamy miejsce do jeneralnego szturm.

TANIA

Pod warunkiem, że zapalimy Londyn. Potem ze mną samotnie przebędziesz miesiąc na wyspach Kanaryjskich, gdzie nie czytają gazet o tej przebrzydłej wojnie.

PROFESOR MIKILIMBURG

Jesteś magnesem moim. Pomniesz, co rzekł Nietzsche o kobiecie?

TANIA

Że jeszcze nie spotkał takiej, z którą chciałby mieć dziecko.

PROFESOR MIKILIMBURG

Ja spotkałem taką, ale zapóźno.

(Zmieszal się nieco, Tania patrzy weń spokojnie.)

TANIA

Będę ci wszystkim, ale jeszcze nie teraz. Muszę wprzódy obejrzeć drogę mego przeznaczenia.

PROFESOR MIKILIMBURG

Jesteś cudem Taniu, jesteś cudem. Tylko kobieta Rosjanka może być taką.

TANIA

A Polka?

PROFESOR MIKILIMBURG

Nie mówmy o tem.

TANIA

Kochasz ją?

PROFESOR MIKILIMBURG

A, to są tylko pozory. *(Wchodzi Sławina ubrana wspaniale — chce podejść do męża, widząc go obok Tani cofa się; zwyciężona ciekawością ukry-*

wa się w kajucie). Sławina jest dziką i bezczelną naturą, która chce, mając wiek już nieodpowiedni, utrzymać się na wyzynie erotycznej. Jestem od niej starszy, ale jest mężczyzną. Metodyka umysłowa nie stłumiła w niej jakiegoś zabobonu rasowego, tej specyficznej zdradliwości słowiańskiej. Nie lubisz tak samo, jak ja, Polaków?

TANIA

Nie znam ich zupełnie, ale nie lubię ich instynktownie, jak się nie lubi np. Żydów.

PROFESOR MIKILIMBURG

Doskonale zestawienie. To samo skrzywienie myśli cywilizacyjnej, tam w garbatych nosach i fałszu handlarzy, tu w marzeniach i niedołęstwie.

TANIA

Pani Sławina nie ma w sobie marzycielstwa. Nawet synów oddała Niemcom lub Rosji.

PROFESOR MIKILIMBURG

Nie znasz jej. Ona czeka ciągle jakiegoś Mesjasza dla ludzkości. Taniuska, muszę iść, więc na sali umieść się, abym tylko na ciebie mógł patrzeć.

TANIA

A księżniczka bawarska, twoja wielbicielka?

PROFESOR MIKILIMBURG

Powiem ci tajemnicę stanu — kocha się w niej nasz monarcha — i jak w dramacie Calderona, muszę poddany ustąpić. Ha ha... *Lex supremae noctis*. Powiedz mi, podobają ci się moi synowie?

TANIA

Znam tylko Thorkella. Thorkel jest to ponury kobold, jego nie obchodzi nic poza grozą wynalazku wojennego. Innych — nie znam.

PROFESOR MIKILIMBURG

Młodość jest mą największą rywalką — zabije starego Don Juana.

TANIA

Nie powinieneś nigdy ustępować nikomu. Słyszałeś o naszym hetmanie Mazepie? Miał lat 60, a szalała za nim dziewczyna kochanka. Nie ustępować...

PROFESOR MIKILIMBURG

Brunhildo, będziemy razem na tronie Anglii. Zdobędę z tobą to państwo — —

TANIA

Może zostaniesz królem polskim?

PROFESOR MIKILIMBURG

Nie warto... nędza... Nie warte owej charciczki, której odmówiła waszej Katarzynie ks. Czartoryska — za to Katarzyna czuła się uprawnioną do sekwestru majątków i rozbioru Polski.

TANIA

Co tam za błysk na niebie?

PROFESOR MIKILIMBURG

Lecą Zeppeliny, jak iluminowane pociągi. Więc wyjedziemy razem?

TANIA

Tak, chciałabym widzieć, jak będzie palił się Londyn — a potem — na wulkan Kanarji!

PROFESOR MIKILIMBURG

A pod wulkanem w morzu kapać się będziesz...

TANIA

Na co ci potrzebne moje ciało?

(Pani Sławina niepostrzeżona wychodzi)

PROFESOR MIKILIMBURG

Jesteś tak przenikliwa, odgadnij.

TANIA

Może to jednak będzie ci przykre?

PROFESOR MIKILIMBURG

O, przeciwnie...

TANIA

Badając historję twych przodków, znalazłam dziedziczny obłęd w wieku późniejszym. I ty lekasz się... Mniemając, że tylko świeża barbarzyńska krew może cię utrzymać, kazałeś zrobić sobie wannę z krwi młodych murzynek tam na wyspach Andamańskich...

PROFESOR MIKILIMBURG

Skądże to wiesz?

TANIA

Przypadkowo wyznał mi list marynarza, który znalazłam w twej bibliotece.

PROFESOR MIKILIMBURG

Fatalna moja nieogłędność... Sądziłem, że w bibliotece mej czytasz tylko te rękopisy, które ci wskazałem.

TANIA

I te i wszystkie inne... Alboż lucyferyzm nie jest wiedzą zupełną. Ta wanna spodobała mi się... a jeszcze więcej rachunek za 40 murzynek po 9 butel rumu jedna. Krew tańsza niż rum...

PROFESOR MIKILIMBURG

Więc tak... istotnie, nie chciałbym runąć w przepaść! Mój umysł przetrwał już wszystkie zagadnienia, zwertował wszystkie skrytki przyrody, sięgnął po wszystkie skarby i dale ducha. — I cóż? Przeraził się, oniemiał wobec przeraźliwej nicości wszystkiego. Twój głos usłyszałem w pustyni czarnej świata. Jestem wulkanem, który szaleje tylko ku twoim niebiosom. Gwoli zekscytowania twej wyobraźni, pozwoliłem na ten festyn — na zjazd królów... Abyś wiedziała, że Faust z II części narodził się w tobie, jako Prospero w Helenie. Jeśli ty mi nie podasz ręki na tym wirchu, runę głową wdół. (*Zasłona od górnych schodów rozchyła się i staje tam w stroju czarnym lotnika, okryty szronem* — WILK (ETELRED).

V.

(Tania spostrzeża go, w nagłym przerażeniu przy pada do ramion profesora.)

PROFESOR MIKILIMBURG

Wilku! więc zdążył twój aeroplan na czas?... Nie myślałem. — Pozwól, że ci przedstawię moją serdeczną przyjaciółkę, o której ci nieraz mówiłem: Tatjanę Peliwanową. (ETELRED *kłania się głęboko, nie schodząc*). To wybornie się składa. Muszę już spieszyc, nadjeżdżają parowce i Zeppeliny. Zaopiekuj się Tanią. Lub nie — ona tego nie lubi. Coś tak małowówny? Zdaje się, żeś dotąd nic nie przemówił? Pośpiesz do matki, jest w najwyższym niepokoju o Przybysława.

(ETELRED *cofa się i zasuwa kotarę*.)

PROFESOR MIKILIMBURG (*ukrywając zmieszanie*)

Już zajeżdża automobil cesarski: jakież niebosiężny zaszczyt! Muszę zmienić ton przemówienia — daj mi rękę — na otuchę.

TANIA

Przemów w głębokim spokojnym wykładzie do królów, jakby do zwykłych słuchaczy. Idź już. Ja tu zostanę. Wszakże stąd będę mogła słyszeć?

PROFESOR MIKILIMBURG

Czemu drżysz?

TANIA

Wpływ morza... Działa na mnie ta olbrzymia magnetyczna bateria.

PROFESOR MIKILIMBURG

A szczególnie, latający Holender!... Wy Słowianki nie macie zimnego spojrzenia na zjawiska...

TANIA

Więc mimikry jest tak powszechne?

PROFESOR MIKILIMBURG

Co?

TANIA

Że nawet teorie uczonego przystosowują się kolorem swym do okoliczności. Kazałeś mi niedawno być wulkanem.

PROFESOR MIKILIMBURG

Nie mówmy już. Teraz tam — zwyciężając królów, ciebie na wieki zdobędę — albo — widzisz to małe czarne pudełeczko? Skondensowany spokój i wzdarda na wiele milionów lat...

(Wychodzi. Tania zadumana przed ogniem, rozrzuca żągwie.)

(Nagle do siebie)

TANIA

Jakam szczęśliwa, że to się nie stało... Teraz już wiem, już wiem!...

(Rozlega się wspaniała kantata. Z górnej sali nad schodami dolatują niewyraźne słowa Profesora: „Kategoryczny imperatyw narodowej woli — zgńiecenie Swantewita przez Wotana“...)

(Po schodach zstępuje ETELRED, ubrany już we фрак i rozgląda się za Tanią. Zdziwiony.)

ETELRED

Nie chcesz pani słuchać przemówień mego ojca?

TANIA

To będzie drukowane. Słyszeć mi teraz głos morza lepiej — niż zazwyczaj.

ETELRED

Nie jesteś pani taką przyjaciółką mego ojca, jak mogłem się spodziewać.

TANIA

Pan jest też więcej tragiczny, niż się spodziewałam.

ETELRED

Tak, stało się nieszczęście. Przywiozłem trupa Przybysława. Jakże oznajmić rodzicom w tak triumfalnej chwili?

TANIA

Nie trzeba zupełnie mówić i rzucić trupa w morze.

ETELRED

Mój ojciec podnosi głos — tego należy posłuchać — zda się, jakby mówił do kogoś jednego wyłącznie.

VI.

(Wstępuje parę schodów wzwyż).

PROFESOR MIKILIMBURG (zdala niewidzialny)

Dzieło me stało się przedmiotem narodowego interesu. Uzyskawszy pomoc państwa, rozsze-

rzyłem przedsięwzięcie me do kolosalnych rozmiarów: niemiecka nauka, niemiecka wojskowość, niemiecka rozrodcość, niemiecka przyszłość zacerpnięły oburącz z bogatego źródła, które tu jest ocementowane potęgą cesarskiej woli. Dzięki tej pomocy moralnej zgóry, wprzągłem umysły wszystkich narodowości do wynalazków na korzyść wyłączną Niemiec. Tu sprzedają nam, o ile sami nie umiemy wydrzeć, tajnie wszystkich mocarstw. I teraz np. rosyjski inżynier daremno w swej ojczyźnie chciał zastosować swój wynalazek nożyc, zawieszonych na bagnecie do przecinania kolczastego drutu. My zdobyliśmy tę wiadomość przez urzędnika w rosyjskim mundurze, i nasi żołnierze tną teraz kolczaste druty Rosjan (oklaski rzesiste). Nie od rzeczy będzie podziękować Słowianom, którzy u nas pracują. Nie w najmniejszym stopniu i mej żonie, która z udziałem miliona marek założyła mą stację doświadczalną. Lasy z nad Buga tu wsiąkły — a żywica ich jak gejzer wytrysła wiedzą lucyferyczną. — Tym kapitałem wsparty, mogłem rozpocząć dzielnie. Nie dbam o resztki Słowian na ziemiach Pomorza i biegu Wisły. Mamy siłę postępowego ruchu, a ta wystarczy dla prześwidrowania ziemi aż do antypodów. Nadewszystko bądźmy realistami. Musimy na czas wojny roztaczać fantasmagorie — obiecując np. Polskę niepodległą, tak — jak obiecujemy żołdatom 7 rubli za karabin. Zdobyć dusze Słowian możemy tylko przez samych Słowian. Mamy już wszystkie tajnie organizacje Poznańskiej, którą zbadał syn mój Przybysław. Na ten portret Alberta Niedźwiedzia przysięgnijmy, że wybiła ostatnia godzina Anglii i Słowian.

(Robi się tumult.)

ETELRED

Moja matka zemdlala — muszę ją wynieść z sali.

VII.

(Rozgwar, po chwili Etelred znosi na rękę omdloną panią Sławinę. Kładzie ją na otomanie i ratuje solami. Słychać dalej spokojny, coraz silniejszy głos Profesora.)

PROFESOR MIKILIMBURG

Ukażę wam, dostojni słuchacze, laboratorja dla rozrzućania dżumy wśród wrogów — dla nas mamy środki antyseptyczne. Zaś na czasy powojenne mam wyniki badań celularnych, możemy przeobrazić krew dziecka słowiańskiego, zmieniając w janczara dla naszej cywilizacji. Tu my stoimy z żągnią Lucyfera. A tam po drugiej stronie sekunduje nam odwieczna słowiańska wzajemna wraźda, ciemnota i barbarzyństwo. Z barbarzyńcami tymi, jak dawni Rzymianie, musimy postąpić z okrutną bezwzględnością. (Tania wstępuje na wschody.) Mój syn Przybysław, który tępi teraz pułki francuskie wnet wróci, aby tępić dusze Polaków.

ETELRED

Lękam się, że nastąpił straszny wstrząs u mej matki — majaczy. Zamykaj pani drzwi od sali — przysłoń tu światła — i sama racz wyjdź.

TANIA

Pozwól pan mi tu zostać. (Zamyka drzwi górne.)

PANI SŁAWINA

Podchodzi do mnie trumna w czarnej zasłonie, kto w niej — nie mogę odgadnąć... Czy to ciebie ja widzę w morzu, Jastrowicie?... Wprowadź mię do Wenety!

VIII.

(Rozwierają się drzwi od strony morza i wchodzi blady wysoki JASTROWID.)

JASTROWIT

Czemu tak ciemno? Trzeba rozniecić większy ogień...

ETELRED (rozżarza)

Bracie mój, co się stało? (chce go uściskać, Jastrowit wstrzymuje gestem).

PANI SŁAWINA (majacząc)

Duch mój unosi mię w dawną anamnezę. To ty, Jastrowicie? Co znalazłeś tam na gwiazdach, lub w głębinie morza?

JASTROWIT

Matko — przychodzę pomścić się za Wenetę.

PANI SŁAWINA

Widzę Wenetę pod morzem zatopioną — okręty dawne i świątynie.

TANIA

Ona jest w transie.

PANI SŁAWINA

Pójdę z wami stąd na zawsze. Nie mogę poruszyć ani ręką. Czyżbym ja była sparaliżowana?

ETELRED (cicho do Jastrowita)

Lękam się tego: (głośno): Nie, matko, tyłko osłabiona.

(Z sali rozlegają się rzęsiste oklaski)

PANI SŁAWINA

Etelredzie, Jastrowicie — ja się nie poddam: chcę walczyć — trzeba mi ognia — ognia tam z głębin... Czy może mi ktokolwiek udzielić choćby węgielek?

(Wchodzi MIMA z tacą, na której olbrzymi „Baumkuchen“.)

MIMA

Na, ciasto mam nadzieję nienajgorsze. Ale możecie go tylko powąchać, bo krajać nie dam.

(Rozwierają się drzwi główne.)

PROFESOR MIKILIMBURG

Sławino, spotyka nas wielki zaszczyt. Najjaśniejszy Pan wraz ze swą małżonką zapraszają nas oboje na kolację do Zeppelina. Czemu tu mrok? Wyjdźcie wszyscy. — Z Zeppelina będziemy iluminować głębie podmorskie, gdzie odegrał się dramat — Koniec Wenety. Jak wiadomo, było to miasto — jedno z najpiękniejszych w Europie wieku XII. Zakryte dziś falami, jakiś kataklizm morza! Pono wśród szalonej burzy widać w otchłani szczyty kontyn, wielkie okręty polskie i ruskie. Użyjem tak potężnych reflektorów, że zobaczymy na paręset metrów wgląd.

MIMA

Miejcie mnie za wytłumaczoną, ale ja mam na głowie ważniejsze sprawy!

IX.

(Rozlega się daleki huk i wstrząśnienie.)

MIMA

Rozsypał się mój „Baumkuchen“! Opadną ba-by w piecu! Nie strzelajcie!

PROFESOR MIKILIMBURG (wesoło)

Czyżby zamek nasz najechał na wieżycę podmorskiej Wenety?

(Straszliwy tumult w górze.)

Na Zeppelinie uciekają cesarz i świta... Gdzie jesteś, Taniu... Ratuujmy... Co się tu dzieje?

ETELRED

Jastrowit, wytłumacz nam — czyżby to napad flotyli rosyjskiej?

(Wpada KOMANDOR.)

KOMANDOR

Przygotujcie się na wieści straszliwe: niema dla nas ratunku — podstępnie wymordowano strażę — obległy nas wojska Anglików. Kto mógł z górnych sal — odleciał na Zeppelinie, w którym dwie komory rozerwano szrapnelami. Wyjścia stąd niema, bo nawet kurytarze podziemne zajęte przez wroga. Eskadra łodzi podwodnych pilnuje portu i wysadza w powietrze nasze krażownikiki. Stację wynalazków musimy podpalić. Ktoś niewidzialny prowadzi kompanję straszną.

JASTROWIT

Stacja już zajęta. Rzekłeś, komandorze, że niema dla was ratunku. Potwierdzam to.

KOMANDOR

Ha, teraz rozumiem — zdrajco.

JASTROWIT

Mściciel jestem Wenety.
(Strzelają do siebie jednocześnie. Komandor pada.)

ETELRED

Więc i ja powtórzę: jesteś zdrajcą, Jastrowicie (porywa ze ściany miecz). Stoczymy jeszcze my walkę — dzielić nas barjerą będzie ta trumna.
(Wysuwa z za zasłony trumnę.)

Oto Przybysław, rycerz świetny i wierny syn Germanji. Patrz — i zarumień się. A teraz walcmy. Jeden z nas legnie tu obok.

MIMA

Zabity? przez Francuzów?... Ha!... ja tu mam w łonie dziecko, które wychowam na *révanche*!

JASTROWIT

Niedobrze, bracie, byłoby dla was, gdybyś mnie zabił... Dzikiej furji moich wojsk niktby nie powstrzymał — wymordowanoby wszystkich.

PROFESOR MIKILIMBURG

Gdzie jesteś, Taniu, daj mi dłoń.

JASTROWIT

Tę noc tylko mam czas tu przebyć, zanim pogonię wasze pancerniki. Chcielibyście iluminować podwodną Wenetę? Dopomogłem wam. A w kim obudził się dawny Duch — ten wschodzi na wielkie wyżyny. Roztworzę wam bramę Wenety — ujrzyście Apokalipsę świata!

PROFESOR MIKILIMBURG

Taniu, my stąd się wyrwiemy — nie lękaj się niczego.

ETELRED (do siebie)

Tę noc i ja użyję, aby tu sprowadzić niemieckie wojska. Ja cię pomszczę, cieniu Przybysława!

PANI SŁAWINA

Roztwórzcie mi bramę Wenety: nieście mię do mych bogów dawnych — do mej ojczyzny.

(Potężny wybuch — mrok.)

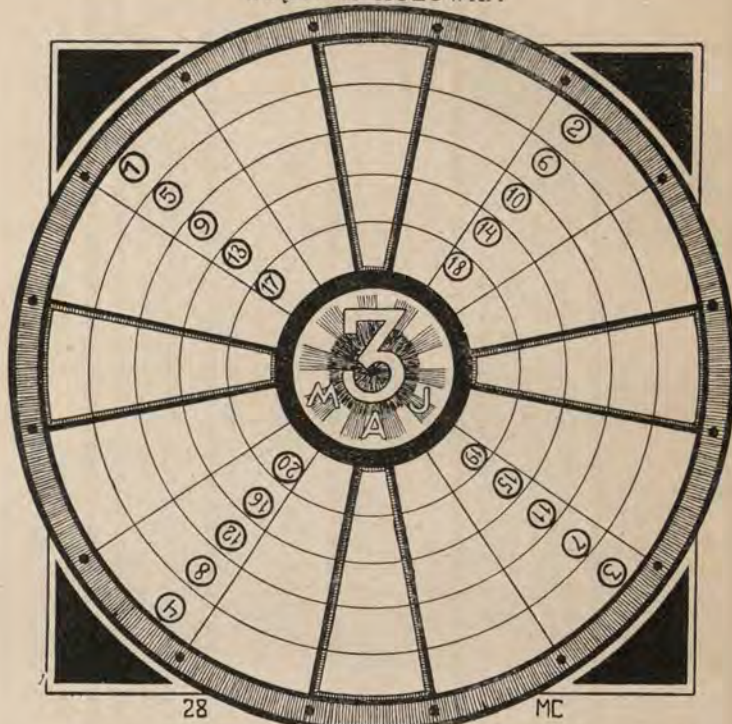
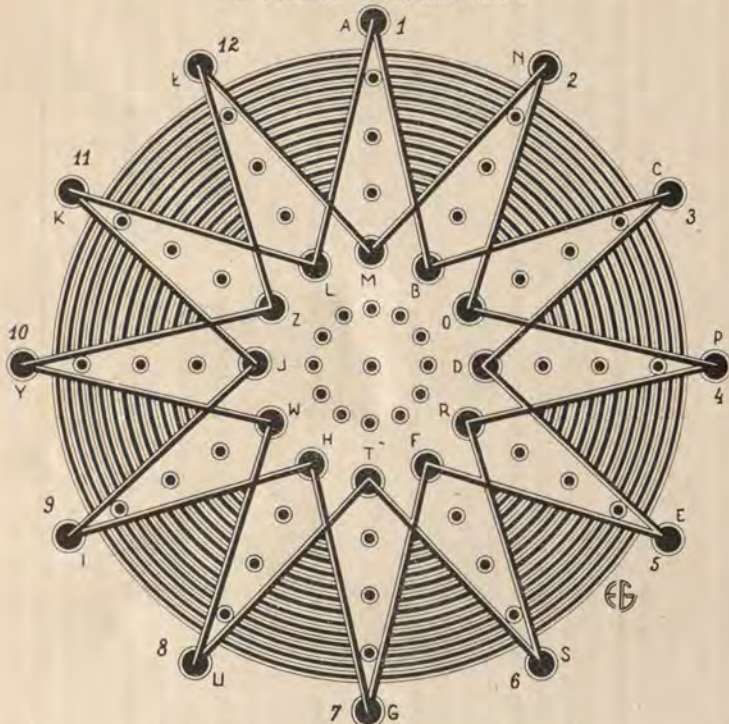
ZASŁONA.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Konkurs Trzeciego Maja

ZADANIE GWIAŹDZISTE

WIĄZANA KOŁÓWKA



Punkty zastąpić głoskami i ułożyć dwanaście siedmioliterowych wyrazów biegnących dośrodkowo i tworzących dwie krzyżujące się ze sobą gwiazdy. Początkowe oraz przypadające na miejsce punktów, gdzie się związują ze sobą promienie, głoski tych wyrazów, czytane w porządku wskazanym przez alfabet, dadzą rozwiązanie, wszystkie zaś końcowe spoją się w jedną głoskę.

Znaczenie wyrazów: 1. Sprzeczność. 2. Ofiary. 3. Ruch obrotowy. 4. Wprowadzenie w posiadanie. 5. Rodzaj pocisku. 6. Bohaterka poematu Mickiewicza. 7. Miasto na Pomorzu. 8. Buława. 9. Dawna suknia duchowna. 10. Jedna z wysp antylskich. 11. Przyrząd mierniczy. 12. Gra hazardowa.

Erazm Grójński

Według podanych znaczeń wpisać w 5 kół 20 wyrazów, łączących się ze sobą w sposób wiązadłowy. Litery wstawione w krzyż środkowy dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię gwiazdy filmowej. 2. Satyrk angielski. 3. Stara cytadela londyńska. 4. Zburzona budowla. 5. Sławna włoska rodzina konstruktorów skrzypiec. 6. Rzeka na Syberji. 7. Bohaterka powieści Zapolskiej. 8. Inaczej *dzierżawa* (w/g Karłowicza). 9. Miasto w Jugosławji. 10. Osłona przeciwgazowa. 11. Przedstawiciel handlowy. 12. Marka samochodów. 13. Plac zgromadzeń w Grecji. 14. Miasto we Francji. 15. Część cylindra maszyny parowej. 16. Pewna ilość pieniędzy. 17. Rzeźbiarz francuski. 18. Postać z mitologii. 19. Mały poemat liryczny. 20. Jednostka natężenia prądu.

Mieczysław Chojnowski

SZARADA

Minęły lata wojny. Spełnił się cud Wisły...
Cisza tam, gdzie niedawno groźne działa grały,
Ciężące nam kajdany niewolnictwa prysły —
Znów ponad polskie ziemie wleciał Orzeł
Już *piątego-ósmego* runęła potęga... [Biały!]
Straszna w Rosji nastąpiła *dziewiąta-szesnasta*,
Krwawa czoła siepaczy *trzecie-drugie* pęga,
W nędzy żyją i brudnie piękne niegdyś miasta,
Z wielkiej Austrii malutkie państewko zos-
tało —

Świat nie *ósme i drugie* nim się zająć przecie,
Tylko Niemcy wciąż jeszcze mają wojny małe
I świeżych klęsk niepomi — myślą o odwecie...
Powstała z gruzów Polska: kraj żywny, bogaty —
Jej *dziewiąte-dziesiąte* piękne dają plony,
A chociaż proste po wsiach stoją chłopskie
chaty —

Lud w nich żyje szczęśliwy i zadowolony.
W miastach przemysł i handel rozwija się,
rośnie —

Polska więc głodu, nędzy nie *czternaste-trzecie*,
Siedma-szesnasta w przyszłość krzepi nas
radośnie —

W ciernie życia i pracy wonne wplata kwiecie...
Jedno serca goryczą *dziewiąte i szóste*,
Co *ósme i dwunaste* żyć z bliźniemi w zgodzie,
Które nie wierzą w słowa kłamliwe i puste

Tych, co sieją nienawiść w swym własnym
narodzie:

Ileż przeróżnych partyj ciągną walkę toczy,
Z pod *trzecich-jedenastych* i chorągwi wrogich,
Każda *czwarte-trzynaste*, że ona jednoczy,
Używając wciąż fałszów i podstępów mnogich!
Ileż w tem egoizmu, zaślepienia, złości —
Nic *dziewiąte-czternaste* swym nie widzą kołem...
Drugie zgasło dla kraju uczucie miłości?
Czy to szatan wystąpił do boju z aniołem?
Czyż *pierwszego-piątego* wszak jednego dzieci —
Nie mogą żyć już w zgodzie i wspierać się
wzajem.

Cieszyć się, że im słońce swobody znów świeci
I modlić — by Opatrzność czuwała nad krajem?
Dość już kłótni i sporów — zbyteczne to troski,
Niech *druga i piętnasta* żyje miłość bratnia!
Niech pójdzie wieść radosna przez miasta
i wioski,
Że skończyła się walka najcięższa, ostatnia!...
Niechaj *Tęcza* za nam barwna zaświeci po burzy,
Niech brat wreszcie dla brata przestanie być
wrogiem.

Niech sobie każdy *wszystko* po stokroć po-
wtórzy —
Początek tylko trudny... A więc naprzód,
z Bogiem!...

inż. Józef Modrzejewski

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja przeznaczona do rozlosowania 12 nagród książkowych. Nagroda I — „Dawne pałace warszawskie” A. Kraushara, II — „Przybłęda Boży. Beethoven” W. Hulewicza, III — „Z łowisk wielkopolskich” X. L. Niedbała, IV — „Godzina przed jutrznią” E. Zegadłowicza, V — „Lilavati” S. Jeleńskiego, VI — „Dym ofiarny” St. Kiedrzyńskiego, VII — „Prawo szpady i krwi” E. Ligockiego, VIII — „Jane” Fl. Barclay, IX — „Italia i wiosna” Z. Rabskiej, X — „Najdziksze serca” J. O. Curwooda, XI — „Zatrzymany zegar” W. Miłaszewskiej, XII — „Zły czar” J. Łady.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 26 maja 1928 r.

Rozwiązania należy nadsyłać na ilustrowanych pocztówkach lub z ich dołączeniem, w celu ułatwienia losowania, pod adresem: Redakcja „Tęczy”, Poznań, al. Marcinkowskiego 22. „Rozrywki umysłowe”. Rozwiązujący winien podać swe nazwisko i imię oraz dokładny adres. Dopuszczalne są rozwiązania pseudonimowe, jednak pod warunkiem podania nazwiska do wiadomości redakcji działu.

Z GŁOSÓW PRASY

„NOWY KURJER” (Poznań)

Nr. 267 z dnia 20 listopada 1927 r.

„Tęcza”, ilustrowane pismo tygodniowe. Nakładem Drukarni i Księgarni św. Wojciecha T. z o. p. w Poznaniu.

Zapowiadane oddawna nowe czasopismo tygodniowe ukazało się wreszcie i oślnięło czytelników nietylko artystycznym i wręcz luksusowym wyglądem zewnętrznym, znakomicie wykonanymi ilustracjami i starannością układu materiału, lecz głównie doborową i wartościową treścią.

Widoczne jest z tego, że słowa, jakimi kończy redaktor naczelny „Tęczy” p. S. Jeleński swój artykuł wstępny: „Wszystkiemi Tęcza chce błyszczeć barwami; i oczy czarować, i serca porywać i myśli uskrzydlać...” — nie są jedynie obietnicą reklamową, lecz szlachetną zapowiedzią trwania w już zapoczątkowanym pięknym czynnie.

Zeszyt 1-szy „Tęczy” zawiera prace następujące: „Rewindykacje literackie” prof. S. Dobrzyckiego; „Joseph Serre” J. E. Skińskiego; „Skąd przyjdzie nasz Wit Stwosz?” A. Nowaczyńskiego; „Wyspa na chmurnej północy” T. Goetla; „Owal jako forma zasadnicza naczyń greckich” prof. T. Kołomockiego; „Partja tenisa”, nowela M. Smolarskiego; „Przywidzenie” (wiersz) A. Górskiego; „Światłocienie”, omawiające ważniejsze wypadki z całego świata; następnie działy: „Wśród książek”, „Ze sceny”, „Z ekranu”, „Świat wczoraj, dzisiaj, jutro” (jest to niezmiernie interesujący i świetnie wykonany pod względem technicznym dział ilustracji); w dziale: „Powieść i nowela” widzimy utwory literackie Zegadłowicza, Szpotkańskiego i innych. Dalej następują świetnie opracowane działy: Rozrywek umysłowych, potem „Szachy”, „Pasjans”, karykatury Kamila Mackiewicza i wreszcie humor.

Jest do przewidzenia, że pismo tak świetnie redagowane i utrzymane na tak wysokim poziomie artystyczno-literackim, jakim się istotnie okazał tygodnik „Tęcza”, z łatwością zaima swym blaskiem wszystkie dotychczasowe periodyczne wydawnictwa literacko-artystyczne i zyska w krótkim czasie olbrzymie szeregi czytelników w całej Polsce.

Nowemu wydawnictwu życzymy najpiękniejszego rozwoju. (B. K.)

„MYŚL NARODOWA” (Warszawa)

Nr. 25 z dnia 1 grudnia 1928 r.

„Tęcza”.

W Poznaniu ukazała się „Tęcza”, nowe ilustrowane pismo tygodniowe. Oby była widzialna we wszystkich zakątkach kraju i była zapowiedzią pogodnego dźwiękania się kultury polskiej! Witamy wydawnictwo z radością, widząc w nim początek ekspansji kulturalnej wielkopolskiego ogniska na wschód. Pierwsza to bodaj próba działania stamtąd na całość Polski, ambitne przedsięwzięcie odrodzenia kulturalnego Wielkopolski.

„Tęcza” obliczona jest na poziom „średniego człowieka”. Takim średnim człowiekiem trzyma się cywilizowane społeczeństwo, bo w nim jest bezpośredni fundament cywilizacji narodowej. Potrzeby tego poziomu nie były w Polsce uwzględniane. Literatura nasza dlatego przeżywa ostre kryzysy, że nie ma w średnim człowieku swego kapitału żelaznego. Pole społeczne, z którym ona ma do czynienia, przedstawia się jak zostawione przypadkowi rozłogi na wschodzie, gdzie obok wysokich, ale rzadkich ździebł i pięknych kwiatów — mchy, oparzeliska i szczyry piach. Dla tych rozrzuconych ździebł wydaje się książki i pisma. Ale że los egzystencji odosobnionych jest niepewny, więc i oparcie o nie dla cywilizacji słabe.

Byle posucha lub zlewa, wszystko zawodzi, podczas gdy mocna kultura średniego człowieka, choćby nie wyrastała wysoko w znaczeniu literackim, jest jak trawnik dawno strzyżony, że armatę nawet znieśie bez szkody. Chodzi więc o to, żeby cała Polska porośla tak kulturą, jak Wielkopolska. Wtedy będziemy pewni gruntu i można będzie myśleć bodaj o palmach.

Poznań w warunkach niepodległości narodowej szybko odtwarza zniszczoną kulturę. Wyrastają tam już piękne rośliny. Poznań staje się ogniskiem nauki, literatury i sztuki. Więcej — Poznań poczuwa się do ekspansji na kraj cały. Wychodzi tam już ilustracja wypadków bieżących, dzienniki trzymają się wysokiego poziomu publicystycznego i moralnego, zapowiedziano już miesięcznik naukowo-literacki, a oto teraz ukazuje się „Tęcza”.

Mamy przed sobą zeszyt bardzo bogaty w treść i ozdobnie wydany. Nie jest to efemeryda, skoro je wydaje poważna instytucja wydawnicza św. Wojciecha.

Pierwszy zeszyt jest jeszcze nieco sztywny, jak zawsze początki, ale nie wątpimy, że szybko doskonaląc się będzie i wysubtelniać szatę estetyczną. W pierwszym zeszycie mamy nazwiska autorów: Sz. Jeleński (dyrektor wydawnictwa), Jan Emil Skiński (sekretarz redakcji), Artur Górski, prof. Dobrzycki, Nowaczyński, Goetel, prof. Tadeusz Kołomocki, M. Smolarski, Tad. Kończyc, St. Miłaszewski, Emil Zegadłowicz, St. Szpotkański i in. Karta tytułowa (co tydzień będzie inna) kolorowa malowana Gawińskiego, ilustracje w tekście Mackiewicza, piękne kolorowe reprodukcje w środku na papierze welinowym, 4 strony ilustracji bieżącej. Wiele literatury, nowele, poezje, podróże, dział rozrywkowy.

Ważną i charakterystyczną dla Poznania okolicznością jest fakt, że „Tęcza” wykonywana będzie całkowicie na własnym warsztacie. Posiada własną drukarnię, własne maszyny, drukujące obrazy pięciu kolorami, jak widać bardzo dobrze, i własną fabrykę papieru. To daje mu widoczną przewagę nad innymi wydawnictwami, bo prenumerata kwartalna wynosi tylko 14 zł.

Nie wątpimy, że „Tęcza” znajdzie się w każdym polskim domu i że na jej rozposzczętnieniu bardzo zyska kultura społeczeństwa. Nauczmy czytać i wysoką inteligencję, która od czytania odwykła, i niższą, która do niego jeszcze nie przywykła.

„KURJER POZNAŃSKI” (Poznań)

z dnia 30 listopada 1927 r.

„Tęcza”. Poszły w świat już dwa numery tego bogatego i starannie przez Księgarnię św. Wojciecha wyposażonego tygodnika, tak, że można sobie do pewnego stopnia wyrobić zdanie o jego drogach i poziomie. Wrażenie jest jak najkorzystniejsze, szata graficzna efektowna i barwna, kierunek zdecydowany, treść wysoce urozmaicona. Drugi numer, oswobodzony już od artykułów i wskazań programowych, które były konieczne, nabrał odrazu lekkości i werwy. Firmują go nazwiska pierwszorzędnego. Więc Grzymała-Siedlecki pisze o Wyspiańskim, w którym jest chyba bezkonkurencyjny tak jak we Fredrze, — Goetel zdaje sprawę z podróży do Kopenhagi, Stanisław Wasylewski rozstał się na chwilę z księstwem warszawskim i sięgnął do wczesnego odrodzenia po polskie stroje i przyodziewę, istną elegję nad zgonem puszczą Białowieskiej wypiewał prof. U. P. dr. Niezabitowski, Wyspiańskiego jako malarza szkicuje prof. W. Trojanowski. Wszystko bogato i poważnie, a zajmująco.

Pomiędzy te kamienie węglowe wchodzi masę cegiełek. Zegadłowicza „Sielanka”, koniec noweli Szpotkańskiego, urywek z Curwooda. Poezje, nowele o kłusowniku, z Pu-

szczą Białowieską trafnie połączona, feljtony zbiorowe na ten i ów aktualny temat, trochę o teatrze, trochę o kinie, wreszcie rozrywki umysłowe i masę świetnie odbitych ilustracji. Każdy tu coś znajdzie i czemś się zaciekawi a niejednego się nauczy. „Tęcza” jest nowym u nas typem tygodnika „familijskiego”, który z aktualnością i z ciekawostkami łączy głębszy podkład kulturalny i umysłowość swoich czytelników poważnie rozszerza, ciekawiać i bawiąc. Dalszych numerów powinien świat czytelnicy wyczekiwać z dużą niecierpliwością. Zaczęło się kapitalnie. (vn)

„DZIENNIK POZNAŃSKI”

Nr. 65 z dnia 18 marca 1928 r.

Emil Zegadłowicz redaktorem naczelnym „Tęczy”.

„Tęczy”, tego doskonałego tygodnika dla rodzin polskich, ukazało się kilka kolejnych zeszytów. Szczególnie dodatnio wyróżnia się zeszyt 11-ty ozdobiony barwną okładką Zofji Stanisławskiej, poza tem znajdujemy S. Jeleńskiego „Na pobojowisku”, Wincenego Lutosławskiego interesujące „Wykłady o Bogu w Londynie”; Z. Wasilewski przypomina „Pamiętki po Reymonczie”, a E. Woroniecki dzieli się wrażeniami „Z Maroka przez Bretanję do Polski”. O koralach dowiadujemy się ciekawych szczegółów w artykule „Najpiękniejsze ogrody”. Doskonałe reprodukcje ilustrują „Przystań samotników Bożych”. Na temat „Sztuka czy surrogat sztuki” opowiada prof. St. Dobrzycki. Poza tem zwykle działy: Światłocienie, kronika książek, czasopism, sceny, ekranu i t. d.

W zeszycie tym „Tęcza” dzieli się wiadomością, że z dniem 1 maja redakcję naczelną obejmuje znany poeta i powieściopisarz, chłuba nowoczesnej twórczości artystycznej p. Emil Zegadłowicz.

„SŁOWO POLSKIE” (Lwów)

Nr. 110 z dnia 22 kwietnia 1928 r.

Trzeciomajowy numer „Tęczy”. Dnia 21-go bm. opuścił prasę specjalny numer Tygodnika „Tęcza”. Objętość tego zeszytu, wydanego ku uczczeniu pamiętnego dnia Konstytucji Trzeciego Maja, jest w dwójnasób powiększona. Na bogatą i urozmaiconą treść złożyły się artykuły najprzedniejszych piór autorów polskich. Osobliwością tego numeru są takie fenomeny, jak np.: ostatnia praca St. Przybyszewskiego o Janie Kasprzowiczu, dramat nieznany Tadeusza Micińskiego, nigdzie dotychczas nie-reproduktowane rysunki Witolda Pruszkowskiego i t. d. Dział ilustracyjny niezmiernie bogaty, obok reprodukcji z dzieł Władysława Hoffmana, Zofji Stryjeńskiej, K. Hukana, zdobią zeszyt trzy osobne wkładki wielobarwne faksimilujące dzieła Hofmana, Tad. Pruszkowskiego i A. Orłowskiego. Dodajmy do tego, że stylizowaną okładkę wykonał Wojc. Jastrzębowski, a otrzymamy całość, jakiej nie powstydziłoby się najwytworniejsze wydawnictwo zagraniczne. Nie wątpimy też zwróci na siebie „Tęcza” uwagę tak znawców, jakoteż i szerokiej warstw publiczności. Równocześnie godzi się podkreślić, że z numerem Trzeciomajowym „Tęczy” redakcję naczelną obejmuje znany poeta i dramaturg Emil Zegadłowicz.

„GAZETA WARSZAWSKA PORANNA”

Nr. 126 z dnia 24 kwietnia 1928 r.

„Tęcza”.

Nie obwijając przykrej prawdy w miłe słowa, mogliśmy sobie doniedawna przypominać, że nie widać jakoś inicjatywy w kierunku zaspokojenia czytelnicych

pragnień domu polskiego, lub prościej: w kierunku stworzenia szlachetnego polskiego periodyku, bogatego w treść, estetycznie wydawanego, redagowanego rozumnie i poważnie — dla wszystkich. Tu i owdzie po azyłach naszych przyjaciół i znajomych, bielili się na stołach, ponoć z braku czego innego wielkie plachty tygodniowych nowinek literackich okraszane miłymi dla oka podobiznami krajowych i zagranicznych snobów (że wspomnę nawiasem słynną podobiznę papy Chagall z córą w stroju najzupełniej rajskim i hebrajskim) reklamowe miesięczniki, nazywające się zgrecka, me-teoretycznie jednodniówki, rzadka zaś rado-wał przybysza numer pisma, poświęconego sprawom kultury narodowej, cichy, skromny, sieroicy, lecz jakże poważny i piękny. Wyłom w tym sarmackim zastoiu wreszcie uczyniony został i możemy stwierdzić z radością, że dziś dom polski i polska rodzina posiadła jedyne, kulturalne i dostępne pismo, bo...

istnieje poznańska „Tęcza”.

W czasie, kiedy pomyślnie obumierający stołeczny brak energii, grzebał jeden z niewielu najuboższej naszkicowanych projektów tygodniowego polskiego wydawnictwa, w Poznaniu tem miesiące sprawiedliwych, w tajemnicy i odosobnieniu kłuł się czyn, organizowała się pod wytrawną i niezawodną pieczęcią p. Szczepana Jeleńskiego (Bohdana Katerwy) — „Tęcza”. W tym krótkim okresie czasu, jaki upłynął od daty pojawienia się pierwszego jej numeru, ileż dała nam ona rzeczy wartościowych i ciekawych, ileż „przypomniała” nazwisk mających kruszcowy dźwięk w dorobku dzisiejszej kultury. Kapitałne essay'e Nowaczynskiego, cenne wspominki literackie Stanisława Cywińskiego i Stanisława Wasylewskiego, poezje Zegadłowicza i Kozłowskiego, utwory belletrystyczne Ossendowskiego, Edwarda Li-gockiego, Ejsmonda, barwne opowieści pod-różnicze Ferd. Goetla, oto są dotychczasowe zdobycze i dary „Tęczy” dla jej licznych odbiorców i przyjaciół. Czujność estetyczna i zmysł naszej tradycyjnej łączności ze sztuką i nauką zachodnio-europejską, podyktowały kierownictwu „Tęczy” opublikowanie owych cennych artykułów i studjów o 500-leciu Masaccia. O krwi i duchu Alzatów, o Planetariach, dzięki tejże czujności wśród imion cudzoziemskich, które spotkaliśmy na łamach powieści i noweli, publikowanych w specjalnym dziale, spotkaliśmy przedewszystkiem znakomitego i bliskiego nam G. K. Chestertona („Cud przy ulicy księżycowej”). W „Kronice” przesuwa się przed nami praca i życie polskich środowisk kulturalnych z uprzywilejowaną słuszną Warszawą na czele, w dziale zaś ilustracyjnym, zatytułowanym „Wczoraj, Dziś, Jutro” wszystko, co u nas i na świecie jest ciekawe i piękne.

Z całą świadomością powagi i zacności przedsięwzięcia, rozmiarzywszy duże siły intelektualne i materialne na zamiary, bez gongów, bez reklamy, bez huku wstąpiła „Tęcza” na widowieństwo życia polskiego. Oce-niając z największym uznaniem to, co przyniosła ona wielkiej rodzinie polskiego czytelnictwa, głęboko ufamy, że żyć będzie, pracowicie bogato i pożytecznie zdobywając coraz mocniejszą pozycję, powszechną sympatię i szacunek. A zasłuży się rodakom, boć jest w niej „prawość uczuć, jasność myśli, poczucie misji, triumfalna wiara.

Janusz Kawecki.

„KURJER POZNAŃSKI”

Nr. 195 z dnia 27 kwietnia 1923 r.

Piękna grafika w „Tęczy”. Trzecioma-jowy numer „Tęczy”, który właśnie się ukazał, posiadał wspaniałą szatę graficzną. Wielobarwna okładka, zaprojektowana przez prof. Wojciecha Jastrzębowskiego łączy przepięknie motyw skrzydeł husar-skich ze stylizowanym orłem polskim. Układ drukarski w Wyspiańskiego „Veni Creator” i w poszczególnych artykułach bardzo artystycznie pod względem doboru

czcionek i rozkładu płaszczyzn. Mnóstwo świetnie wykonanych ilustracji w różnych technikach — od cynkotypji i rotogravury do druku wielobarwnego, dupleksu, fotochromji i offsetu. Do plastyczności jego treści przyjdzie jeszcze powrócić, równie jak do literackiej, niemniej obfitej i doborowej.

„KURJER POZNAŃSKI”

Nr. 193 z dnia 26 kwietnia 1928 r.

Nieznaną utwor Micińskiego podaje w numerze trzecioma-jowym poznańska „Tęcza”. Jest to dramat jednoaktowy p. t. „Mściciel Wenety”, rozgrywający się w czasie wojny na naszym Pomorzu, w środowisku niemieckich „Kulturtraegerów”. Treść, jak zawsze u Micińskiego, niesamowita i fascynująca. Wśród Niemców, którzy snują fantastyczne marzenia o podboju Europy, znajduje się Wanda, czująca się Polką, córka prof. Mikilimburga i pani Sławi-ny, Polka z Litwy. Dramat kończy się wybuchem, grzebiącym pod gruzami pałacu wszystkich obecnych. Wywołał go Jastro-wit, również syn prof. Mikilimburga. W dialogu mnóstwo przykuwających zwrotów i aluzji. Nad „Mścicielem Wenety” unosi się wielka i dziwna poezja.

„PRZEGLĄD PORANNY” (Poznań)

Nr. 101 z dnia 2 maja 1928 r.

Zegadłowicz red. „Tęczy”.

Z dniem 1 maja obejmuje naczelne redaktorstwo „Tęczy”, ilustrowanego pisma tygodniowego, Emil Zegadłowicz.

Pozyskanie tak wybitnego poety do czasopisma na odpowiedzialne stanowisko świadczy wymownie, że „Tęcza”, po kilkomiesięcznym okresie organizacyjnym, pragnie wznieść się na wysoki poziom artystyczny. Zegadłowicz potrafi skupić koło siebie nie tylko najwybitniejszych polskich pisarzy i artystów, lecz zdoła również nadać wydawnictwu szlachetną formę zewnę-trzną, którą tak ładnie wyróżniały się to-miki poezji Zegadłowicza, wydawane z rzadką u nas umiejętnością i poczuciem stylu.

Świetną próbą możliwości wydawniczych „Tęczy”, pod nowym kierownictwem, jest świeżo wydany numer tygodnika, poświęcony rocznicy Konstytucji 3-go maja i świętu Królowej Korony Polskiej. Otwiera go po-łężny hymn Wyspiańskiego, artykuł Artura Górskiego i dwie pieśni maryjne Staffa i Kozikowskiego. Poczem idą artykuły pisa-rzy, tej miary wiedzy i pióra, co Stanisław Kujawa, Michał Siedlecki, Władysław Leopold Jaworski itd. Prawdziwą ozdobą majowego numeru jest piękny artykuł Stanisława Przybyszewskiego o twórczości Jana Kasprowicza i bardzo ciekawy, nieznaną dotychczas, fragment dramatyczny Tadeusza Micińskiego p. t. Mściciel Wenety. Wiele miejsca poświęcono sylwetkom artystycznym art.-malarzy, osobno omawiając dorobek twórczy Wł. Hofmana, Zofji Stryjeńskiej, Karola Hukana i Witolda Pruszkowskiego. Są również szkice literackie o Ottonie Forst Battagli i Jerzym Szaniawskim. Barwny opis Zaleszczyk dał dyr. J. Kilariski, nowelę Jerzy Bandrowski. Słowem majowy zeszyt „Tęczy” przynosi wyjątkowo obfita treść, urozmaiconą i ciekawą, ozdobioną kilkudziesięciu reprodukcjami, wykonanymi różnorodną techniką od cynkotypji, poprzez rotogravurę, druk wielobarwny, dupleks i fotochromję po offset. Niezwykle efektowną i artystyczną okładkę tego numeru projektował prof. Jastrzę-bowski.

Nowemu redaktorowi „Tęczy” życzymy, aby zdołał utrzymać poznański tygodnik na tym wysokim artystycznym i literackim poziomie, na jakim postawił pierwszy swój numer majowy. W życiu kulturalnym Wielkopolski „Tęcza” mogłaby się stać ważnym krokiem wwyż i jako prorok rzeczy dobrych i pięknych oddałaby ogromne usługi. Stef.

„PRZEGLĄD GRAFICZNY”

Maj 1928 r.

Tęcza, ilustrowane pismo tygodniowe.

Warunki ostatniego lat dziesiątka wy-tworzyły na rynku wydawniczym szczególne zapotrzebowanie na czasopisma popularne, któreby w formie dla jak najszerszych warstw dostępnej mogły zadośćuczynić po-trzebom czytelnictwa. Czasopism takich, o szerszym lub uboższym programie noto-wano u nas już szeregi, przyczem wytwa-rzały się dwa ich zasadnicze typy: cza-sopism ilustrowanych oraz wydawnictw ilu-stracyjnych z minimalną ilością tekstu. Ostatni typ, reprezentowany w Polsce prze-dewszystkiem przez „Światowida”, zdawał się przez jakiś okres czasu cieszyć naj-większą popularnością, gdy tymczasem pisma ilustrowane upadały lub też wiodą był raczej skromny, oparte więcej na kredytcie tradycji jak na sile atrakcyjnej. Zjawisko to musiało ludzi dalej patrzących napawać obawą o poziom intelektualny naszego spo-leczeństwa. Bo cóż trwałe może dać jed-nostce czytającej lektura, złożona tylko z obrazków sensacyjnych? Wprawdzie wy-dawnictwa tego rodzaju, pochlebające tyl-ko lenistwu myślowemu, mogą być bardzo intratne, dla rozwoju czytelnictwa narodo-wego są jednak szkodliwe. Typ czasopism ilustrowanych zdawał się mieć mniej po-wodzenia i szereg ich po krótkim żywocie upadł, mimo to, że obce pisma tego rodza-ju, jak francuska „L'illustration” czy nie-miecka „Die Woche” rozwinęły się do za-wrotnych rozmiarów.

Łukę, jaka w tej dziedzinie u nas po-wstała, postanowiło wypełnić świadome swego zadania wobec społeczeństwa pol-skiego wydawnictwo Księgarni i Drukarni św. Wojciecha.

Po gruntownych przygotowaniach wy-puszczono pod koniec ubiegłego roku oka-zowe numery „Tęczy”, czasopisma, któreby miało zaspokoić głód czytelnika „czytają-cego” i „oglądającego”. Po półrocznym okresie próbnym i eksperymentalnym wstę-puje obecnie „Tęcza” jakoby w programowo ujęte łożysko i jako programowy daje nam zeszyt Trzecioma-jowy.

Nie naszą rzeczą wspominać o bogatym i doborowym dziale literackim, prowadzo-nym przez znanego i cenionego dziś poetę-pisarza, Emila Zegadłowicza.

Na tem miejscu chcielibyśmy podnieść zasługi drukarni około wyglądu zewnę-trznego zeszytu tego.

Zeszyt Trzecioma-jowy „Tęczy” jest okazem w dziejach drukarstwa polskiego jeszcze nie spotkany. Akcentuję tem bar-dziej polskiego, że w przeciwstawieniu do niejednego pięknego nawet wydawnictwa polskiego, wszystkie klisze, wszystkie od-bitki, wszystkie reprodukcje wykonane są nie tylko we własnych zakładach, ale własnym materiałem fotograficznym, u siebie od-laną czcionką, u siebie sporządzonymi klisza-mi, na własnym papierze i polskimi siłami!

Do odbicia zeszytu użyto bodaj czy nie wszelkich możliwych technik reprodukcyj-nych, więc druk z czcionek, cynkotypję jednokolorową i wielobarwną, dupleks, miedziódruk i offset. Okładkę zdobi rysunek Jastrzębowskiego, przedstawiający po-za napisem tytułowym i datą 3 Maja, piękną stylizowaną orla białego. Układ tek-stu, rozpoczęty szczęśliwie na pierwszej stronie Hymnem Wyspiańskiego, czy to po przez Pieśni Marjańskie, do Notatek i „Mściciela” Micińskiego, prowadzony był po przez labirynt najróżnorodniejszych ilu-stracji, przez wytrawne znawce zasad typo-grafji. Reprodukcie jednobarwne czy to cynkotypowe, czy miedziódrukowe — bez-naganne. Szczególną uwagę zwraca mięk-kością tonu reprodukcja akwaforty Ossec-kiego, przedstawiająca obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, dalej obrazy Hoffmana. Mo-że trochę kontrastowo odbijają reprodukcje obrazów Stryjeńskiej. Może w czarnym ko-lorze wypadłyby spokojniej. Tu jednak wchodzimy już w zagadnienie możliwości reprodukcowania obrazów wielobarwnych w

jednym kolorze. Miłą niespodzianką są dla nas reprodukcje wielobarwne. Ilustracje do noweli Bulwa świeżością zieleni i głębią tonu morza robią wrażenie oryginalnej akwareli. Reprodukcją Szopki Holmanna stała drukarnia jak i chemigrafia zakładu na wyżynie. Dla tradycji trzeba jednakże i coś złego powiedzieć. Więc, jakby to pięknie wyglądał wstępny Hymn złożony jednolitym, klasycznym Medjavelem, czy Bodonim, czy Garamondem, słowem pismem spokojnym, jednolitem. I innym kolumnom pismo takieby także nie wadziło. A dalej. Może żałobna obwódka części powieściowej „Tęczy” dałaby się usunąć lub zamienić? Tylko tyle.

Kronika podaje słusznie, że druk ukończono pod zarządem Fr. Kusza. W tem miejscu możemy nietylko Wydawnictwu ale przedewszystkiem p. Kuszowi powinszować sukcesu drukarskiego, w nadziei, że jego wysiłek dotychczasowy będzie pierwszym etapem dalszego rozwoju techniki drukarskiej

J. Kuglin.

„SŁOWO” (Wilno)

Nr. 103 z dnia 6 maja 1928 r.

„Tęcza”, wytworny tygodnik literacki poznański, wystąpiła na dzień 3-ci maja z okazałym zeszytem zarówno pod względem treści jak ilustracji. Znać na pierwszy rzut oka rękę obecnego redaktora „Tęczy”, poety o wysokim ducha polocie, Emila Zegadłowicza. Zeszyt trzeciomajowy „Tęczy” otwiera hymn Wyspiańskiego „Veni Creator” oraz filozoficzno-metafizyczny essay Artura Górskiego „Królowa Korony Polskiej” ozdobiony wizerunkiem — co nam bardzo miło — Najsw. Marji Panny Ostrobramskiej. Owóż zaraz dalej nad wyraz ciekawa i piękna rzecz bezpośrednio przedśmiertna Przybyszewskiego o Janie Kasprowiczu (Najwyższą trójcę poezji naszej układa Przybyszewski tak: Jan Kochanowski — Adam Mickiewicz — Jan Kasprowicz). Dalej Wlastimila Hoffmanna (z ojca Czecha a matki Polki) prezentuje dr. Marjan Morelowski ex re dwudziestopięcioletnia twórczości malarskiej, a o Zofji Stryjeńskiej pisze — entuzjastycznie — Artur Schroeder (mnóstwo reprodukcji jej prac). A oto i z kolorowemi ilustracjami Sawi-

czewskiego opowiadanie z nad Bałtyku Jerzego Bandrowskiego a przedewszystkiem Stefana Papee sprawozdanie z niezmiernie interesującej i ważkiej niemieckiej „rehabilitacji” króla Stanisława Augusta Poniatowskiego (Otto Forst Battaglia: „Stanisław August Poniatowski und der Ausgang des alten Polenstaates”). A nie wstyd-żeż, że my nie zdobyliśmy się jeszcze na oddanie sprawiedliwości temu, który z polskiego tronu przerażał umysłem — oprócz Fryderyka i Katarzyny — wszystkich współczesnych mu monarchów! Oto i wizerunki 7-miu rektorów odrodzonego uniwersytetu wileńskiego; oto portret i charakterystyka autora „Ptaka” i „Papierowego Kochanka” Jerzego Szaniawskiego; oto nieznaną twórcę dramatyczny Micińskiego; oto na oddzielnych planszach kolorowych: sepia Al. Orłowskiego z poznańskich zbiorów dra Łoży, kopja „Św. Teresy” Pruszkowskiego (własność ks. prałata Adamskiego w Poznaniu), i „Szopki” Wlastimila Hoffmanna z muzeum poznańskiego. I t. d. i t. d. Z najwyższą przyjemnością bierze się taki zeszyt do ręki — a i z rzetelną zazdrością, że na takie wydawnictwo może zdobyć się Poznań — a nie Wilno! Zegadłowiczowi oraz firmie wydawniczej, drukarni Św. Wojciecha, składamy najszczerze gratulacje.

„GAZETA POZNAŃSKA I POMORSKA”.

Sobota, dnia 5. 5. 1928.

Ostatni zeszyt „Tęczy”, wydany z powodu święta narodowego w znacznie powiększonej objętości, przedstawia się niezwykle okazale zarówno pod względem treści jak i szaty graficznej. Pismo zdobią doskonale wykonane barwne plansze przedstawiające „Szopkę” Wlastimila Hoffmanna, św. Teresę z Lisieux Pruszkowskiego i niesłychanie silny w ekspresji „Wyjazd” znakomitego malarza A. Orłowskiego. Stronę ilustracyjną dopełniają pozatem liczne plansze jednobarwne.

Na treść numeru składa się nadewszystko hymn Kasprowicza „Veni creator”, pieśń marjańska poety z grupy „Czartaka” Edwarda Kozikowskiego, wiersz okolicznościowy pana Sztudyngera z powodu dwudziestopięcioletnia twórczości Wlastimila Hoffmanna. Wśród artykułów wyróżnia się głęboko i wytwornie napisana rozprawa Ar-

tura Górskiego o Królowej Korony Polskiej, płomienna apoteza Jana Kasprowicza, napisana w ostatnich godzinach przed śmiercią, przez Stanisława Przybyszewskiego, sylwetka Wl. Hoffmanna nakreślona przez dr. Marjana Morelowskiego i bardzo ciekawe studjum Artura Schroedera o Zofji Stryjeńskiej malarki, która w swych obrazach łączy dekoracyjność z rasowo polskimi cechami pod względem kolorystyki i tematu. Pozatem wymienić należy artykuł znanego poznańskiego krytyka Stefana Papee o głośnej książce Ottona Forst Battagii pod tyt. „Rehabilitacja Stanisława Augusta”, studjum o Jerzym Szaniawskim E. Skińskiego, „O wartości naszego morza” Michała Siedleckiego oraz „Polska dawna i obecna” Stanisława Kutrzeby.

Przedewszystkiem jednak przynosi zeszyt rewelację literacką w postaci nieznanego dramatu Tadeusza Micińskiego pod tytułem „Mściciel Wenety”. Akcja dzieje się po wojnie w surowym zamku profesora Mikilimburga na Pomorzu i jest przesłonięta tym przedziwnie pięknym mrokiem poetyckiego mistycyzmu, który stanowi nieuchwytny czar całej twórczości Micińskiego.

Zeszyt utrzymany na niezmiernie wysokim poziomie literackim i graficznym przynosi zaszczyt polskiej kulturze wydawniczej.

„GŁOS NARODU”.

9 maja 1928.

Doskonale zorganizowany tygodnik „Tęcza” z każdym numerem wykazuje coraz silniejszą tendencję do postępu i rozwoju. Numer np. wydany w rocznicę trzeciomajową, przynosi wszystkie dotychczasowe numery, a doborem treści i ilustracjami wysuwa się na czoło wszystkich polskich wydawnictw. Znajdujemy w nim Górskiego Art., „Królowa Korony Polskiej”, prof. Kutrzeby „Polska dawna i obecna”, Przybyszewskiego „Jan Kasprowicz”, Dr. M. Morelowskiego trafną charakterystykę Wlastimila Hoffmanna, sylwetki Stryjeńskiej, Hukana, krajoznawcze artykuły o morzu polskiem, Zaleszczykach i cały szereg innych. Zeszyt zdobią świetne kolorowe reprodukcje obrazów Hoffmanna, Pruszkowskiego, Orłowskiego. — Egzemplarz istotnie wspaniały i godzien pięknego momentu historycznego, który przypomina.

TREŚĆ NUMERU SPECJALNEGO:

Od redakcji. — Wiewiódzista księga wszechświata, E. Zegadłowicza. — Do czytelnika traktatu łacińskiego kardynała Ryszarda d'Angeroille z przydomkiem de Bury: O miłości do ksiąg to jest Philobiblon, Jana Kasprowicza. — Ossolineum, dr. Jerzego Kollera. Kula w książce, Jana Parandowskiego. — Madonny Polskie w nowej szacie, ks. W. Kneblewskiego. — Veni Creator, Stanisława Wyspiańskiego. — Królowa Korony Polskiej, Artura Górskiego. — Pieśni Marjańskie: Dolorosa, Leopolda Staffa. — Dzwonek Panny Marji w Goryczkowcu, Edwarda Kozikowskiego. — Polska dawna a obecna na kongresie paryskim pod względem ludności i obszaru, prof. dr. Stanisława Kutrzeby. — Jan Kasprowicz, Stanisława Przybyszewskiego. — Kuźnia skrzydeł, Jana Sztudyngera. — Szopka, Wlastimila Hoffmanna (plansza) — Wlastimil Hoffmann, dr. Marjana Morelowskiego. — Zofja Stryjeńska, Artura Schrödera. — Hukan, F. K. — Bulwa, Jerzego Bandrowskiego. — O wartości morza naszego, profesora Michała Siedleckiego. — Znasz-li ten kraj?.. (Zaleszczyki), Jana Kilarzkiego. — Święta Teresa z Lisieux, Tadeusza Pruszkowskiego (plansza). — Rehabilitacja Stanisława Augusta, dr. Stefana Papee. — Akt dziękczynny za ustanowienie Konstytucji trzeciego maja 1791 roku, W. C. — Notatki, Władysława Leopolda Jaworskiego. — Jerzy Szoniawski, Jana Emila Skińskiego. — Witold Pruszkowski, Jana Mrozińskiego. — Wśród książek: Nowa praca o Krasieńskim, dr. Stanisława Kolbuszewskiego. — Kronika. — Wyjazd, Aleksandra Orłowskiego (plansza). — Mściciel Wenety, Tadeusza Micińskiego. — Rozrywki umysłowe — Okładkę projektował Wojciech Jastrzębowski — Głosy prasy. — Druk zeszytu specjalnego w ilości 325 egzemplarzy ukończono dnia 15 maja 1928 roku w Poznaniu w Drukarni św. Wojciecha pod zarządem Fr. Kusza.

MODELE 1928

4 CYL. 11 HP.
6 CYL. 14 HP. 17 HP. 30 HP.

**TYP KOŁONJALNY NA ZŁE DROGI -
SPECJALNE TYPY SPORTOWE**

ZWYCIĘSTWA

1927 r.

Grand Prix de L'A.C.F.

Grand Prix d'Espagne

Grand Prix d'Europe

Grand Prix d'Italie

Grand Prix de Grande

Bretagne

**CHAMPIONNAT
DU MONDE**



DELAGE

**PRZEDSTAWICIELSTWO D/H. JERZY ŻOCHOWSKI
WARSZAWA, SZPITALNA 8.**

(207)

GAZETA WARSZAWSKA

ZAŁOŻONA W R. 1774

Redakcja i Administracja: Warszawa, Zgoda 5.

WIELKI DZIENNIK

polityczny, gospodarczy, społeczny i literacki
kierunku narodowego

154-ty rok istnienia — fakt notowany zaledwie kilkakrotnie w dziejach świata cywilizowanego — oto najwymowniejszy dowód, że „Gazeta Warszawska” ugruntowała swój byt i rozwój na rzetelnym zaufaniu i uznaniu najszerzych kół czytającej publiczności.

Tak cenne podstawy istnienia zdobyła sobie „Gazeta Warszawska” uczciwą i niezłomną służbą przewodniej idei oraz dzięki bogactwu informacji, jakimi dzieli się od półtora wieku ze swymi Czytelnikami. Stałe wzrastająca poczytność postawiła „Gazetę Warszawską” w pierwszym rzędzie największych co do nakładu codziennych pism w Polsce.

Wielka popularność i szeroka sfera rozpowszechnienia — oto również powody, dla których „Gazeta Warszawska” jest uważana za

(598)

pierwszorzędny organ dla reklamy.

TECZA
ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

W Y C H O D Z I :

W POZNANIU / WARSZAWIE / WILNIE / LUBLINIE
KRAKOWIE / LWOWIE / ŁODZI / KATOWICACH.

Przedpłatę oraz zlecenia ogłoszeniowe przyjmują: Administracja główna w Poznaniu, Aleje Marcinkowskiego 22. — Telefon 2241 i 2678. P. K. O. 209158.

W WARSZAWIE
Księgarnia
M. Szczepkowskiego,
Al. Jerozolimska 39.

W WILNIE
Księgarnia św. Wojciecha,
ul. Dominikańska 4.
Telefon 845.

W LUBLINIE
Księgarnia św. Wojciecha,
Krak. Przedmieście 43.
Telefon 6-07.

poza tem:
W KRAKOWIE
Księgarnia Krakowska,
ul. św. Tomasza 35.
Telefon 33-43.

WE LWOWIE
Księgarnia „Minerwa”,
ul. św. Wojciecha 20.
Telefon 20-12.

W ŁODZI
Księgarnia L. Fiszersa,
ul. Piotrkowska 47.
Telefon 12-11.

W KATOWICACH
Księgarnia Katolicka,
ul. św. Jana 14.
Telefon 12-10.

PRENUMERATA WYNOŚI:

- a) w administracjach — z przesyłką:
kwartalnie zł 14,—; 1/2-rocennie zł 26,—; 1/4-rocennie zł 50,—;
b) w urzędach pocztowych: miesięcznie zł 5,15; dwumiesięcznie zł 10,26;
kwartalnie zł 14,37.
c) Zagranicą: kwartalnie zł 18,50; Doll. 2.10; Rmk 9,—.

CENY OGŁOSZEŃ:

- a) przed tekstem: wiersz milimetr. na stronie w ukl. 5-lam. koszt. zł 0,35,
b) za tekstem: zł 0,30.
Zlecenia na drugiej str. okładki oblicza się po zł 0,35 za wiersz mm (układ 5-lam.)
Rozmiary całej strony wynoszą 284 mm wysokości, 200 mm szerokości. — Administracja
nie może zapewnić ścisłego przestrzegania życzeń co do terminu i miejsca ogłoszenia.

Adres Redakcji: Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22. — Telefon 36 13. — Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. — Za Redakcję oraz reklamy i ogłoszenia odpowiada Ignacy Domański w Poznaniu. — Nakładem Drukarni i Księgarni św. Wojciecha T. z o. p. w Poznaniu. — Druk, klisze, rotograwury oraz fotochromje barwne wykonano w Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Dobry sen, regularne działanie
jelit, zdrową krew, energię, siłę,
swobodę umysłu odzyska każdy
kto się stale odżywia

Maką zdrowia „Ave“

zestawioną przez lekarzy na podsta-
wie odnośnych badań, zawiera bowiem
wszelkie organizmowi potrzebne sole,
i to nie sztuczne, lecz przez samą
naturę wytworzone. Zadać w aptek.
i drog., a gdzie jeszcze niema wprost w
Chem. Fabr. Eska B. Śniegocki - Poznań
1 paczka dwufuntowa zł 3,20. (606)



Wiekami rekordów

*nazwać można wiek dwudziesty!
Zamato jednak zdajemy sobie
sprawy z tego, że rekord w tech-
nicie perfumeryjnej osiągnęła
firma*



**J.&S.STEMPNIEWICZ
POZNAŃ**

przez swoje wyroby!

RADJOAPARATY

1-lampkowe zł 50,— 2-lampkowe zł 90,—
3- " " 110,— 4-lampkowy eliminu-
jący stację miejscową, nadzwyczaj selektywny
zł 160,— oraz wszelkie przybory radjotech-
niczne po przystępnych cenach poleca (109)

**WITOLD STAJEWSKI
POZNAŃ - STARY RYNEK 65.**

Przemysławka
ideał wody kolońskiej

LILAS IMPERIAL

Najwykwintniejsza
perfuma
doby obecnej

but. próbna 1.80 zł
„ większa 5.25 zł



Henryk Łalik
POZNAŃ

Fabryka perfum, kosmetyków i mydeł toaletowych

